SZUMOWINY I KACI KAMIŃSKIEGO
Rosjanie w niemieckich szeregach eksterminowali Warszawę w 1944 r.

BRAWUROWE AKCJE AMERYKI
USA już lata temu przeprowadzały misje, które szokowały cały świat

TAJEMNICE WAWELSKIEGO WZGÓRZA
Dochodziło tu nie tylko do wspaniałych uroczystości, lecz także do wielkich tragedii

NR 2(156)/2026 LUTY 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Hetmani Jacka Komudy

PIĘCIU WSPANIAŁYCH

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 02 >

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

DZIĘKUJEMY ZA ZAUFANIE

Dziękujemy naszym Czytelnikom i Inwestorom za udział w ofercie publicznej akcji Do Rzeczy SA – spółki w drodze na NewConnect.

Dzięki Wam — społeczności, która od lat wspiera niezależne, konserwatywno-liberalne media — zebraliśmy w dwóch rundach ponad 3 mln zł nowego kapitału na rozwój.

To realna siła, która pozwala nam rosnąć, inwestować i tworzyć ambitne projekty: rozwój portalu, treści wideo, kanałów społecznościowych oraz nowych inicjatyw, które wkrótce zaprezentujemy.

Dziękujemy.
Rozwijamy się dla Was.

Zespół i Redakcja Do Rzeczy SA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Więcej informacji na
WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

eprasa.pl fc73704fe8

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Lwów, 1926 r.

Scena ze sztuki „Hetman Stanisław Żółkiewski" Kazimierza Brończyka, wystawianej w Teatrze Wielkim

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Najwięksi z największych

Byli legendą wojsk Rzeczypospolitej. Ich nazwiska budziły respekt w całym wielkim państwie polsko-litewskim, a także poza granicami. Koniecpolski, Żółkiewski, Tarnowski, Sobieski, Chodkiewicz. Rozprawiano o nich na dworze sułtana, wśród szwedzkiej elity i na Kremlu. Nierzadko nawet miażdżąca przewaga przeciwnika nie była w stanie ich powstrzymać. Zwyciężali nie tylko nagą siłą, lecz także mądrą strategią, wyczuciem pola walki, a niekiedy zwykłym sprytem. Potrafili przewidzieć ruchy przeciwnika i znaleźć się nagle za jego plecami, by zadać śmiertelne uderzenie.

W tym numerze oddajemy w państwa ręce autorski ranking największych polskich hetmanów pióra Jacka Komudy. „Wielcy wodzowie tworzyli legendę dawnej Polski. Byli wybawicielami, obrońcami i lwami walczącymi na granicach Lechistanu. Kiedy ich zabrakło, sarmacka republika zaczęła walić się w otchłań" – pisze Jacek Komuda.

Mogę państwu zdradzić, że trudno było wybrać naszemu autorowi finałową „piątkę". Tylu mieliśmy doskonałych hetmanów! A poza tym czy lepszy jest ten, który w czasach wielkości Rzeczypospolitej pokonuje potężnego przeciwnika i zajmuje nowe, bezkresne tereny, czy ten, który w momencie kryzysu państwa, mając do dyspozycji garstkę żołnierzy, jest w stanie wybronić się z najgorszych opresji i po prostu przetrwać? A jeszcze w grę wchodziła polityka, gdyż hetmani siłą rzeczy musieli przecież umieć nie tylko bić wroga, lecz także prowadzić zakulisowe rozmowy. Zobaczmy zatem, jak to wszystko zważył i ocenił nasz świetny znawca czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. ©℗

eprasa.pl fc73704fe8

/ TEMAT NUMERU

.6 JACEK KOMUDA
Pięć lwów Lechistanu

.12 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Potężny wódz, przeciętni statyści

.16 MICHAŁ MACKIEWICZ
Buławy i buzdygany dawnej Rzeczypospolitej

/ CZASY I LUDZIE

.18 DAMIAN K. MARKOWSKI
Polacy z NKWD przeciw UPA

.22 MIKOŁAJ IWANOW
Wolność na Placu Czerwonym

.26 ANNA SZCZEPAŃSKA
Gehenna chrześcijan na Czarnym Lądzie

.30 PIOTR WŁOCZYK
Nie tylko Maduro

.34 JAKUB OSTROMĘCKI
Chude lata tłustego marszałka

.38 TOMASZ STAŃCZYK
Polska misja Hoovera

.42 LESZEK LUBICKI
Odnowiciel kontra Masław

.46 PIOTR WŁOCZYK
Zgniłe owoce socjalizmu

.50 BEATA ZUBOWICZ
„Magistra" na ratunek

.54 TOMASZ ZAPERT
Klio na nartach

58 SŁAWOMIR KOPER
Wawelskie tajemnice

62 PIOTR SEMKA
Celebrytka wszech czasów

/ CO CZYTAĆ?

.66 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Pasja i misja

.70 RECENZJE

/ FELIETONY

.72 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Polskie glicze

.73 PIOTR SEMKA
Dlaczego Heine nie lubił polowań

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Szumowiny Kamińskiego

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Kauczukowe eldorado

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Doktryna Hannibala

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Droga do Warny

eprasa.pl fc73704fe8

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL: „TYTANI WOJNY"

Książka poświęcona ludziom często zapomnianym i niedostrzeżonym, którzy podczas II wojny światowej walczyli nie zbrojnie, ale wykorzystali do walki swoje talenty i ponadprzeciętne umiejętności, uzyskując efekty istotniejsze od kampanii prowadzonych przez wielkie armie. Naukowcy, lekarze, matematycy, sportowcy, artyści, prawnicy. "Tytani wojny" o wolność Polski.

Eugeniusz Łazowski – lekarz, profesor pediatrii, uratował tysiące ludzi w Stalowej Woli. Przeprowadzał akcje szczepień niegroźną bakterią, po której przerażeni Niemcy ogłosili Stalową Wolę i jej okolice terenem objętym zarazą.
Jerzy Iwanow Szajnowicz – legendarny Agent nr 1. Stworzył na terenie okupowanej Grecji dywersyjną grupę, która zniszczyła dziesiątki niemieckich i włoskich samolotów bojowych. Jako pływak-olimpijczyk samodzielnie uszkodził wiele niemieckich okrętów wojennych w tym kilka U-bootów.
Klementyna Mańkowska – przed wojną żona przy mężu. Od września 1939 jej życie zaczęło przypominać powieść sensacyjną. Współpracowała z wywiadem „Muszkieterów" by na koniec stać się emisariuszem szefa Abwehry, admirała Canarisa, który za jej pośrednictwem chciał utrzymać kanał komunikacyjny z Londynem.
Antoni Kocjan – konstruktor szybowców. W czasie wojny pomagał produkować broń dla podziemia – brawurowo zamawiając podzespoły w niemieckich fabrykach. Dzięki jego działalności AK udało się rozpracować hitlerowski ośrodek rakietowy Peenemünde i dostarczyć do Londynu zdobyty przez polski wywiad pocisk V2.
Franciszek Witaszek – lekarz, naukowiec. Opracowywał receptury trucizn, niesłychanie trudnych do wykrycia, używanych przez podziemie do eliminowania najbardziej strzeżonych niemieckich oficerów.
Henryk Sławik – przedstawiciel Rządu RP na uchodźctwie, działający na Węgrzech, uratował tysiące polskich i żydowskich uchodźców. Uchronił przed śmiercią także Józsefa Antalla, późniejszego premiera Węgier.

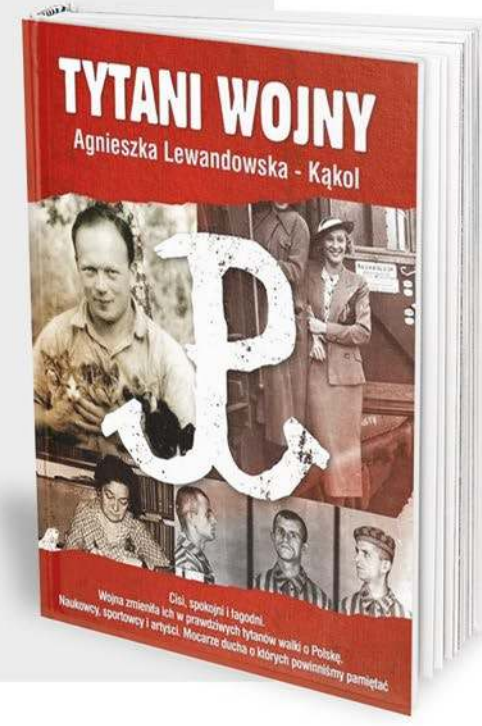

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

176 zł

oszczędność 53 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fc73704fe8

FOT. B. STARZYŃSKI/BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA, ADOBE STOCK - OPRAC.GRAF. 12 KREDEK

Wieki XVI–XVII / Na straży polskich rubieży

Pięć lwów Lechistanu

Jacek Komuda

Wielcy wodzowie tworzyli legendę dawnej Polski. Byli wybawicielami, obrońcami i lwami warującymi na granicach Lechistanu. Kiedy ich zabrakło, sarmacka republika zaczęła walić się w otchłań

eprasa.pl fc73704fe8

Wskazanie najlepszych dowódców z jednej z epok to trudne zadanie; zwykle łatwiej wybrać najgorszych, zwłaszcza gdy dobrze znamy z opracowań historycznych ich porażki. Zwycięstwo jest zawsze sumą osobistych talentów dowódcy i jego podwładnych – o ile umie ich właściwie wykorzystać – a także systemu i zasobów podmiotu politycznego, w którego imieniu prowadzi wojnę. Czy zatem lepszym wodzem był ten hetman, wódz czy generał, który wykorzystywał do zwycięstw przewagę liczebną, techniczną i materiałową, czy jednak ten, który z garścią żołnierzy skutecznie przeciwstawiał się przeważającej potędze, bijąc wroga pomysłowością taktyki i manewru?

Czy lepszym wodzem był gen. George Patton, który odnosił zwycięstwa dzięki amerykańskiej przewadze w sprzęcie wojskowym i zaopatrzeniu, czy może jednak feldmarszałek Gerd von Rundstedt, który nie mając takiej przewagi, odbudował jednak walący się front zachodni i rozbił aliancką operację „Market Garden"?

Podobnie jest z naszymi hetmanami. Powstały o nich tysiące laurek i w kółko powtarzanych frazesów o bitwach takich jak Kłuszyn, Kircholm czy Wiedeń. Dlatego napiszę o pięciu najlepszych to, co do tej pory nie pasowało ani do mitów o skrzydlatej husarii, ani do prób dekonstrukcji i wyrzucenia naszych zwycięstw ze zbiorowej pamięci Polaków.

Najpierw wyjaśnijmy jednak krótko, kim był w dawnej Rzeczypospolitej hetman. To postać szczególna, najwyższy dowódca wojskowy (po królu), mianowany przez władcę, najpierw na określony czas, potem, od 1580 r., dożywotnio, co zresztą stało się w następnych wiekach ogromnym problemem dla Rzeczypospolitej. Podlegały mu wszystkie wojska państwowe, których etat określał sejm (teoretycznie nie miał władzy nad gwardią królewską, oddziałami prywatnymi i powiatowymi, które jednak często również oddawano pod jego komendę). Od razu też instytucja ta została podzielona. Hetman wielki – koronny i litewski – był naczelnym wodzem całej administracji wojskowej. Natomiast polny odpowiadał za obronę kresów Rzeczypospolitej – Ukrainy i pogranicza Litwy i Moskwy.

5. Jan Tarnowski – hetman „czarownik"

To postać z czasów, kiedy dopiero formowała się staropolska sztuka wojenna. Jan Amor Tarnowski brał udział w prawie wszystkich najważniejszych bitwach początku stulecia. W 1512 r. bił się jako rotmistrz pod Wiśniowcem z Tatarami, dwa lata później pod Orszą. Jak podaje Marek Plewczyński, rycerstwo jednego z pięciu hufców ochotniczych wybrało go na dowódcę. W latach 1518–1520 podróżował po świecie, odwiedził Ziemię Świętą, Egipt, Grecję, Turcję, a w Portugalii pasowano go na rycerza. Być może wziął udział w wyprawie przeciwko Maurom. Stał się też członkiem Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie. Po powrocie walczył w ostatniej wojnie z zakonem krzyżackim i brał udział w oblężeniu Królewca w 1520 r. Cztery lata później na polecenie hetmana Mikołaja Firleja rozbił wracających z wyprawy na Polskę Tatarów. Mimo braku doświadczenia w dowodzeniu dużymi grupami wojska w 1527 r. otrzymał nominację na hetmana wielkiego. Wyjechał wówczas na Podole i przeprowadził inspekcję zamków pogranicznych. Był zwolennikiem powołania silnej armii i jednym z polityków, którzy wymusili na sejmie uchwalenie podatku na zwiększenie obrony potocznej i wydanie ordynacji o werbowaniu wojsk zaciężnych na obronę Rusi Czerwonej i Podola.

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

W 1530 r. hospodar mołdawski Piotr Rareş zdobył Śniatyń, a potem pobił hetmana polnego Jana Kolę z Dalejowa. W odpowiedzi sejm uchwalił podatki na utworzenie armii, a dowództwo nad nią oddano właśnie Tarnowskiemu, który na czele wojska wkroczył na Pokucie. 19 sierpnia 1531 r. pobił i rozpędził Mołdawian oblegających Gwoździec. Dwa dni później, kiedy wojsko gotowało się do snu, dowiedział się, że główne siły wroga znajdują się niedaleko obozu. Tarnowski rozkazał założyć warowny obóz z wozów, spinając je systemem husyckim, czyli „koło w koło", i postanowił stoczyć bitwę na wzgórzu w oparciu o tabor. O świcie 22 sierpnia, po pięciu godzinach morderczej walki i ostrzału, armia hospodara została rozbita na skutek zręcznych manewrów hetmana i ataków wyprowadzanych przez bramy taborowe.

Tarnowski wziął potem udział w wyprawie przeciwko Moskwie na czele ok. 6,5 tys. żołnierzy, którzy połączyli się w Rzeczycy z 30-tysięczną armią litewską Jerzego Radziwiłła. 14 lipca 1535 r. rozpoczęło się oblężenie Homla, który szybko skapitulował. Wodzowie skierowali się zatem pod Starodub, który był silnie ufortyfikowaną twierdzą. Miał on drewniano-ziemne umocnienia, odporne na ogień z broni palnej i artylerii. Tarnowski zastosował zatem nowy sposób oblężenia – drążenie tuneli pod pozycjami wroga, które następnie wysadzano. Obrońcy uznali to za… czary, gdyż nigdy wcześniej nie widzieli takiego sposobu zdobywania twierdz. 29 sierpnia wysadzono większą część obwarowań i zdobyto Starodub szturmem. Rozwścieczony dowódca kazał ściąć 1,4 tys. wziętych żywcem Moskali.

Hetman dał się poznać jako dobry gospodarz, założyciel Tarnopola, a także pisarz wojskowy. Był autorem m.in. „Consillium Rationis Bellicae", najwybitniejszego polskiego dzieła opisującego staropolską sztukę wojenną. Innym niesamowitym dziełem Tarnowskiego jest jego diariusz z podróży do Ziemi Świętej i innych miejsc, wydany jako „Terminatio ex itinerario Illustris et Magnifici Domini Joanis Comitis in Tarnow Castellani". Zmarł w 1561 r. w Wiewiórce. Dziełem

eprasa.pl fc73704fe8

jego życia było położenie fundamentów pod staropolską sztukę wojenną, z której potem korzystali jego następcy.

4. Stanisław Koniecpolski – pogromca Gustawa Adolfa

Oto hetman, którego wojskowa kariera zaczęła się w bólu i cierpieniu. Koniecpolski był zastępcą Żółkiewskiego w czasie wyprawy cecorskiej w 1620 r. i dostał się do niewoli, kiedy po pogromie pod Mohylowem próbował przekroczyć Dniestr. Więziony był na zamku w Białogrodzie (Akermanie), później przeniesiono go do Stambułu, do Zamku Siedmiu Wież. Przetrzymywany był tam w osławionej, budzącej grozę Czarnej Wieży i zdobywał względy Turków, m.in. naprawiając zegary, zanim został w 1622 r. wykupiony przez poselstwo Krzysztofa Zbaraskiego.

Kiedy wrócił do kraju, przejął obronę Kresów Wschodnich. Jego pierwszym zwycięstwem było rozbicie 20 czerwca 1624 r. wyprawy tatarskiej Kantymira „Krwawego Miecza", okrutnego wroga i prześladowcy Polaków.

Koniecpolski nie ścigał Tatarów; zaczaił się na nich nad Dniestrem, chcąc dopaść główny kosz w czasie odwrotu, obciążony jasyrem i łupami. Celowo

FOT. MUZEUM PAŁACU W WILANOWIE

ścieśnił własny taborek, chcąc skłonić ordę do ataku. Ostatecznie przeszedł w nocy z wojskiem na drugi brzeg, aby zmusić wroga do forsowania rzeki pod Martynowem. Kolejne ruchy Kantymira i Koniecpolskiego przypominały partię szachów. Ostatecznie hetman oskrzydlił ordę taborkami pod Martynowem i kazał otworzyć ogień, który zdziesiątkował wroga. Uciekający Tatarzy zostali drugi raz przeskrzydleni przez lekką jazdę i przyparci do Dniestru, następnie wpadli do rzeki. „Tam naszy strzelbą, z rusznic, z łuków, jako kaczki po wodzie pływające, pogaństwo strzelali, a drudzy z końmi tonęli, tak też wiele bachmatów, wiele pogaństwa potopionego pływało po Dniestrze, a drudzy od szkap przywaleni na dnie zostali, że tylko kołpaczki i insze rzeczy po wodzie pływały" – pisał naoczny świadek tych wydarzeń.

W kolejnej wojnie Koniecpolski musiał zmierzyć się z zupełnie innym przeciwnikiem – armią szwedzką pod dowództwem króla Gustawa Adolfa, który zaatakował Prusy Królewskie, w celu odcięcia Rzeczypospolitej od Gdańska i ujścia Wisły. W tej kampanii Koniecpolski dokonywał cudów bohaterstwa, starając się utrzymać na służbie nieopłaconych żołnierzy. Walczył zaś z jednym z największych wodzów XVII-wiecznej Europy, Gustawem Adolfem, Napoleonem wojny trzydziestoletniej, który zreformował armię szwedzką na wzór niderlandzki i polski, stawiając na siłę ognia, na wsparcie piechoty artylerią polową, a w jeździe przywracając Szwedom szarżę na polską modłę.

Wojna o ujście Wisły obrosła w wiele mitów. Jednym z nich jest powtarzana za Jerzym Teodorczykiem i jego artykułem „Bitwa pod Gniewem" teza, że nastąpił kryzys wojskowości staropolskiej, a husaria została dosłownie rozstrzelana przez piechotę wroga. W rzeczywistości Gustaw Adolf postanowił po prostu nie dopuścić do starcia w otwartym polu, gdzie jazda polska łatwo mogła wziąć górę nad jego oddziałami, i wydawać bitwy w oparciu o trudny teren i fortyfikacje polowe. Czyli tam, gdzie husarze nie mogli pokazać prawdziwej potęgi swoich kopii i koni. Nie mogąc zatem dopaść przeciwnika w polu, Koniecpolski rozpoczął wojnę „szarpaną", podjazdową, uzyskując w niej kilka zwycięstw, w tym pod Trzcianą, gdzie o mało nie zginął przyszły Lew protestanckiej Europy.

W czerwcu 1629 r. na wycofujące się spod Sztumu wojska szwedzkie uderzyły chorągwie Koniecpolskiego i wspierające go posiłki cesarskie. Gustaw Adolf postanowił ocalić piechotę, poświęcając jazdę i wydając Koniecpolskiemu bitwę. W trakcie walki omal nie zginął, kiedy złapał go za rękę jeden z husarzy. Gustaw miał niebywałe szczęście, nie został bowiem – być może dzięki skromnemu ubiorowi – rozpoznany. Ponoć inny Polak zawołał do husarza, że pojmany to zwykły ciura i szkoda brać go do niewoli. Husarz wzniósł zatem szablę do cięcia, ale nim zdołał zabić króla, uderzenie rajtarów Erika Soopa rozproszyło Polaków.

Koniecpolski bił później Turków od Kamieńcem Podolskim i Tatarów pod Ochmatowem, przygotowując się do wojny z Chanatem, którą planował król Władysław IV. Swój żywot zakończył w dość niespodziewanych okolicznościach, bo na zamku w Brodach, 11 marca 1646 r., po ślubie z młodą Zofią Opalińską i zażyciu zbyt dużej dawki środka podniecającego. Jego śmierć stała się początkiem tragedii dawnej Rzeczypospolitej. Kiedy dwa lata później wybuchło powstanie Kozaków Bohdana Chmielnickiego, zabrakło tego wybitnego wodza na czele armii koronnej.

3. Jan Sobieski – hetman królem

Sobieski powinien być w zasadzie wymieniony na samym końcu jako największy z wielkich. Nie stało się tak, gdyż jego dzieła polityczne nie dorównują militarnym. Za życia odniósł wielkie zwycięstwa nad Turkami i Tatarami – jak Chocim w 1673 r. – ale przede wszystkim ogromne i niezapomniane są bitwa pod Wiedniem w 1683 r. oraz starcie pod Parkanami w październiku tamtego roku. Wszystkie one wpisały się w historię militarną Europy. Niestety, nie potrafił odzyskać Kamieńca i wyplątać Rzeczypospolitej z wyniszczającej wojny z Turcją, nie złamał opozycji Sapiehów, rujnującej Litwę, ani nie doprowadził do końca polityki bałtyckiej mającej wyeliminować Prusy.

eprasa.pl fc73704fe8

Jan Sobieski na obrazie Andrzeja Stecha „Bitwa pod Chocimiem"

FOT. LWOWSKA GALERIA NARODOWA IM. BORYSA WOŹNICKIEGO

Mało kto wie, że Sobieski potrafił złamać szyk tatarsko-kozacki. Było to ugrupowanie, które okazało się mordercze dla armii koronnej w 1648 r., w czasie powstania Chmielnickiego. 4 października 1667 r. pod Podhajcami jako hetman wydał Kozakom i Tatarom bitwę obronną z wykorzystaniem fortyfikacji polowych. To właśnie one pozwoliły zniwelować przewagę ruchliwej jazdy tatarskiej. Bitwa jak zwykle stoczona była przy dużej przewadze sił. Sobieski miał ok. 3–4 tys. żołnierzy i kilka tysięcy miejscowych, uzbrojonych chłopów, a zbuntowany wódz kozacki Doroszenko i kałga sułtan Krym Gerej – ok. 15 tys. ludzi.

Kolejnym wielkim, ale dziś nieco zapomnianym dziełem Sobieskiego była wyprawa na czambuły tatarskie jesienią 1672 r., już po upadku Kamieńca Podolskiego. Wychodząc 5 października z Krasnegostawu przeciwko Tatarom w ok. 3 tys. jazdy komunikiem, to znaczy bez taborów, przebył prawie 500 km, stoczył siedem bitew i potyczek, uwalniając ponad 40 tys. jasyru. Jego taktyki i planowania mogliby się dziś uczyć dowódcy wojsk zmechanizowanych.

Największym jednak jego dziełem jest oczywiście bitwa pod Wiedniem, w której dowodził ogromną, liczącą od 55 do 75 tys. armią sprzymierzonych sił polskich, cesarskich i posiłków z Rzeszy. Zwycięstwo jak zwykle zostało zakłamane przez wielu niechętnych nam historyków (jak choćby Thomasa Barkera czy Onno Kloppa), którzy uważali, że autorem planu bitwy i największym wodzem był dowódca armii cesarskiej – książę Karol Lotaryński. Jednak najnowsze analizy źródeł historycznych wykonane przez Radosława Sikorę pokazują coś zdumiewającego. Oto ostateczna szarża jazdy polskiej, która zeszła ze wzgórz Lasu Wiedeńskiego, nie odbywała się – jak pisał Jan Wimmer – tylko na prawym skrzydle polskim, ale wyszła w postaci jednego, koncentrycznego uderzenia z całej linii bojowej sprzymierzonych wojsk cesarskich i niemieckich. Sobieski bowiem posłał do centrum i na lewe skrzydło część naszej kawalerii.

2. Jan Karol Chodkiewicz – chwała pod Kircholmem

Hetman polny, a potem wielki litewski, przez całe życie szedł ręka w rękę ze Stanisławem Żółkiewskim, a często kończył dzieła, które rozpoczął hetman koronny. Miał trudny charakter, był twardy i brutalny, ale dzięki temu odniósł wiele zwycięstw. Pułkownikiem został już w 1601 r. w Inflantach, a karierę wojskową zaczął od… buntu przeciwko hetmanowi Krzysztofowi Radziwiłłowi „Piorunowi". Wódz nazwał nawet ludzi naszego bohatera… „opryczniками". Przyszły hetman podburzył bowiem plebs, który rzucił się na wychodzących z Kokenhausen, poddających się Szwedów. Chodkiewicz później żałował tego czynu, próbując w zamian dać dobre warunki wrogom poddającym się w innych zamkach.

Był trudny w obejściu i przyjaźni. „Musiałem się jednać z tym Belzebubem na instancję królewską" – pisał po pogodzeniu się z nim kanclerz litewski Lew Sapieha. Anonimowy autor „Wojny inflanckiej" tak scharakteryzował przyszłego hetmana:

Bo wiecie, nasz Chodkiewicz takowej natury
Popędliwy, gniewliwy, milczący, ponury.

Hetmanem polnym został w marcu 1605 r. Był wtedy jedynym wodzem w Inflantach, walcząc ze Szwedami, a także z własnym wojskiem, nieopłaconym, buntującym się. W takich warunkach odniósł zwycięstwo w bitwie pod Białym Kamieniem. A potem dokonał cudu, bijąc króla Szwecji Karola IX Sudermańskiego, który wylądował z dużą armią w Inflantach i rozpoczął oblężenie Rygi. Kiedy hetman usiłował go powstrzymać, Szwed uderzył na niego, aby zabezpieczyć tyły. W ten sposób doszło do bitwy pod Kircholmem 27 września 1605 r., sztandarowego zwycięstwa husarii odniesionego przy miażdżącej dysproporcji sił – Szwedów było w tej bitwie ok. 11–12 tys. ludzi, odliczając dezercje, rannych i zaginionych, natomiast Polaków i Litwinów: ok. 3–5 tys.

Chodkiewicz odniósł zwycięstwo dzięki manewrowi. Najpierw rzucił harcowników, potem wycofał ich, co Szwedzi, mający przewagę pozycji na wzgórzach, wzięli za odwrót i rozpoczęli uderzenie. Jednocześnie rajtaria wyszła na skrzydła piechoty pierwszego rzutu. Natychmiast zaatakowały ją chorągwie husarskie, rozbiły i zepchnęły na piechotę. Jest rzeczą zadziwiającą, że przy

FOT. ZAMEK W KÓRNIKU, BK PAN

eprasa.pl fc73704fe8

takiej dysproporcji sił główne starcie trwało – jak podają historycy – dosłownie kilkanaście minut! Zdaniem Franciszka Kudelki „właściwa bitwa zaczęła się około 1 z południa i najdalej w przeciągu 15–20 minut, z natury walki konnej, skończyć się musiała, potem rzeź i pogoń do wieczora". Na pół godziny oceniał czas starcia Otton Laskowski.

Kircholm Chodkiewicza to legendarna bitwa husarii, ale nieprawdą jest, że nie została ona wykorzystana z powodu nieopłacenia wojska. Celem hetmana było przecież niedopuszczenie do zdobycia przez Szwedów Rygi, co jak najbardziej osiągnął.

W kolejnych latach Chodkiewicz kończył to, co zaczął Żółkiewski. Dowodził odsieczą dla polskiego garnizonu Moskwy w 1612 r., a pięć lat później wziął udział w wyprawie na Wschód i wymusił na Moskalach rozejm w Dywilinie (w styczniu 1619 r.).

Ostatnią rzeczą, którą „poprawił" po swoim koledze z korony, była obrona Chocimia i całej Rzeczypospolitej w 1621 r.

Po klęsce Żółkiewskiego pod Cecorą i Mohylowem Turcy przygotowali ogromną wyprawę na Koronę i Litwę. Pomimo złego stanu zdrowia hetman litewski zgodził się objąć komendę nad wojskiem koronnym. Jak podaje Leszek Podhorodecki, Chodkiewicz ciężko zachorował na podagrę i stał się jeszcze trudniejszy w obejściu. Jednak postanowił wydać bitwę w pobliżu granicy, pod Chocimiem nad Dniestrem, gdzie znajdowała się mała twierdza. Oczywiście nie mogła ona pomieścić wojsk polskich, litewskich i kozackich, a także lisowczyków, więc założono dla nich wielki obóz na brzegu rzeki, tuż obok zamku.

Chodkiewicz brutalnymi metodami przywracał dyscyplinę. Niejakiego Gosławskiego skazał na ścięcie i kazał wykonać wyrok tak szybko, że oskarżony nie zdążył nawet się wyspowiadać. Słysząc, jak żołnierze rozprawiali o wielkiej liczbie wojsk sułtana Osmana, wziął szablę do ręki i powiedział: „Ta ich policzy!". Innego dnia, gdy podwładni mówili z przejęciem o wielkiej popędliwości i gniewie sułtana, stwierdził krótko: „Zły pies, dla wilków strawa".

Mało kto wie, że przez cały okres oblężenia Chodkiewicz parł do bitwy w polu, chcąc rozbić armię turecką w walnym starciu. Najpierw chciał to zrobić 4 września, ale przydani mu komisarze nie byli skłonni iść na takie ryzyko. 7 września wyprowadził jazdę za wały, atakując z flanki szturmujących obóz Turków. Dzień później wysunął przed szańce całą armię, chcąc sprowokować wroga do bitwy. 9 września jeszcze raz wyprowadził w pole całą armię, ale i tym razem Turcy nie przyjęli wyzwania. Jednak kiedy zaczął się szturm, hetman wsparł Kozaków zaporoskich piechotą, a na prawym skrzydle kazał Stanisławowi Lubomirskiemu wyprowadzić w pole jazdę, która odpędziła od wału Tatarów.

Były to już ostatnie dzieła wojenne Chodkiewicza, który umierał. 18 września zwołał koło generalne z udziałem nie tylko dowódców wojskowych, lecz także starszyzny kozackiej. Otwarcie zapytał, czy wycofać się spod Chocimia. Jednak kozacki dowódca Piotr Konaszewicz-Sahajdaczny zakrzyknął: „Lepiej uczciwie za ojczyznę umierać, niżeli brać się do ucieczki, nie-godnej ludzi rycerskich i zelżywej, tak niebezpiecznej!". Poparli go wszyscy.

23 września komisarze, senatorowie i pułkownicy zebrali się u łoża umierającego Chodkiewicza. Hetman podał Lubomirskiemu buławę na znak, że mianuje go swoim następcą. Później pobłogosławił nowego wodza i złożył ręce do modlitwy. Na ten widok wszyscy obecni uklękli. Ostatnie słowa, które wyrzekł, brzmiały: „In manus tuas Domine" („W twoje ręce, Panie").

Chociaż jego śmierci nie dało się ukryć, obrona nie załamała się. 9 października podpisano pokój, który zakończył wojnę bez żadnych strat dla Rzeczypospolitej.

1. Stanisław Żółkiewski – zdobywca Moskwy

Uznałem go za największego hetmana, zdając sobie sprawę, że będzie budził kontrowersje. Nie ukrywam, że z powodów politycznych. Dziś, w trakcie wojny z Rosją, potrzebujemy zwycięskich wodzów, ludzi odważnych do szaleństwa, bo być może wkrótce przyjdzie nam się zmierzyć z tym samym przeciwnikiem, którego bił na głowę nasz hetman polny koronny.

Żółkiewski uczynił coś, czemu nie sprostała nawet machina wojenna III Rzeszy. Zdobył Moskwę, co więcej – uczynił to w sposób pokojowy, dokonując najpierw ogromnej demonstracji siły, dzięki której rozpadła się władza cara Szujskiego. W 1610 r. przeprowadził coś, co można by nazwać „operacją kłuszyńską", manewr, który zakończył się zwycięską bitwą pod Kłuszynem. Doszło do niej, kiedy Rzeczpospolita oficjalnie wmieszała się do walki o tron moskiewski, a król Zygmunt III Waza obległ Smoleńsk. Gdy car Wasyl Szujski wysłał na odsiecz armię brata Dymitra i wspierające go oddziały szwedzkie pod wodzą Jakuba de la Gardie, Żółkiewski miał zniszczyć ją, zanim uderzy od tyłu na oblegającą twierdzę armię królewską. Nikt nie kwapił się, aby przejąć ten obowiązek – wymówił się od

eprasa.pl fc73704fe8

Stanisław Żółkiewski prezentuje jeńców - carów Szujskich w Sejmie. Obraz Jana Matejki

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

tego nawet zaufany człowiek króla, Jan Potocki, wojewoda bracławski. Żółkiewski wyruszył na czele zaledwie ok. 3–4 tys. ludzi, do których dołączyli Kozacy zaporoscy i oddziały polskie Dymitra Samozwańca II z Tuszyna, które przeszły na stronę królewską.

Hetman polny uderzył najpierw na straż przednią wojsk moskiewskich pod dowództwem Grigorija Wałujewa, który obwarował się w Carewym Zajmiszczu. Rozpoznał zasadzkę nieprzyjaciela na grobli, zdołał odciąć ją od traktu do Możajska, gdzie gromadziła się wielka armia Dymitra Szujskiego. Żółkiewski otoczył ufortyfikowany ostróżek własnymi fortyfikacjami, aby wziąć nieprzyjaciela głodem. Próbował też wbić klina pomiędzy przeciwników, wysyłając przekupionego Francuza z listem do wojsk cudzoziemskich walczących po stronie moskiewskiej.

Tymczasem przebywający w Możajsku Dymitr Szujski i Jakub de la Gardie postanowili maszerować pod Carewo Zajmiszcze okrężną drogą od północny, aby dopaść hetmana w trakcie, gdy oblegał Wałujewa i z kolei jego samego otoczyć ostróżkami i osaczyć za pomocą fortyfikacji, gdyż obawiali się bitwy w polu. Rozpatrywali też wariant, w którym Wałujew, wsparty posiłkami, zatrzyma szczupłą armię Żółkiewskiego, a główne siły pomaszerują pod Smoleńsk, przerywając oblężenie.

Hetman pokrzyżował te plany, przeprowadzając śmiałą, staropolską operację wojskową, wykazując się wówczas odwagą i uporem, jakich nam dzisiaj trzeba. 3 lipca wieczorem pozostawił pod Carewym Zajmiszczem 2 tys. Kozaków, 800 żołnierzy piechoty i 700 jazdy, wychodząc skrycie z obozu, maszerując pod osłoną nocy i uderzając niespodziewanie na główną armię moskiewsko-szwedzką obozującą pod Kłuszynem.

Nie wspomniałem jeszcze o ogromnej przewadze liczebnej przeciwnika. Niektórzy historycy pisali, że Dymitr Szujski miał pod rozkazami nawet do 30–40 tys. żołnierzy, podczas gdy hetman dysponował ok. 7 tys., w większości husarią. Najnowsze prace Radosława Sikory podają zaś, że strona moskiewsko-szwedzka miała nawet 14-krotną przewagę w polu. Przeciwko maksymalnie 3,1 tys. żołnierzy hetmana stało ponad 18 tys. wojsk moskiewskich i szwedzkich, a uwzględniając także służbę i czeladź w armii moskiewskiej, mogło być ich nawet do 38 tys.

Wbrew temu, co można by sądzić, to największe zwycięstwo husarii odniesione zostało dosłownie na pograniczu wytrzymałości towarzyszy, pocztowych i ich koni. Bitwa składała się z wielu szarż polskich chorągwi, które wpadały na odgrodzone płotem wojska moskiewskie i szwedzkie. Kolejno: szarżując, następnie wycofując się, formując szyki na nowo i uderzając jeszcze raz i jeszcze raz – już bez kopii i koncerzy, które łamały się w pierwszych starciach. Świadek tych wydarzeń Samuel Maskiewicz pisał, że niektórym rotom zdarzało się osiem albo nawet dziesięć razy „przyjść do sprawy i potykać się z nieprzyjacielem".

Była to potworna bitwa na wyczerpanie, w dodatku na lewym skrzydle polskim husaria nie mogła atakować Szwedów, gdyż płot nie miał tutaj przerw. Kozacy usiłowali zrobić w nim wyłomy, a husarze próbowali obalić go piersiami końskimi. Wszystko omal nie zakończyło się tragicznie.

Ostatecznie impas przełamało uderzenie dwóch kornetów szwedzkiej rajtarii, które po wyprowadzeniu do walki zostały rozniesione przez chorągwie husarskie i rzuciły się do ucieczki, wpadając na jazdę moskiewską, która także uciekła w panice. Na pole bitwy dotarły w końcu piechota i dwa działa, które zniszczyły część płotu na lewym skrzydle. Umożliwiło to przełamanie szyków rajtarii i piechoty, co skończyło się ucieczką wojsk szwedzkich.

Zwycięstwo otworzyło drogę na Moskwę i zapoczątkowało polityczny spór między hetmanem a królem. Żółkiewski 27 sierpnia podpisał bowiem z bojarami ugodę, w której ci ostatni przyjęli za cara królewicza Władysława, a 9 października 1610 r. chorągwie polskie weszły do Moskwy na zaproszenie Dumy, która obawiała się zarówno ataku wojsk Dymitra Samozwańca II, jak i buntu czerni, czyli miru. Żółkiewski ludzkim postępowaniem zjednał sobie elity moskiewskie. To dzięki niemu Rzeczpospolita odniosła wiekuisty triumf – hołd moskiewski złożony rok później w Warszawie, na Zamku Królewskim, kiedy zrzucony z tronu Wasyl Szujski ukorzył się w Warszawie przed polskim królem.

Jednak Zygmunt III nie zamierzał honorować umowy hetmana z bojarami. Dlatego rozgoryczony Żółkiewski wrócił na Ruś Czerwoną, aby strzec granicy z Tatarami i Turkami. Tutaj znalazł śmierć. W 1620 r., uprzedzając atak turecki, wkroczył do Mołdawii w obronie propolskiego hospodara i tym samym dał się wciągnąć w tzw. pułapkę bałkańską. Turcja była tak rozległym imperium, że ściągnięcie głównych sił z Anatolii w celu obrony Bałkanów musiało trwać długie miesiące – tak właśnie myśleli przez wieki dowódcy polscy, cesarscy i węgierscy; zakładali, że jeśli niespodziewanie zaatakują posiadłości tureckie w Serbii, Bułgarii lub na Wołoszczyźnie, to zdołają osiągnąć wielkie sukcesy i umocnić zdobyte tereny, zanim potężna armia Wielkiej Porty przeprawi się przez Dardanele.

Kłopot w tym, że od XIV do XVII w. bez przerwy popełniano ten sam błąd, nie doceniając szybkości przemarszu i mobilizacji wojska tureckiego. Bo koniec końców ten plan zawsze zawodził i Turcy zjawiali się na polu walki znacznie wcześniej, niż ich oczekiwano! W 1396 r. armia Bajazyda zaskoczyła krzyżowców oblegających Nikopolis, a w 1444 r. niespodziewanie przeprawiła się do Europy i zadała klęskę wojskom Władysława Warneńczyka, kiedy nikt nie spodziewał się tak szybkiego przemarszu. Taki sam los spotkał Żółkiewskiego, który zakończył życie jako męczennik w czasie odwrotu z Cecory. Wielki hetman zginął pod Mohylewem nad Dniestrem, po stronie wołoskiej, a jego głowę wysłano sułtanowi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Grzegorz Janiszewski

Wieki XVI i XVII / Żółkiewski zbiera doświadczenie

Potężny wódz, przeciętni statyści

Hetman Żółkiewski przyczynił się do tego, że Rzeczpospolita sięgnęła szczytu swojej potęgi. Uczestniczył też jednak w wydarzeniach, które niechybnie zwiastowały jej upadek

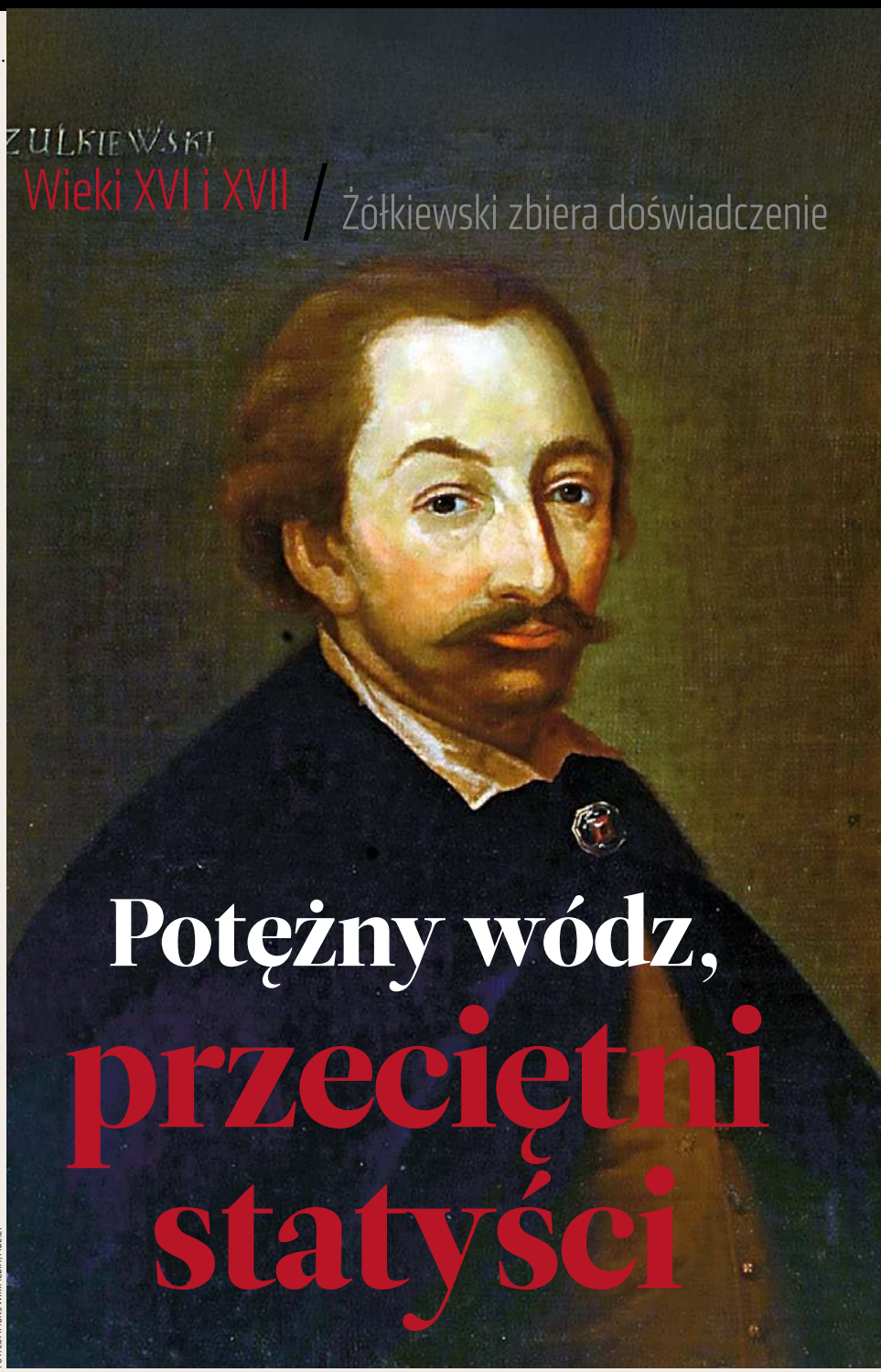

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MDL.LT

O głowach 11 kaprów, nabitych na pale przy Bramie Wyżynnej prawie 10 lat wcześniej, niemal nikt już nie pamiętał. W Wielkanoc 1577 r. przez bramę maszerowali landsknechci najęci przez Gdańsk, żeby rozprawić się z wojskami polskiego króla, który chciał przykładnie ukarać krnąbrne miasto. Najemnicy byli dobrej myśli. Razem z gdańskim pospolitym ruszeniem było ich cztery razy więcej, mieli też trzy razy więcej dział niż Polacy. Dowodził nimi Hans Winkelbruch, znany kondotier, który kiedyś obronił Magdeburg.

Pod Tczewem na Gdańszczan czekał hetman Jan Zborowski. Doświadczony w wojnach ze Szwecją, z Rosją i Danią, wiódł ok. 200 Kozaków, 600 węgierskich hajduków i 1 tys. husarzy. W szeregach Zborowskiego na wroga czekał też 30-letni Stanisław Żółkiewski.

Krnąbrne miasto

Gdańsk od wojny trzynastoletniej niepomiernie urósł w siłę, kontrolując żeglugę wiślaną i pobierając z tego tytułu podatki. Przyczyniły się do tego również zmiany na zachodzie Europy. Głównie rozwój gospodarki towarowo-pieniężnej i tzw. mała rozbieżność, czyli o wiele szybszy rozwój północno-zachodniej części kontynentu, głównie Anglii i Holandii. Ich gospodarki zasysały tanie, proste towary; głównie zboże, drewno, smołę i potaż. W drugą stronę płynęły przyprawy z Azji, sukno, porcelana i wyroby rzemieślników. Gdańsk został głównym pośrednikiem w tym handlu, detronizując Lubekę i czerpiąc z niego ogromne zyski. Jednak Rzeczpospolita nie miała z tego wiele. Próby podporządkowania miasta kończyły się marnie, jak w 1568 r., kiedy bezprawnie ścięto 11 kaprów posiadających królewskie listy uwierzytelniające. Sprawy miały zostać uregulowane przez tzw. Statuty Karnkowskiego z 1570 r. Określały one politykę morską Rzeczypospolitej z korzyścią dla niej i nakładały ograniczenia na Gdańsk. Miasto niewiele sobie jednak z tego robiło.

Po obwołaniu Maksymiliana II królem Polski w grudniu 1575 r. Gdańsk, licząc na wzmocnienie więzi z habsburski-

eprasa.pl fc73704fe8

Gdańska piechota zaciężna z końca XVI w. Malowidło we Dworze Artusa FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GYDDANYZC

mi posiadłościami w Niderlandach, zdecydowanie opowiedział się po jego stronie. Trwał przy tym wyborze nawet po jego śmierci w październiku 1576 r. Gdańscy mieszczanie twardo uzależniali poparcie dla Batorego od uprzedniego potwierdzenia starych przywilejów, de facto uniezależniających miasto od Rzeczypospolitej. Jak pisała prof. Urszula Augustyniak, władze Gdańska traktowały „państwo jako połączenie równoprawnych członów podległych bezpośrednio monarsze. Z tego punktu widzenia do dokonania elekcji władcy niezbędna była zgoda każdego z członów federacji. Jednym z nich był (zdaniem swych obywateli) Gdańsk jako osobna republika posiadająca własne instytucje, urzędników i wolności".

Batory nie miał zamiaru się patyczkować. Gdańsk został objęty banicją, a handel miał odbywać się przez Elbląg. Polska szlachta była mniej entuzjastyczna i nie zgodziła się na wojenne podatki. Król mógł więc wystawić przeciw zbuntowanemu miastu tylko garstkę husarii i swoich hajduków, których przywiózł z Siedmiogrodu. Tymczasem Gdańsk najął kilka tysięcy najemników z Niemiec i sprzymierzył się z Duńczykami, którzy zablokowali port w Elblągu.

16 kwietnia 1577 r. miejskie oddziały wyruszyły w kierunku Tczewa. Większość z nich – 9 tys. ludzi – miała ruszyć wprost na siły polskie. Około 200 muszkieterów miało zostać przetransportowanych statkami i zdobyć Tczew. Hetman Zborowski, któremu szpiedzy donieśli o tym ruchu, postanowił rozbić przeciwnika w polu, zamiast zamykać się w mieście. Wyruszył zatem w kierunku dogodnej do obrony przeprawy przez Motławę w Rokitkach, gdzie chciał zatrzymać przeciwnika. Winkelbruch skierował tam pospolite ruszenie, żeby ściągnęło na siebie atak. Zawodowi landsknechci i rajtarzy mieli niespodziewanie uderzyć od południa, na zajęte walką wojsko Zborowskiego. Hetman dowiedział się jednak o tych planach z doniesień zwiadowców. Wysłał więc trzon swoich sił – husarię i hajduków – na bród na Motławie pod Lubiszewem.

Kiedy jego żołnierze tam dotarli, zastali najemników przeprawiających się przez rzekę. Połowa z nich, która do tego czasu zdołała to zrobić, szybko ustawiła się w szyku do walki. Gdańskie armaty rozpoczęły ostrzał. Jedna z kul o mało nie zabiła hetmana Zborowskiego. Jak pisał uczestniczący w bitwie Bartłomiej Paprocki: „Kula wielka uderzyła pod koń hetmański, aż się w koło obrócił. Zborowski zaraz z tego miejsca uskoczywszy, krzyknął na roty, aby się potykały". Hajducy ostrzelali landsknechtów z arkebuzów, a potem rzucili się do ataku. Zdobyli trzy działa, z których zaczęli strzelać do najemników. Na prawym skrzydle szarża husarii i petryhorców nie zdołała przełamać szyku rajtarów. Udało się to dopiero za drugim razem. Rajtarzy, uciekając, zmieszali szyki stojących na lewym skrzydle landsknechtów. Gdańskie pospolite ruszenie spanikowało i zaczęło bezładnie uciekać, pociągając za sobą najemników. Widząc to, żołnierze, którzy jeszcze nie przeprawili się przez Motławę, też wzięli nogi za pas.

W bitwie odznaczył się młody porucznik Stanisław Żółkiewski. Jak pisał Maciej Rosalak, „w oczach 30-letniego Żółkiewskiego ów sukces dowiódł wyższości zawodowego wojska nad uzbrojonymi mieszczanami, skuteczności współdziałania dobrze wyszkolonej kawalerii i piechoty, druzgocącej siły naszych husarzy i bezsensu panicznej ucieczki, którą wywołała już druga ich szarża". Bitwa zakończyła się rzezią Gdańszczan, których miało zginąć ponad 4 tys., przy polskich stratach wynoszących zaledwie 60 zabitych. Paweł Jasienica tak podsumował to starcie: „Zwycięstwo odniesione w okolicach Tczewa to jakby zapowiedź rozkwitu sztuki i techniki wojennej w Rzeczypospolitej". To prawda, choć nie do końca, o czym sam Żółkiewski miał się przekonać za 25 lat w bitwie pod Rewlem.

Oblężenie Gdańska w 1577 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl fc73704fe8

Husarią nie dało się zdobywać potężnych murów Gdańska, hajduków była garstka w porównaniu z najemnikami, których znowu zaczął ściągać Gdańsk. Na Zatoce Puckiej królowała sprzymierzona z miastem duńska flota. Po kilkumiesięcznym, prowadzonym ze zmiennym szczęściem oblężeniu Batory przystał na rokowania z Gdańskiem zmęczonym blokadą lądową i przekierowaniem handlu do Elbląga. Mieszczanie zręcznie wykorzystali swoje atuty, obdarowując polskich posłów i obiecując królowi pomoc w wojnie z Moskwą. Jak pisał sam Batory: „Kiedy ja strzelam ku nim ołowianymi kulami, oni odpowiadają złotymi". Postanowienia zawartych w grudniu 1577 r. układów były bardzo korzystne dla miasta. Potwierdzały dawne przywileje. Statuty Karnkowskiego poszły w niepamięć.

Głowa zdrajcy

Żółkiewski odegrał też jedną z głównych ról w rozprawie z rodem Zborowskich. Sprawie, która rozpaliła szlacheckie głowy i podzieliła ten stan jak chyba nigdy dotąd. Samuel Zborowski był niewątpliwie warchołem i zabijaką, korzystającym z wolności szlacheckiej do granic, a często je przekraczającym. Skazany został na banicję 10 lat wcześniej, jeszcze za Henryka Walezego. Od tamtego czasu nieustannie knuł, mścił się, odgrażał i odgrywał na Rzeczypospolitej. Gdzie indziej podobny wichrzyciel dawno położyłby głowę z rozkazu króla, co zakończyłoby sprawę, jednocześnie wzmacniając monarszą władzę. W Polsce Zborowski – wielokrotnie napominany – tylko utwierdzał się w swojej hardości.

Pod koniec kwietnia 1584 r. wraz ze zbrojną kompanią maszerował na Kraków, odgrażając się kanclerzowi Zamoyskiemu, że „będzie go zbrojną ręką ścigać". Wobec takiego postępowania Zamoyski kazał go ująć. Wyznaczył do tej misji Żółkiewskiego, którego był protektorem. Przyszły hetman znalazł go w Piekarach pod Krakowem. Żółkiewski miał osobiście wyrąbać toporem drzwi do dworu siostrzenicy Zborowskiego, u której ten się zatrzymał. Doprowadził go do więzienia na Wawelu, a potem asystował przy egzekucji na zamkowym

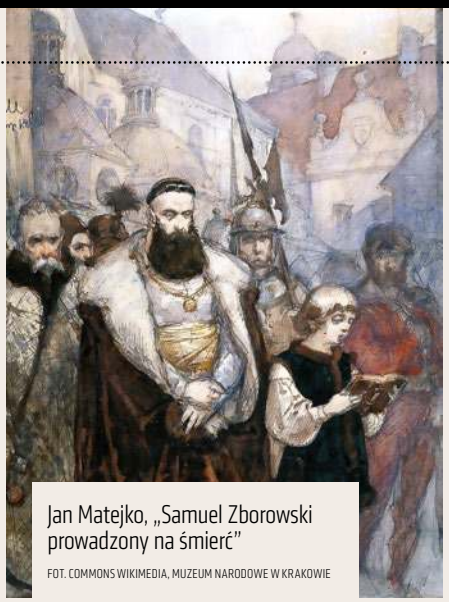

Jan Matejko, „Samuel Zborowski prowadzony na śmierć"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

dziedzińcu. Na ścięcie wyraził zgodę sam Batory, mówiąc, że „martwy pies nie gryzie". Pod względem prawnym sytuacja była wątpliwa. Zborowski był banitą, ale nie infamisem, a jego ścięcie tworzyło groźny precedens dla szlacheckiej „wolności". Zborowscy wykorzystali to do maksimum. Kazali przyszyć odciętą głowę do ciała skazańca. Następnie trumnę z okienkiem obwożono po Polsce jako dowód tyranii Batorego i Zamoyskiego. To trumienne „tournée" skończyło się dopiero, kiedy król zagroził, że każe ją utopić w Wiśle.

Sprawa Zborowskiego stała się kamieniem obrazy i jątrzącą raną, inspirującą rzeczników nieskrępowanej demokracji szlacheckiej, złotej wolności i liberum veto. Skupiona wokół tych tematów szlachta nie potrafiła dostrzec prawdziwych zagrożeń i uniemożliwiała reformę państwa. Na sejmie koronacyjnym w 1588 r. przyjęto ustawę, która pozbawiała króla – jako stronę w sporze – decydującego głosu w sprawach o obrazę stanu. Zabraniała też ścigać szlachciców we własnych domach. Na sejmie pacyfikacyjnym 1589 r. zwołanym dla uspokojenia sytuacji po wojnie domowej związanej z elekcją Maksymiliana Habsburga – jednoznacznie zresztą popieranego przez Zborowskich – Sejm uznał co prawda egzekucję Samuela za zgodną z prawem, ale jednocześnie odrzucił projekt kanclerza Zamoyskiego w sprawie reformy wolnej elekcji, znacznie ulepszający system rządów.

W rosnących w siłę absolutystycznych europejskich monarchiach władza króla się umacniała. W Polsce tymczasem monarcha stał się jednym z elementów systemu, coraz bardziej uzależnionym od kapryśnego i słuchającego obcych podszeptów organu, którym stawał się Sejm. Dobitnie wyraził to na jego posiedzeniu w 1652 r. (powszechnie, chociaż nie do końca słusznie uważanym za pierwsze zerwane przez liberum veto) poseł Stefan Zamoyski, krzycząc do Jana Kazimierza: „U nas rządzi prawo, a nie król". Monarsze nie pozostało nic innego, jak tylko opuścić sejmową salę.

Husarz. Rysunek Antoniego Strzałeckiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Nienawiść

Bunt kozackich przywódców Nalewajki, Łobody i Sawuły plenił się szybko po Ukrainie, sięgając w 1595 r. nawet Polesia. Do jego stłumienia Zygmunt III wyznaczył Żółkiewskiego. Miała to być pierwsza samodzielna wyprawa hetmana.

Żółkiewski działał szybko, przede wszystkim nie chcąc dopuścić do połączenia kozackich sił. Pod koniec lutego 1596 r. zniósł tylną straż Nalewajki, ale reszta jego sił wymknęła się lasami i na wiosnę połączyła z oddziałami Łobody i Sawuły w okolicach Kaniowa i Czerkasów. Po nieudanym ataku na Kijów Kozacy wycofali się za Dniepr. Żółkiewski dopadł ich na uroczysku Sołonica pod Łubniami, w ufortyfikowanym taborze z 6 tys. ludzi. Wozy obsypano ziemią

eprasa.pl fc73704fe8

i podniesiono ich dyszle, tworząc coś na kształt palisady. Przed nią obrońcy wykopali rów. Kozaccy strzelcy rozmieścili się w trzech liniach, mogąc prowadzić nieprzerwany ogień. W rogach umieszczono działa. Żółkiewski prowadził ok. 5 tys. ludzi i miał 25 lekkich działek. Po dwóch nieudanych szturmach hetman postanowił rozpocząć regularne oblężenie. Wiedział, że wkrótce w taborze zaczną się kłopoty z żywnością i wodą; liczył na bunt licznej tam czerni. Posłał też po ciężkie działa, które przybyły 4 czerwca i zaczęły ostrzeliwać obóz. Po czterech dniach wygłodniali i zmęczeni ostrzałem Kozacy się poddali. Uzgodniono, że buntownicy wydadzą przywódców, armaty, chorągwie i trąby, ale zostaną puszczeni wolno. Przy wychodzeniu czerni z obozu polscy szlachcice zaczęli z niej wyłapywać swoich chłopów, którzy według nich nie byli objęci umową. Kozacy zwrócili się do Żółkiewskiego, grożąc, że będą „bronić się do gardeł swoich". Żółkiewski odkrzyknął „brońcież!", co szlachta uznała za przyzwolenie na atak. Zaczęła się rzeź, w której zginęło od kilkuset do kilku tysięcy Kozaków. Nalewajko został przewieziony do Warszawy i ścięty na dzisiejszych Nalewkach 11 kwietnia 1597 r. Według kozackiej legendy miał on zostać usmażony w żelaznym byku.

Te wydarzenia, w Polsce prawie całkiem zapomniane, na Ukrainie są jednym z narodowych mitów. Jak pisał Jerzy Besala, stały się one „zasiewem nieprzejednanej nienawiści", która już wtedy „wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą". Sam Żółkiewski żałował tego i mocno tłumaczył się w liście do króla, że przed rzezią „obronić żadnym sposobem między ludźmi zajuszonymi nie mogło, choć z wszelką pracą i staraniem z panami rotmistrzami zabiegałem temu".

Kopie i muszkiety

Podczas wojny ze Szwecją o Inflanty w czerwcu 1602 r. miała miejsce niewielka bitwa pod Rewlem. Przyćmiona polskimi zwycięstwami pod Kokenhausen, a zwłaszcza pod Kircholmem, nie jest zbyt często wspominana. Żółkiewski z kilkoma chorągwiami jazdy wyprawił

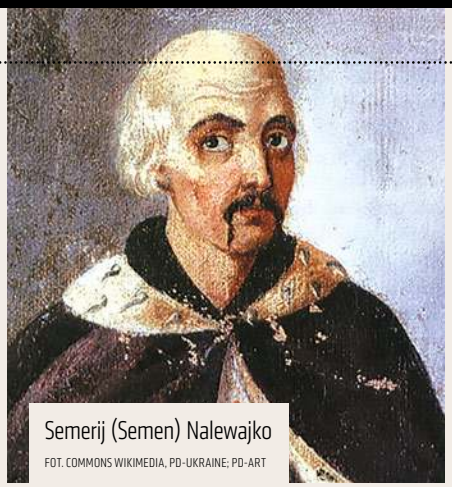

Semerij (Semen) Nalewajko

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PD-UKRAINE; PD-ART

się wtedy pod dzisiejszy Tallin. Zbierali się tam Szwedzi, chcąc przyjść z odsieczą twierdzy w Białym Kamieniu, obleganej przez Zamoyskiego. Ówczesna armia szwedzka, oględnie mówiąc, nie była wtedy w szczytowej formie. Pewny przewagi Żółkiewski rzucił zatem z marszu na Szwedów dwie husarskie chorągwie pod dowództwem Stanisława Potockiego i Zygmunta Kazanowskiego. Dwie kolejne szarże załamały się na ustawionych przed frontem przez szwedzkich żołnierzy hiszpańskich kozłach najeżonych kolcami. Husarze zaczęli bezradnie kręcić się przed przeszkodą, ostrzeliwani z muszkietów. W końcu musieli się wycofać. Żółkiewski rzucił do walki lekką jazdę, która obeszła szwedzkie pozycje przez bagnisty teren i uderzyła od tyłu. Dopiero wtedy powiódł się frontalny atak husarii, poprowadzony na zajętą walką piechotę. Szwedzi stracili kilkuset żołnierzy, poległ też przebity husarską kopią ich dowódca Reinhold Anrep.

Bitwa była kolejnym zwycięstwem Żółkiewskiego. Przebieg starcia pokazał jednak, że czasy się zmieniają i husaria wkrótce może przestać być niepokonana. To Jan VII hrabia Nassau-Siegen, specjalnie ściągnięty z Niderlandów dowódca Szwedów, zaopatrzył swoich żołnierzy w hiszpańskie kozły. Był on jednym z głównych reformatorów armii północnych prowincji niderlandzkich, którym niedawno udało się obronić przed potężną Hiszpanią.

Jan wprowadzał innowacje, które czyniły z plebejskiej, pogardzanej piechoty potężną broń. Dyscyplina i musztra wraz z jednolitą komendą pozwalały sprawnie dowodzić oddziałami na polu walki. Pobór do wojska, przeprowadzany głównie wśród chłopstwa, i standaryzacja broni – jednakowa długość pik i kaliber muszkietów – potaniły koszty prowadzenia działań. Salwy z broni palnej, oddawane przez kolejne szeregi żołnierzy w tzw. kontrmarszu, w połączeniu z lasem długich pik, którymi najeżone były oddziały, pozwalał na zatrzymanie nawet ciężkiej jazdy. Era drogiej i elitarnej husarii zaczęła dobiegać końca.

Boleśnie przekonali się o tym następcy Żółkiewskiego. Szwedzka armia, wyszkolona na nowych wzorcach, coraz lepiej radziła sobie z wojskiem Rzeczypospolitej. Po raz pierwszy husaria została zatrzymana ogniem z muszkietów i dział w 1622 r., podczas bitwy pod Mitawą. W 1655 r. pod Ujściem dzielnie bili się tylko piechota łanowa i nieliczni ochotnicy. Reszta pospolitego ruszenia poddała się na sam widok siły ognia i sprawności bojowej Szwedów, kiedy ci zaczęli okrążać polski obóz. Szwedzki potop pokazał dobitnie rozdźwięk między zachodnią i polską sztuką wojenną. Ostatnia większa porażka husarii pod Kliszowem w 1702 r. skomentowana została w satyrycznym wierszu „Woleli swój grzbiet uchylić pod Kije / Niżeli kruszyć o Szwedów kopije". Na zachodzie od dziesiątków lat nie kruszono kopii, które zastąpiły broń palna i pika.

Statyści

Za czasów Żółkiewskiego Polska stała się potęgą, osiągając największe rozmiary w swojej historii. Jednocześnie duszona była przez nadmorskie miasto, kontrolujące większą część jej handlu i czerpiące z tego niebotyczne zyski. Nierozwiązana kwestia kozacka z biegiem czasu przerodziła się w ciąg wzajemnych krzywd i zbrodni, niemożliwych do naprawienia i rzutujących na wzajemne stosunki do dzisiaj. Przestarzałe i nieliczne wojsko nie mogło sprostać nowoczesnym siłom zbrojnym sąsiadów. Państwa rządzonego przez „szlacheckich demokratów", niemal równych królowi, nie sposób było reformować.

Wybitny wódz, którym był Żółkiewski, brał udział w tych zdarzeniach, ale odpowiadał za to w niewielkim stopniu. Zawinili zazdrośnie strzegący anachronicznych przywilejów, łasi na pieniądze, a przede wszystkim przeciętni „statyści", jak wtedy nazywano polityków.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Portret Jana Karola Chodkiewicza ze złoconą buławą wysadzaną drogimi kamieniami. Obraz nieznanego malarza

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Buławy i buzdygany dawnej Rzeczypospolitej

Michał Mackiewicz

Orężem najbardziej kojarzonym z sarmackim mitem, zaraz po szabli rzecz jasna, są buława i buzdygan. Uwiecznione na monarszych i hetmańskich portretach z epoki stanowią widomy symbol orientalizacji kultury szlacheckiej oraz wojsk dawnej Rzeczypospolitej

Buława, wyraz pochodzenia tatarskiego, oznacza w języku polskim maczugę, laskę niedługą z gałką na końcu – symbol godności, władzy hetmańskiej. Jak buław mogli używać tylko hetmani, tak wyłącznie regimentarze, pułkownicy, rotmistrze, porucznicy i chorążowie używali buzdyganów. Pomiędzy buławą a buzdyganem ta zachodziła różnica, że gałka u buławy bywała zwykle okrągła, niekiedy misternie ozdabiana i drogimi kamieniami wysadzana, zaś buzdygany, także często srebrne lub pozłociste, kończyły się gałką kształtu gruszki, podłużnie pokarbowanej" („Encyklopedia staropolska", Z. Gloger). Obie bronie mają prehistoryczną genezę. Z początku ich znaczenie było bez wątpienia czysto utylitarne. Proste i tanie, ale zarazem niezwykle skuteczne narzędzia w walce przeciwko nieopancerzonemu przeciwnikowi stanowiły – obok dzidy/włóczni – naturalny wybór dla niewyspecjalizowanego wojownika. Dość wcześnie zyskały jednak znaczenie symboliczne, co poświadczają badania starożytników oraz znaleziska archeologiczne. Buławy cieszyły się dużą popularnością w kulturach Mezopotamii (Babilończycy, Asyryjczycy, Persowie) i w Egipcie, a wyobrażenia na płaskorzeźbach i malowidłach wskazują, że stanowiły atrybut wodza/władcy. Już w zamierzchłej przeszłości miewały też charakter wotywny, na co wskazują okazy odnajdywane w świątyniach Bliskiego Wschodu. Tradycja bliskowschodnia znalazła kontynuację w kulturze militarnej koczowniczych armii Wielkiego Stepu, a potem wojsk muzułmańskich. W średniowieczu buława pozostała atrybutem Wschodu, podczas gdy buzdygan – jako rycerska broń służąca kruszeniu płytowych elementów zbroi – rozpowszechnił się także w Europie Zachodniej. Nie zyskał tam rangi oznaki wodzowskiej, pozostając zasadniczo narzędziem bojowym. Rolę buławy/buzdyganu pełnił na zachodzie tzw. regiment, czyli laska oficerska. Zupełnie inaczej kariera obu broni potoczyła się w Europie Środkowo-Wschodniej.

Wyjątkowość dawnej wojskowości polskiej polegała na oryginalnym połączeniu różnych kultur militarnych. Podczas gdy średniowiecze upłynęło pod znakiem Europy Zachodniej, u progu renesansu coraz śmielej docierały nad Wisłę wzorce wschodnie (orientalne). Promieniowały z Węgier, gdyż Madziarzy, mierząc się z osmańską nawałnicą, jako pierwsi przyswoili sobie elementy tureckiej sztuki wojennej z jej charakterystycznymi atrybutami – szablą i buławą. Z czasem stały się one popularne także w Polsce.

Reformy Stefana Batorego (panował w latach 1576–1586), oparte na wzorcach siedmiogrodzkich, ukształtowały wojskowość polsko-litewską na całe dziesięciolecia. Husaria stała się zasadniczą częścią składową sił zbrojnych, szabla wyparła ostatecznie broń sieczną o głowniach prostych, a urząd hetmański, kształtujący się w Polsce od dekad, zyskał swój ostateczny kształt.

Oznaki władzy

W Koronie i na Litwie było po dwóch hetmanów: wielki i polny, przy czym ten

eprasa.pl fc73704fe8

pierwszy pełnił funkcję dożywotnio. Buławy stały się symbolami ich władzy. „Otrzymanie buławy wielkiej/polnej" było tożsame z nominacją na hetmana wielkiego/polnego (koronnego lub litewskiego). Kojarzone z hetmaństwem czasem trafiały też do rąk monarchów i znaczniejszych magnatów. Podkreślały ich status i dodawały splendoru, służyły też celom ceremonialnym. Wykonywano jej z różnych materiałów, pokrywając blachą miedzianą, srebrną lub złotą, zdobiąc rytowaniem, niellowaniem (wzór wyryty w metalu pokrywa się specjalną pastą złożoną z siarczków srebra, miedzi i ołowiu, a polerowanie wydobywa czarny lub granatowy rysunek) i dekorując kamieniami szlachetnymi. Dziś stanowią wdzięczny temat dla bronioznawców, a zwłaszcza historyków sztuki, którzy klasyfikują je na podstawie form i odmiennych tradycji zdobniczych (są to w istocie rozliczne wariacje w ramach stylu orientalnego).

Zdzisław Żygulski junior, wybitny krakowski badacz starodawnego oręża, wyróżnił buławy w typie węgierskim, tureckim, perskim, ruskim i ormiańskim (ośrodek lwowski). Te pierwsze, o skromnym stosunkowo dekorze, ale pięknych proporcjach, często z gruszkowatymi głowicami, trafiły do Polski zapewne jako pierwsze. Perskie odznaczały się wyrafinowanym zdobnictwem, stanowiąc niedościgniony wzorzec. Tureckie oszałamiały przepychem, a ich imperialny styl odzwierciedlał splendor i ambicje osmańskiego państwa. Szczególnie ceniono je w Rzeczypospolitej w czasach króla Jana III Sobieskiego. Orientalny charakter miały naturalnie także buławy produkowane w Polsce przez Ormian, tworzących przede wszystkim we Lwowie.

Buzdygany, będące oznaką oficerską regimentarzy (zastępujących hetmanów w dowodzeniu zgrupowaniami wojsk), pułkowników oraz rotmistrzów i poruczników jazdy autoramentu narodowego, również występowały w wielu odmianach i także bywały efektownie zdobione, choć rzadko z użyciem kamieni szlachetnych. Mogły mieć sześć (najczęściej) albo więcej piór i głowice smukłe z ostrymi krawędziami bądź kuliste, o łagodnej powierzchni.

W skarbcach i muzeach

Mimo że używanie buław i buzdyganów ograniczone było zasadniczo do wyższej kadry dowódczej, w dawnej Rzeczypospolitej musiało być ich niemało. Część niewątpliwie dziedziczono, zwłaszcza że w wielu rodach godności wojskowe piastowano przez pokolenia, jednak hetmani i regimentarze posiadali nierzadko więcej niż tylko jedną buławę/buzdygan. Niektóre służyły zapewne jedynie celom reprezentacyjnym, inne, mniej efektowne, zabierano na kampanie. Władysław Łoziński, jeden z najwybitniejszych XIX-wiecznych badaczy kultury polskiej, pisał, że buławy i buzdygany należały „do najokazalszych i najkosztowniejszych przyborów reprezentacyjno-kostiumowych [...], które z rzeczywistej ongi wojennej broni obuchowej [...] stały się już tylko odznakami wojskowej hierarchii, aż w końcu i u nas w Polsce i to znaczenie straciły, skoro znajdowały się w kilku nawet egzemplarzach w każdym niemal znakomitszym domu szlacheckim, mimo że nie było w nim nigdy ani hetmana, ani regimentarza" („Życie polskie w dawnych wiekach"). Do naszych czasów przetrwało niewiele buław i nieco więcej buzdyganów. Z uwagi na efektowne wykonanie były szczególnie cennym obiektem grabieży najeźdźców łupiących Polskę po jej upadku w XVIII w. Te zachowane w rodzimych muzeach i skarbcach mają często status narodowych relikwii. Szczególnie cenne egzemplarze, z uwagi na ich raczej pewną proweniencję, przechowuje Skarbiec Jasnogórski. To wota po Sobieskich, Jabłonowskich, Potockich. Tu złożył też swą buławę Marcin Kalinowski, hetman polny koronny, uczestnik nieszczęśliwej bitwy z Kozakami: „Wojewoda czernichowski, het. p. kor., pod Korsuniem 28 maja 1648 r. raniony i w niewolę kozacką wzięty, po trzech blisko latach uwolniony buławę swoją drogimi kamieniami nasadzaną na dziękczynienie Bogu przy obrazie Najśw. Matce w Częstochowie zawiesił w dzień Narodzenia M. Panny, 8 września 1651 r." (A. Przeździecki, E. Rastawiecki, „Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki Odrodzenia po koniec wieku XVII w dawnej Polsce", Warszawa–Paryż, 1853–1855).

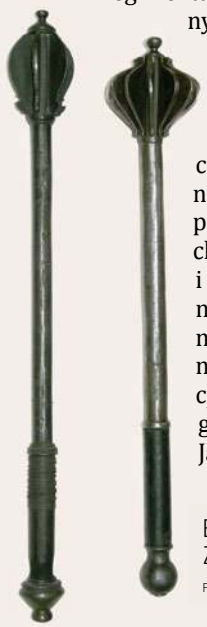

Buzdygany rotmistrzowskie z XVII w. Zbiory Muzeum Wojska Polskiego

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Dużą wartość historyczną ma także buława hetmana kozackiego Pawła Tetery, ofiarowana mu przez króla Jana II Kazimierza. Dowodzi związku kozaczyzny zaporoskiej z Rzecząpospolitą i przywołuje pamięć wspólnych przedsięwzięć militarnych. Odmianą buławy używaną przez starszyznę kozacką był piernacz. Poza Jasną Górą cenne pamiątki posiadają też najprzedniejsze krajowe placówki muzealne: Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu, Muzeum Książąt Czartoryskich w Krakowie i Muzeum Narodowe w Warszawie. Tradycja łączy je z Zamoyskimi, Sieniawskimi, Rzewuskimi, Wiśniowieckimi, Chodkiewiczami. Stosunkowo licznie reprezentowane są buzdygany; w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego jest np. buzdygan łączony ze Stanisławem Jabłonowskim, pułkownikiem (1659–1676), a potem hetmanem wielkim koronnym (1683). Żelazny, bogato złocony, o sześciu piórach wyciętych w szpic ma sztylet wkręcony w trzonek.

Wraz z upadkiem Rzeczypospolitej do lamusa historii odeszli hetmani. Jednak tradycja buławy, jako symbolu godności wodzowskiej, przetrwała okres zaborów i odrodziła się po 1918 r. 14 listopada 1920 r., podczas uroczystości na Placu Zamkowym w Warszawie, szeregowiec Jan Żywek z 5. Pułku Piechoty „Zuchowatych", jeden z najmłodszych kawalerów Orderu Virtuti Militari, wręczył marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu buławę – dar od wojska. Wykonano ją ze srebra i z cyzelowanego złota według projektu prof. Mieczysława Kotarbińskiego. Odtąd kołnierz i naramienniki marszałkowskiej kurtki mundurowej zdobiły skrzyżowane buławy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Wywiad / Z prof. Damianem K. Markowskim, historykiem, autorem książki „Strybki. Z AK pod skrzydła NKWD"

Oddział polskiej samoobrony z Bieszczadów Zachodnich po przejściu frontu. Z podobnych grup powstawały grupy IB złożone z Polaków na dawnych Kresach Południowo-Wschodnich

FOT. ZBIORY AUTORA

rozmawia Piotr Włoczyk

Polacy z NKWD przeciw UPA

– Większość moich rozmówców była przekonana o słuszności swojej decyzji o wstąpieniu do Istriebitielnych Batalionów – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Napisał pan książkę o Polakach i NKWD. A konkretnie – o Polakach służących pod dowództwem NKWD. Takie hasło brzmi jak opowieść o zdradzie, ale przecież w tej historii rozgrywającej się na Kresach II RP w cieniu ludobójstwa UPA prawie nic nie jest proste...

PROF. DAMIAN K. MARKOWSKI: Ich historia pokazuje, jak bardzo losy poszczególnych ludzi czy całych społeczności wymykają się schematom, gdzie wszystko jest czarno-białe i oczywiste. Polscy „strybkowie", których większość stanowili kilkunastoletni chłopcy, często nie zdążyli wejść w skład AK, a burza dziejowa nad Europą Środkowo-Wschodnią wyznaczyła im do napisania rozdział, którego zapewne sami chcieliby uniknąć...

W jaki sposób ta polska młodzież trafiała do Batalionów Niszczycielskich (ros. Istriebitielne Bataliony – IB)?

Wielu ludzi decydowało się na przyjęcie broni od Sowietów, ponieważ tylko w tym desperackim kroku widzieli szansę na fizyczne przetrwanie w sytuacji, gdy trwały ataki ukraińskiej partyzantki na polską ludność. Niejeden z nich zapewne kierował się również po prostu zemstą. Ci, którzy stracili swoich najbliższych w masakrach urządzanych Polakom przez banderowców, chcieli się mścić. Nie brakowało wśród nich także takich, którzy chcieli uniknąć powołania do Armii Czerwonej i do armii polskiej gen. Zygmunta Berlina – i to z przeróżnych przyczyn.

Sowieci tworzyli po wsiach Grupy Wsparcia IB, rodzaj wiejskiej samoobrony, oraz oddziały większe, zwykle stacjonujące w miejscowościach rejonowych, których zadaniem było wspieranie totalitarnej władzy w różnych zadaniach: w ściąganiu obowiązkowych dostaw żywności, w mobilizowaniu mężczyzn, wreszcie – w zwalczaniu OUN i UPA, a także polskiego podziemia poakowskiego.

Ilu ich tak właściwie było?

Dokładna liczba Polaków służących w Batalionach Niszczycielskich jest trudna do uchwycenia. Wiadomo jednak, że w szczytowym okresie tylko na terenach II Rzeczypospolitej, które weszły po woj-

eprasa.pl fc73704fe8

nie w skład sowieckiej Ukrainy, służyło ich co najmniej ok. 6 tys. To dużo, bardzo dużo, zważywszy, że mówimy o formacji o charakterze kolaboracyjnym.

W swojej książce pisze pan, że byli oni „sierotami po AK".

Część z nich służyła w AK do końca okupacji niemieckiej. Operacja „Burza" Armii Krajowej, polegająca na ujawnieniu się przed nadchodzącymi Sowietami i przystąpieniu do wspólnej walki z Niemcami, doprowadziła do szerokiego rozpracowania podziemnej armii przez NKWD i Smiersz, co zaowocowało masowymi aresztowaniami i rozbiciem części polskiej konspiracji. Gdy podziemne struktury przestały istnieć, ci, którzy nie trafili do więzień i łagrów, próbowali znaleźć wyjście, które pozwoliłoby im utrzymać się w terenie, bronić polskiej ludności, a jednocześnie uniknąć mobilizacji. Niektórzy „strybkowie" trafili zatem pod skrzydła zbrodniczego NKWD dosłownie wprost z szeregów AK. W Brzeżanach na Podolu cały oddział polskiego podziemia przeszedł do IB, choć dowódcy zostali aresztowani przez czekistów...

Dlaczego w ogóle Kreml powołał Istriebitielne Bataliony? Czy „zwykłe" oddziały NKWD nie wystarczały?

Sowieci powołali IB jako formację tyłową, czyli porządkową i pomocniczą, na początku wojny niemiecko-sowieckiej. Żołnierze tych batalionów mieli za zadanie pilnować mostów, stacji kolejowych, ważniejszych szlaków komunikacyjnych, zakładów przemysłowych. Katastrofa na froncie doprowadziła do tego, że część tych oddziałów wzięła udział w walkach z wojskami nazistowskimi, zwykle błyskawicznie idąc w rozsypkę.

Natomiast pod koniec wojny, tworząc IB na okupowanych ziemiach polskich, Sowieci zyskiwali dzięki nim skuteczne narzędzie sowietyzacji i antagonizowania lokalnych społeczności. Do IB szli, początkowo chętnie, Polacy, zatem pogłębiał się konflikt między nimi a Ukraińcami, widzącymi w „strybkach" (słusznie zresztą) groźnego przeciwnika dysponującego dużą wiedzą o tym, co się dzieje w terenie. Ponadto kiedy odsetek Polaków w tej formacji zaczął maleć, ich miejsce zajmowali głównie Ukraińcy.

Ukraińscy partyzanci, lato 1944 r.

Poniżej: Ruiny kościoła w Jamelnej pod Lwowem. We wrześniu 1944 r. oddział UPA wymordował kilkudziesięciu Polaków

FOT. ZBIORY AUTORA

Zarówno „tutejsi", jak i przyjezdni z centralnej Ukrainy. Ci ludzie szli zatem na niewypowiedzianą partyzancką wojnę z własnymi rodakami. Na tym tle doszło po wojnie do licznych tragedii. Ukraińscy historycy niechętnie piszą o tych wydarzeniach, kiedy z obu stron lała się ukraińska krew i ginęło wielu przypadkowych cywilów.

Która z wysłuchanych przez pana historii „strybków" najbardziej zapadła panu w pamięć?

To były naprawdę traumatyczne przeżycia dla tych byłych żołnierzy IB, którzy zgodzili się opowiedzieć mi o swojej przeszłości. Jeden z moich rozmówców wspominał wprost, że poszedł się mścić. Chciał zabijać. Był świadkiem kilku zbrodni dokonanych wcześniej na Polakach przez ukraińskich partyzantów. Sam też cudem uszedł życiem z ich rąk. Po tylu latach, kiedy wracał do tamtych wydarzeń, twarz potrafiła mu się zmienić w okamgnieniu. Jakby przebiegał po niej jakiś cień... Ten człowiek chyba nie powiedział mi wszystkiego o tym, co robił w IB. Dodajmy – on nie służył wcześniej w AK. Dołączył do „strybków", bo chciał mieć broń.

Jak tych Polaków traktowało NKWD, skoro IB z natury rzeczy były oddziałami drugiej kategorii?

Funkcjonariusze NKWD patrzyli na nich trochę z pogardą, a trochę z nieufnością, ponieważ zdawali sobie sprawę z tego, że chociaż do pewnego stopnia ich potrzebują, to jednak nigdy nie będą oni w pełni zaufanymi ludźmi.

Służba była wymagająca, trudna i oczywiście niebezpieczna, gdy dochodziło do obław na UPA. Zdecydowana większość „strybków" służyła w ubraniach cywilnych. Byli także na ogół słabo uzbrojeni. Szczęśliwcy mieli pistolety maszynowe, ale tych była mniejszość. Szeregowy mógł liczyć na karabin i kilka/kilkanaście naboi, czasem na granat. Plusem była możliwość korzystania z wiktu wojskowego. A to już było coś w warunkach powszechnej nędzy i niedoborów.

„[...] Są też sytuacje, kiedy nie ma dobrego wyjścia. I wychodzi trochę dobrze, a trochę źle. Taka była nasza sytuacja. Jak już nie mieliśmy Polski, nikogo, tylko siebie" – powiedział pan Karol – były żołnierz IB – w rozmowie z panem. To chyba symboliczne słowa, pokazujące, jak ci młodzi mężczyźni tkwili w odcieniach szarości...

Dokładnie tak. Chociaż dalece nie wszyscy ze „strybków" byli na tyle uczciwi, aby przyznać, że robili też złe rzeczy. Wielu z nich uważało się za prześladowanych, jeśli nie traktowano ich z honorami zbliżonymi do byłych żołnierzy AK. Uznawali się za pełnoprawnych kombatantów, niegorszych od tych, którzy z bronią w ręku walczyli z Niemcami. Łatwiej przychodziło im pomijanie ciemnych kart swojej służby w IB.

eprasa.pl fc73704fe8

Sowieccy oficerowie przy samochodzie, Zachodnia Ukraina, 1944 lub 1945 r.

FOT. ZBIORY AUTORA

Jak działalność „strybków" odbierała wówczas strona niepodległościowa?

Polskie podziemie przeorganizowane w organizację NIE (od Niepodległość) wydało jasne wytyczne odnośnie do osób wstępujących do IB. Tych, którzy wezmą broń od okupanta – likwidować. Tyle tylko że nie miało to przełożenie na sytuację w terenie. Łatwiej było wydać taki rozkaz ze Lwowa czy ze Stanisławowa, a trudniej było go wyegzekwować w wioskach, gdzie posiadanie broni decydowało o życiu lub śmierci i gdzie często polskiego podziemia już po prostu nie było. Dlatego też wśród weteranów IB panowała zmowa milczenia odnośnie do rzeczywistego stosunku konspiracji do ich działalności. Im niżej w teren, tym bardziej tolerowano ich, ponieważ stanowili jedyną alternatywę. Bez nich Polacy byliby kompletnie bezbronni.

W książce określa pan cały ten układ jako „pokraczny sojusz polskich strybków z Sowietami". Jak sami „strybkowie" patrzyli na swoją sytuację?

Większość moich rozmówców była przekonana o słuszności swojej decyzji o wstąpieniu do IB. Tylko nieliczni byli skłonni do głębszej refleksji, w wyniku której można byłoby dostrzec również negatywne skutki takiego kroku. Głównym argumentem – przecież bardzo ważnym – była chęć zapewnienia samoobrony polskim skupiskom. Zdaniem weteranów IB inne konsekwencje bladły wobec tego. Natomiast teraz, po wielu latach, łatwo nam ferować wyroki w kwestiach moralnych, gdy jesteśmy daleko od sytuacji tak skrajnych, wymagających podejmowania dramatycznych kroków.

Jakie konsekwencje miał ten sojusz, jeżeli chodzi o stosunek ukraińskiej ludności do Polaków?

Ukraińcy przyjęli z wrogością masowe zasilanie IB przez polską ludność Galicji Wschodniej i – w mniejszym stopniu – Wołynia. Naturalnie te złe emocje przyczyniły się do kolejnych tragedii związanych z „antypolską akcją" banderowców i z działaniami odwetowymi ze strony polskiej.

W propagandzie OUN podkreślano, że od września 1944 r. zabija się tylko Polaków komunistów, czyli „partyjnych" i „strybków", a nie Polaków z racji ich pochodzenia. Było to niezgodne z prawdą, ale łatwiej było teraz wytłumaczyć masowe zbrodnie rzekomo powszechną współpracą Polaków z okupantem.

Czy da się jakoś oszacować, jak bardzo polscy „strybkowie" pomogli polskiej ludności cywilnej, broniąc jej przed ukraińskimi nacjonalistami?

Wspomnienia o żołnierzach IB wśród polskich Kresowian są niemal wyłącznie pozytywne. Widziano w nich przede wszystkim obrońców przed zbrodniczą działalnością OUN i UPA. W moim przekonaniu polska społeczność byłych województw południowo-wschodnich na przełomie lat 1944 i 1945 była już do tego stopnia zmęczona wojną i wszystkimi jej skutkami – katastrofą państwa polskiego, dwiema sowieckimi i jedną niemiecką okupacją, rzeziami dokonywanymi przez banderowców, wreszcie ekspatriacją na zachód – że z utęsknieniem oczekiwała nastania spokojnych czasów. A każdy, kto pomagał ją chronić, mógł liczyć na przychylne przyjęcie.

To była sytuacja zgoła inna niż w centralnej i zachodniej Polsce, gdzie wróg był tylko jeden. Nie ma wątpliwości, że obecność złożonych z Polaków oddziałów IB znacząco wpłynęła na zdolność do przetrwania polskich wiosek i miasteczek do czasu zaprzestania przez OUN i UPA „antypolskiej akcji" późną wiosną 1945 r., gdy doszło do pełnego „przesunięcia" Polaków z Kresów na zachód. Bez względu na to, jakie liczby byśmy tutaj podali, i tak będą one niedokładne, ponieważ nie da się oszacować, ile osób dzięki „strybkom" ocaliło życie. Nie ma jednak wątpliwości, że było ich wiele.

Jak „strybkowie" byli traktowani w „Polsce Ludowej"? Czy da się tu w ogóle znaleźć jakiś wspólny mianownik?

Nie było tutaj jednolitego podejścia. Pamiętajmy, że wśród IB byli zarówno członkowie polskiej konspiracji, wrogiej Sowietom, jak i osoby nienawidzące Ukraińców i traktujące system komunistyczny jako ten „sprawiedliwszy" od rządów przedwojennych. Wszystko zależało od konkretnego człowieka. Byli „strybkowie", którzy po „repatriacji" z marszu włączali się w działalność eksterytorialnych okręgów AK powstałych na Dolnym Śląsku. Bezpieka ścigała ich i maltretowała, a na koniec sądził ich zbrodniczy komunistyczny aparat terroru. A z drugiej strony byli i tacy, którzy poszli na współpracę i służbę na rzecz nowego systemu. Robili karierę w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego, uczestniczyli w obławach na

Oddział IB złożony z Polaków w Tłustem, prawdopodobnie 1945 rok

FOT. ZBIORY AUTORA

eprasa.pl fc73704fe8

DAMIAN K. MARKOWSKI
„STRYBKI Z AK POD SKRZYDŁA NKWD"
ZNAK HORYZONT

podziemie: i polskie, i ukraińskie. Korzystali z benefitów, które dawało im współuczestniczenie w budowie komunizmu.

A jak to wyglądało po 1989 r.? Jak III RP postrzegała „strybków" i – przede wszystkim – jak oni sami odnajdywali się ze swoją historią w czasach po transformacji?

Dla „strybków" rok 1989 zapisał się dwojako. Z jednej strony usłyszeli niewygodne pytania na temat swojej służby w formacji kolaboracyjnej, co wywołało wśród nich oburzenie. Mieli niejedno ostre spięcie z weteranami z AK, których doświadczenie często było krańcowo odmienne od tego, co przeżyli żołnierze IB. Bronili swoich praw kombatanckich, uznając, że próby ich ograniczenia będą ciosem zadanym polskiej pamięci. Ale mogli też w końcu opowiedzieć o innym doświadczeniu okupacyjnym ludziom, którzy albo byli pozbawieni wiedzy o tym, co działo się podczas wojny na Kresach, albo też nie mogli o tym otwarcie mówić i wspominać.

Niektórzy związali się z otwarcie antyukraińskimi środowiskami, inni usunęli się w cień, by w spokoju dożyć swoich dni. Cóż, mieli dość jednoznaczną optykę na swoją przeszłość, choć nie sposób pozbawić znaczenia części ich argumentów. Jestem przekonany, że niewielu z nich wybrałoby inny los, gdyby tylko mogli jeszcze raz wybierać.

Do końca życia byli zakładnikami historii, uwięzionymi między jej heroiczną a kolaboracyjną wersją. I chyba tak właśnie należy ich nazwać: to byli ludzie, którzy zostali wpisani w różne odcienie szarości Polski z czasów drugiej wojny światowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Prof. Damian Karol Markowski
jest historykiem, znawcą relacji polsko-ukraińskich w okresie drugiej wojny światowej, autorem wielu publikacji na ten temat, m.in. „W cieniu Wołynia. Antypolska akcja OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943–1945", „Zwrotnice. Rozstanie narodów" i najnowszej: „Strybki. Z AK pod skrzydła NKWD".

Wspomnienia weteranów IB (cytaty pochodzą z książki „Strybki"):

„Próbowaliśmy po prostu przetrwać. To było nasze całe »zwycięstwo«. Niech pan zaznaczy, że używam tego słowa z ironią"
Pan Karol (chciał pozostać anonimowy)

„Trwaliśmy na ojcowiźnie. Bo i co mieliśmy innego począć? Sowieci zajęli nasze Tarnopolskie już wiosną 1944 r. Nikomu się jeszcze nie śniła żadna tam repatriacja, czyli wygonienie nas na zachód. Byliśmy u siebie, a poza tym... Dokąd mieliśmy pójść? Mało kto u nas we wsi miał rodzinę na zachodzie, w środkowej Polsce" ***Szczepan Siekierka***

„Wie pan, czego najbardziej się bałem? Nie tego, że mnie aresztują Sowieci, że będą bić na śledztwie. A oni umieli bić, umieli! Widzieliśmy, co robili z banderami, jak ich złapali. Przyznawali się do wszystkiego, dzień, dwa i już! Nie bałem się nawet śmierci. Bo cóż śmierć? Mało to ludzi wtedy zginęło na naszych oczach? Bałem się, żeby nie zabrali mi karabinu i tej garści kul. Bałem się, że znowu będę bezbronny" ***Pan Karol***

„Ojciec już po pierwszych echach rzezi na północy [Wołyniu] urządził nam dwie kryjówki. Jedną blisko, w polu, niedaleko naszego płotu. Taką dużą jamę w ziemi. Łatwo było ją zamaskować, bo roślinność była gęsta w tym miejscu, tworzyła taką wyspę wśród upraw. Drugą dalej, nad rzeką [Złotą Lipą]. Niedaleko miejsca, gdzie wpadała do Dniestru. Musieliśmy znać, jak szybko się dostać do jednej i drugiej. Bo rodzice mówili, że złe idzie i jest jeszcze daleko, ale przyjdzie do nas, przyjdzie..." ***Stanisław Leszczyński***

„Nie wstydzę się tego, że byłem w IB. I nie wstydzę się tego, że służyłem później w KBW. Ktoś musiał nową Polskę odbudować. Nie można było jej niszczyć i niszczyć. Co, wszyscy mieli w lesie siedzieć na zawsze? Teraz to się ładnie o tym mówi. Wojna musiała się kiedyś skończyć" ***Pan Karol***

„Nie było przez wiele miesięcy nocy, kiedy byśmy spali spokojnie. To z tej, to z tamtej strony dochodziły do nas odgłosy strzałów z karabinów, widzieliśmy nocami łuny wsi palących się w pobliżu"
Szczepan Siekierka

„Jednego wieczora, jak już trwały mordy, ojciec znalazł kartkę. Było tam napisane, że my, parszywe Lachy, mamy precz uciekać na zachód albo spalą nas we własnym domu. Widziałem, że się przestraszył, bo zmiął kartkę i wyrzucił. Matce nie pokazał. Wyciągnąłem ją i odczytałem, jak odszedł dalej. Nie wyjechaliśmy. Była samoobrona. Trzymaliśmy straże"
Stanisław Leszczyński

„Pamiętam niepewność, ha, strach, jaki był u nas i u sąsiadów, gdy ostatni żołnierz niemiecki z karabinem opuścił nasz przysiółek. Matka chciała go prosić, żeby został. Nawet na kolana przed nim padła, byleby nie odchodził. Chyba się wzruszył, bo dał nam jeszcze jakieś jedzenie, choć sami Niemcy wtedy głodowali i byli obdarci. Nie tacy jak trzy lata wcześniej" ***Pan Karol***

„Jak polscy patrioci mogli wstąpić do sowieckich batalionów szturmowych? Oto odpowiedź. Uważaliśmy, że to jedyny sposób na uchronienie naszych rodzin przed straszliwą śmiercią. Dla nas liczyło się to, że bolszewicy wydali nam karabiny i dzięki temu mogliśmy bronić naszych wsi i naszych rodzin. Wielką politykę odsunęliśmy na bok. My musieliśmy działać tu i teraz"
Szczepan Siekierka

„Byliśmy zachwyceni, że ktoś dał nam do ręki broń. Kto to zrobił, nie miało dla nas znaczenia. Gdy dostałem karabin, wiedziałem już, że nie zostanę zarżnięty jak prosię. Od razu zdecydowałem, że ostatni pocisk zostawiam dla siebie. Że nie dostanę się w ich ręce żywcem" ***Tadeusz Banasiewicz***

eprasa.pl fc73704fe8

Łobnoje miesto – miejsce demonstracji na Placu Czerwonym

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KOPCHIOWSKI O.P. CC-BY

1968 r. / Wobec inwazji na Czechosłowację

Wolność na Placu Czerwonym

Mikołaj Iwanow

Maleńki protest pod murami Kremla wywołał całą lawinę zdarzeń

Dla władz sowieckich było to w pewnym sensie święte miejsce – chowano tu ludzi najbardziej zasłużonych dla Kremla, z Leninem na czele. I właśnie w tym miejscu, na Placu Czerwonym, tuż przed siedzibą najwyższych władz komunistycznych, 25 sierpnia 1968 r. sowieccy obywatele po raz pierwszy w historii wyszli protestować przeciwko działaniom rządu, a konkretnie agresji wojsk Układu Warszawskiego wobec Czechosłowacji.

Był to wyraz sprzeciwu wobec totalnego zakłamania, towarzyszącego inwazji. Przecież wbrew twierdzeniom propagandy społeczeństwo sowieckie nie było jednomyślne w sprawie tzw. pomocy internacjonalistycznej Czechom i Słowakom. Kim byli ci odważni ludzie? W jaki sposób udało się im w państwie totalitarnym urządzić manifestację?

Było ich ośmioro: Natalja Gorbaniewska (główna organizatorka protestu), Paweł Litwinow (pomysłodawca całej akcji), Larisa Bogoraz, Wadim Delone, Konstantin Babicki, Władimir Driemluga, Wiktor Fajnberg i Tatiana Bajewa. W oczekiwaniu na wyjazd z Kremla przymusowo ściągniętej do Moskwy czechosłowackiej delegacji, na czele z Aleksandrem Dubčekiem i Ludvíkiem Svobodą, rozwinęli plakaty z napisami: „Hańba okupantom", „Ręce precz od CSRS", „Za naszą i waszą wolność" i „Niech żyje wolna i niepodległa Czechosłowacja". Ten ostatni był napisany w języku czeskim. Obecni na placu funkcjonariusze milicji i KGB początkowo stali w osłupieniu. Trudno im było wyobrazić sobie, że ktokolwiek może się odważyć na taki samobójczy czyn. Wkrótce jednak zareagowali. Pobili protestujących, wyrwali im plakaty, wrzucili do samochodów i wywieźli.

Przygotowania do tej niezwykłej demonstracji odbywały się w ścisłej tajemnicy, dlatego władze nie były w stanie jej zapobiec. Wiedzę na ten temat miało co najmniej 20 osób; informacje o demonstracji rozpowszechniano jedynie w ramach sprawdzonych kontaktów – między swoimi. Większość wtajemniczonych uważała, że udział w manifestacji może grozić poważnymi konsekwencjami: co najmniej kilkuletnią odsiadką. Wśród dysydentów pojawił się nawet specjalny termin: „samowsadzenie".

Kluczowym pytaniem było: Kto może wziąć udział w demonstracji? Wyjście na Plac Czerwony liderów ruchu dysydenckiego mogło go poważnie osłabić. Natalja Gorbaniewska była w tym czasie redaktorem naczelnym „Kroniki Wydarzeń Bieżących", Larisa Bogoraz kierowała akcją obrony praw człowieka w Moskwie, Paweł Litwinow przygotowywał z kolei film dokumentalny o działalności opozycyjnej. Dlatego wielu przyjaciół namawiało ich, by nie brali udziału w proteście.

„Po co bić!"

Plac Czerwony nie był przypadkowym wyborem. Od XVI w. był on miejscem publicznego wyrażania poglądów, gdzie zgłaszano też petycje do carów. W 1776 r. wniesiono naprzeciwko Kremla tzw. Łobnoje miesto, gdzie lud mógł zwracać się bezpośrednio do władz. Również carowie z tego miejsca komunikowali się

eprasa.pl fc73704fe8

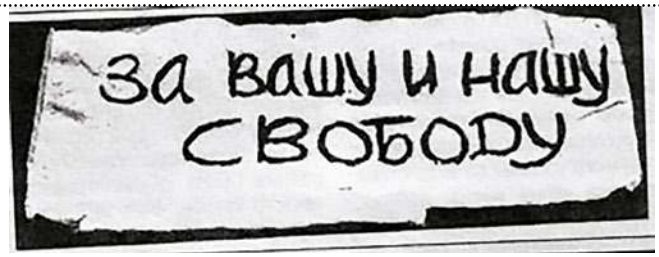

Transparent z napisem: „Za waszą i naszą wolność" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

z narodem. To właśnie tu odczytywano przed tłumem najważniejsze zarządzenia carskie. Drugą przyczyną, dla której wybrano Plac Czerwony na miejsce protestu, było to, że ten teren był dość tłumnie odwiedzany przez sowieckich i zagranicznych turystów. Gwarantowało to akcji duży rozgłos.

Dzień manifestacji zaczął się pochmurno. Na Plac Czerwony udało się dotrzeć ośmiu osobom. Początkowo protestowali na siedząco, naprzeciwko Mauzoleum Lenina. Tatiana Bajewa tak to wspominała: „Początkowo w ciągu 3–5 minut ludzie zbliżali się do nas w zdziwieniu. Natasza trzyma w wyciągniętej ręce flagę czechosłowacką. Tłum jest głuchy… Raptem gwizdek milicyjny i od strony mauzoleum biegnie 6–7 osób w cywilnym ubraniu. Wszyscy, jak mi się zdawało, byli wysocy, i mieli 26–30 lat. Napadli na nas, krzycząc: »Oni sprzedali się za dolary«. Wyrwano nam plakaty, po minucie wyrwano również flagę. Jeden z nich, krzycząc »bij Żydów«, zaczął uderzać Fajnberga nogami w twarz. Konstantin próbował go chronić własnym ciałem. Krew! Ja podnoszę się w przerażeniu. Inny bije Pawlika torbą. Tłum przypatruje się ze zrozumieniem. Tylko jedna kobieta oburzyła się: »Po co bić!«".

W rzeczywistości manifestacja trwała ok. 15 minut. Według niektórych świadków wokół protestujących zebrał się tłum ok. 100 osób. Tylko nieliczni patrzyli na manifestantów z oburzeniem. Inni przypatrywali się protestowi ze zdziwieniem i z zaciekawieniem. W tłumie słychać było głosy poparcia. Jak wspominał Wiktor Fajnberg, „ktoś powiedział, że prawo do swobody wyrażenia swych poglądów jest gwarantowane przez konstytucję".

Jak się później okazało, interweniowali członkowie specjalnego oddziału milicji oddelegowani do ochrony Placu Czerwonego, a także dyżurujący tam funkcjonariusze KGB i żołnierze jednej z pobliskich jednostek wojskowych. Najbardziej ucierpiał Wiktor Fajnberg, który stracił cztery zęby. Uczestnicy manifestacji świadomie unikali walki wręcz. Milicji i kagebistom z trudem udało się znaleźć kilka prywatnych samochodów przejeżdżających przez pobliskie ulicy i namówić kierowców do wywiezienia protestujących na posterunek.

Milicjanci nie byli pewni, co zrobić z Natalją Gorbaniewską, która brała udział w manifestacji razem z półrocznym dzieckiem. Dopiero po konsultacjach z dowództwem ochrony Placu Czerwonego zdecydowano, że również ją i jej dziecko trzeba zawieźć na posterunek milicji.

Brzozy nad rzeką

Wydawało się, że władzom sowieckim, sprawującym przecież totalną kontrolę nad społeczeństwem, uda się to wydarzenie zachować w tajemnicy przed swymi obywatelami. Jednak za pomocą rozgłośni zachodnich ten akt solidarności z walczącymi Czechami i Słowakami stał się znany również w Czechosłowacji. Już następnego dnia informacja o demonstracji pojawiła się na łamach gazety „Rudé právo", oficjalnego organu Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Sporo na ten temat mówiono w audycjach radiostacji zachodnich, przede wszystkim na falach Radia Wolna Europa, BBC i Głosu Ameryki. 28 sierpnia Natalja Gorbaniewska skierowała do świata list otwarty z informacją o proteście. Wydrukowano go w „Rudym právie", „L'Humanité", „The Times", „The Washington Post", „Neue Zürcher Zeitung" i innych wpływowych gazetach. W październiku 1968 r. w Hradec Králové w Czechosłowacji dla uczczenia nieznanych sowieckich dysydentów protestujących na Placu Czerwonym nad brzegiem rzeki posadzono siedem brzóz.

Do dziś uważa się, że demonstracja na Placu Czerwonym była odizolowanym protestem przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego, aktem wielkiej odwagi wąskiej grupy zdesperowanych ludzi. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna. Protest Natalii Gorbaniewskiej i jej znajomych dzięki zachodnim mediom okazał się zachętą do dalszych manifestacji. Ludmiła Aleksiejewa w swej książce „Historia dysydencji w ZSRS" podaje kilkanaście przypadków późniejszych jawnych protestów: zbiorowych listów, manifestacji, tzw. mityngów solidarności z narodem Czechosłowacji, rozpowszechnienia ulotek, wizyty w ambasadzie CSRS i wyrażania solidarności z Komunistyczną Partią Czechosłowacji.

25 stycznia 1969 r., w dniu pogrzebu Jana Palacha, który na znak protestu przeciwko inwazji dokonał w centrum Pragi samospalenia, na Plac Majakowskiego w Moskwie wyszły dwie

Sowieckie czołgi w Pradze FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ENGRAMMA.IT

eprasa.pl fc73704fe8

studentki Uniwersytetu Moskiewskiego z plakatami „Wieczna pamięć dla Jana Palacha" i „Wolność dla narodu Czechosłowacji". Ich demonstracja trwała ok. 15 minut i została przerwana przez funkcjonariuszy służb specjalnych.

W sierpniu 1969 r. w różnych miejscach Moskwy rozpowszechniano ulotki z protestem przeciwko obecności wojsk Układu Warszawskiego na terenie Czechosłowacji. Ulotki dystrybuowała nielegalna opozycyjna organizacja Związek Komunardów, która później przekształciła się w organizację Młodzi Socjaliści. 20 sierpnia 1969 r. grupa sowieckich dysydentów poprzez zachodnie rozgłośnie i inne media zwróciła się do własnego narodu i do narodów świata z następującym apelem:

„21 sierpnia ubiegłego roku byliśmy świadkami tragicznego wydarzenia: wojska państw Układu Warszawskiego weszły do bratniej Czechosłowacji. Ta akcja miała na celu zatrzymanie procesów demokratyzacji prowadzonych w tym kraju. Cały świat z nadzieją obserwował postyczniowy rozwój Czechosłowacji. Wydawało się, że idea socjalizmu, zaprzepaszczona w okresie stalinizmu, zostanie zrehabilitowana. Czołgi państw Układu Warszawskiego zniszczyły tę nadzieję. W dniu tej smutnej rocznicy oświadczamy, że my nadal protestujemy przeciwko tej decyzji, która zagraża przyszłości socjalizmu.

Jesteśmy solidarni z narodem Czechosłowacji, który dowiódł, że socjalizm o ludzkiej twarzy jest możliwy. Zwracamy się z tym apelem dlatego, że chcemy widzieć naszą ojczyznę wielką, wolną i szczęśliwą. Jesteśmy pewni, że nie może być wolnym i szczęśliwym naród, który zniewala inne narody".

Pod apelem widniały podpisy: Tatiana Bajewa, Julia Wiszniewska, Natalja Gorbaniewska, Mustafa Dżemilew, Petro Hryhorenko, Siergiej Kowalow, Wiktor Krasin, Leonid Pluszcz, Piotr Jakir, Aleksander Jakobson, a także inni.

„Psychuszki"

Wystąpienie na Placu Czerwonym mimo swego przełomowego znaczenia nie było pierwszym otwartym protestem w postalinowskim Związku Sowieckim.

Natalja Gorbaniewska

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Paweł Litwinow

FOT. DISSIDENTEN.EU

Ruch dysydencki narodził się na fali tzw. odwilży, ściśle związanej z procesem destalinizacji, proklamowanej przez Nikitę Chruszczowa na XX zjeździe partii komunistycznej w 1956 r. Ruch ten stanowi zjawisko unikatowe w historii walki z komunizmem wewnątrz ZSRS. Jego duchowy przywódca, laureat pokojowego Nobla, fizyk jądrowy Andriej Sacharow, określił go jako „walkę o prawa człowieka". Dlatego często zjawisko to określano również jako „ruch obrońców praw człowieka", a jego uczestników nazywano „obrońcami" praw zagwarantowanych przez sowiecką konstytucję.

W warunkach ówczesnego ZSRS jedynie takie podejście do działalności opozycyjnej dawało nadzieję na stosunkowo łagodną (w porównaniu z okresem stalinizmu) reakcję władz. Dysydentów potępiano, skazywano na dość łagodne wyroki, wysyłano z kraju, ale nie byli oni zabijani jak za czasów Stalina. Świadoma apolityczność ruchu dysydenckiego stanowiła pod tym względem jakby niepisaną umowę między opozycjonistami a władzami komunistycznymi. Jeden z uczestników demonstracji na Placu Czerwonym, a zarazem czołowy teoretyk sowieckiego ruchu obrony praw człowieka, Paweł Litwinow, uważał za konieczne, by na każdym kroku podkreślać apolityczność ruchu, narażając się tym samym na ostrą krytykę wielu „gorących głów" wśród sowieckich opozycjonistów.

Represje wobec uczestników demonstracji na Placu Czerwonym latem 1968 r. miały, jak na warunki ówczesnego ZSRS, stosunkowo łagodny charakter. Większość demonstrantów oddano pod sąd. Władimira Driemlugę skazano na trzy lata bezwzględnego więzienia, Wadima Delone – na 2 lata i 10 miesięcy pozbawienia wolności, a Larisę Bogoraz, Pawła Litwinowa i Konstantina Babickiego na zsyłkę. Najgorszy był los tych, których nie sądzono, lecz zamknięto w specjalnych zakładach psychiatrycznych. Wiktora Fajnberga uznano za niepoczytalnego i skierowano na cztery lata do „psychuszki". Decyzja sądu w tej sprawie została podjęta bez udziału oskarżonego i bez prawa do apelacji. Podobnie skrzywdzono Natalję Gorbaniewską (jej półroczny synek, Józef, był nieświadomym, dziewiątym uczestnikiem manifestacji). Specjalna komisja lekarska uznała ją za niepoczytalną (diagnoza: schizofrenia). Skierowano ją na przymusowe leczenie do zamkniętego szpitala psychiatrycznego. W opinii władz izolacja Gorbaniewskiej miała wymierzyć śmiertelny cios sowieckiemu ruchowi dysydenckiemu. Była ona bowiem osobą, która swoją pracą jednoczyła bardzo różnorodne odłamy tego ruchu.

Kronika dysydentów

Pod koniec lat 60. pojawił się czynnik, który zaczął odgrywać główną rolę w ruchu. Była to „Kronika Wydarzeń Bieżących", opozycyjny biuletyn, którego pierwszy numer wyszedł 30 kwietnia 1968 r. Na jego stronie tytułowej umieszczono cytat z Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka Organizacji Narodów Zjednoczonych o tym, że prawo do otrzymywania i rozpowszechniania informacji

eprasa.pl fc73704fe8

przysługuje każdemu człowiekowi. Pierwszym redaktorem tej publikacji była właśnie Natalja Gorbaniewska. „Kronika…" nie była tak właściwie nielegalna. Jej autorzy nigdy nie pozwolili sobie na nawoływanie do obalenia władzy sowieckiej. Zamieszczane materiały były przeważnie informacjami o represjach władz wobec dysydentów, poza tym publikowano dokumenty sądowe, wiadomości z więzień i łagrów czy zapowiedzi wydawnictw z drugiego obiegu. Początkowo „Kronika…" była periodykiem stosunkowo regularnym (ukazywała się dwa razy w miesiącu). Zamknięcie Natalii Gorbaniewskiej w „psychuszce" miało przerwać ten projekt.

„Kronika…" była odbierana w ZSRS przez przeciwników reżimu jako wyraziciel stanowiska całego ruchu dysydenckiego. Był to filar, wokół którego jednoczył się ruch opozycyjny w swoich wszystkich możliwych odsłonach. Credo redakcji odpowiadało nacjonalistom, monarchistom, socjalistom, a nawet neoleninistom: „»Kronika« w żadnym wypadku nie jest wydawnictwem nielegalnym – pisała w artykule redakcyjnym na jej łamach Natalja Gorbaniewska – jednak warunki pracy podporządkowane są swoistym pojęciom o legalności i wolności informacji, które ukształtowały się przez wiele lat w warunkach sowieckich. Dlatego »Kronika« nie może – podobnie jak i każde inne czasopismo – podać na ostatniej stronie swojego adresu pocztowego. Tym niemniej każdy zainteresowany tym, żeby społeczeństwo sowieckie było poinformowane o wydarzeniach w kraju, jest w stanie swobodnie dostarczyć informacje do »Kroniki«. Proszę je przekazać temu, kto dał wam »Kronikę«, a on opowie temu, u kogo ją dostał, itd. Proszę nie próbować jednak samemu przejść całego łańcucha, aby nie być odebranym jako kapuś".

Natalję Gorbaniewską aresztowano i skazano dopiero po roku śledztwa w jej sprawie. Jednak „Kronika…" przetrwała. W następnych latach w wydawaniu pisma brali udział znani sowieccy dysydenci, m.in.: Wiktor Krasin, Siergiej Kowalow, Ilja i Galina Gabaj, Piotr Jakir czy Tatiana Wielikanowa i Tatiana Chodorowicz. Większość z nich za swoją działalność musiała zapłacić wolnością.

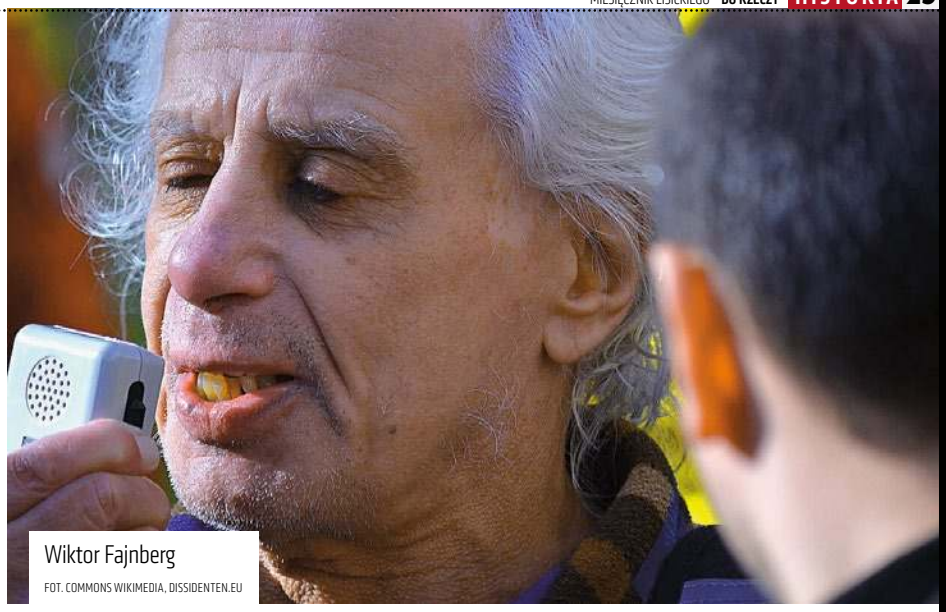

Wiktor Fajnberg

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DISSIDENTEN.EU

„Kronika…" była odbierana w ZSRS przez przeciwników reżimu jako wyraziciel stanowiska całego ruchu dysydenckiego

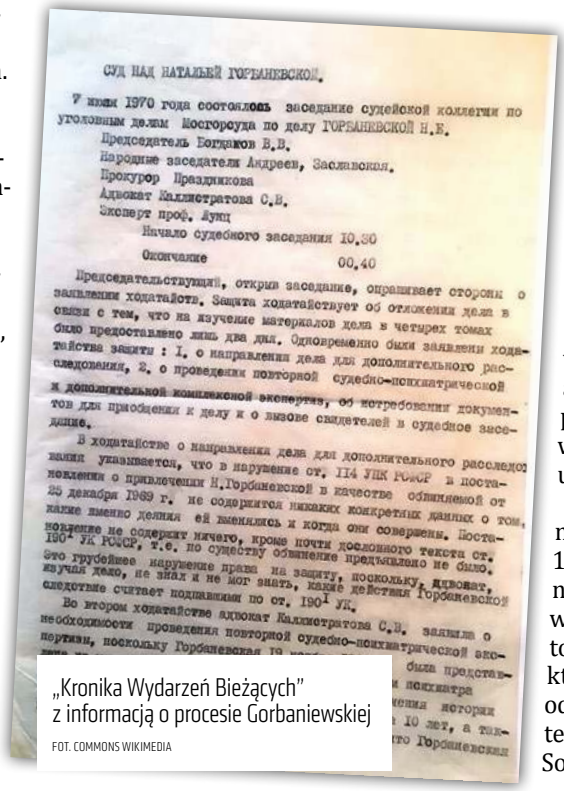

СУД НАД НАТАЛЬЕЙ ГОРБАНЕВСКОЙ.

7 июля 1970 года состоялось заседание судейской коллегии по уголовным делам Мосгорсуда по делу ГОРБАНЕВСКОЙ Н.Е.

Председатель Богдаков В.В.
Народные заседатели Андреев, Заславская.
Прокурор Праздникова
Адвокат Каллистратова С.В.
Эксперт проф. Лунц

Начало судебного заседания 10.30
Окончание 00.40

Председательствующий, открыв заседание, спрашивает стороны о заявлении ходатайств. Защита ходатайствует об отложении дела в связи с тем, что на изучение материалов дела в четырех томах было предоставлено лишь два дня. Одновременно были заявлены ходатайства защиты : I. о направлении дела для дополнительного расследования, 2. о проведении повторной судебно-психиатрической и дополнительной комплексной экспертиз, об истребовании документов для приобщения к делу и о вызове свидетелей в судебное заседание.

В ходатайстве о направлении дела для дополнительного расследования указывается, что в нарушение ст. 114 УПК РСФСР в постановлении о привлечении Н.Горбаневской в качестве обвиняемой от 25 декабря 1969 г. не содержится никаких конкретных данных о том, какие именно деяния ей вменялись и когда они совершены. Постановление не содержит ничего, кроме почти дословного текста ст. 190[1] УК РСФСР, т.е. по существу обвинение предъявлено не было. Это грубейшее нарушение права на защиту, поскольку адвокат, изучая дело, не знал и не мог знать, какие действия Горбаневской следствие считает подпадающими по ст. 190[1] УК.

Во втором ходатайстве адвокат Каллистратова С.В. заявила о необходимости проведения повторной судебно-психиатрической экспертизы, поскольку Горбаневская 19 [illegible] была представлена [illegible] психиатра [illegible] которая [illegible] 10 лет, а также [illegible] что Горбаневская

„Kronika Wydarzeń Bieżących" z informacją o procesie Gorbaniewskiej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Po aresztowaniu Gorbaniewskiej redaktorem naczelnym „Kroniki…" został Anatolij Jakobson.

W 1972 r. w wyniku represji wydawanie „Kroniki…" zatrzymano prawie na dwa lata. Jednak zwycięstwo KGB w walce z opozycją było iluzoryczne. W maju 1974 r., na specjalnej konferencji prasowej, grupa wydawców biuletynu postanowiła ujawnić swoje nazwiska i oficjalnie przekazać zachodnim dziennikarzom trzy kolejne gotowe numery „Kroniki Wydarzeń Bieżących". Siergiej Kowalow, Tatiana Wielikanowa i Tatiana Chodorowicz wystąpili ze specjalnym oświadczeniem: „Wbrew wielokrotnym stwierdzeniom organów KGB i sądów sowieckich nie uważamy »Kroniki Wydarzeń Bieżących« za wydanie nielegalne i oszczercze. Naszym obowiązkiem jest jak najszersze rozpowszechnienie jej". Było to otwarte wyzwanie wobec władz komunistycznych, akt cywilnej odwagi najwyższej próby, za który dysydenci mieli wkrótce zapłacić ogromną cenę: utratę wolności.

Protest sowieckich dysydentów na Placu Czerwonym w sierpniu 1968 r. został stłumiony. Komunistyczne władze nie były jednak w stanie stłumić ducha wolności towarzyszącego temu wydarzeniu, który przetrwał i znalazł swoje odzwierciedlenie w kolejnych protestach, w tym również w polskiej Solidarności.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Wieża kościoła św. Józefa i minaret w mieście Kaduna

FOT. MARVELLOUS DUROWAIYE/REUTERS/FORUM

XXI w. / Prześladowania wyznawców Chrystusa

Gehenna chrześcijan na Czarnym Lądzie

Anna Szczepańska

Mordy, porwania dla okupu, gwałty, wypędzanie z domów. Tak wygląda codzienność milionów chrześcijan w Afryce. Każdego roku giną tam tysiące wyznawców Chrystusa. W ostatnich latach szczególnie prześladowani są chrześcijanie w Nigerii. Czy ktokolwiek staje w ich obronie?

19 kwietnia 2023 r. nad ranem Tobias Yahayi usłyszał głosy obcych ludzi, którzy kręcili się po jego podwórzu. Zaalarmował żonę, aby pobiegła po dzieci, a sam wyszedł na zewnątrz, nie chcąc, aby intruzi wdarli się do domu. Zaatakowało go kilku mężczyzn, jeden zadał mu cios nożem. Tobias zdążył jeszcze uderzyć napastnika; mężczyźni zaczęli się szarpać. Żona Tobiasa wszczęła alarm i na miejsce przybiegli sąsiedzi. Pozostali bandyci uciekli, a Tobias został zawieziony do szpitala. Okazało się, że tuż obok niego na sali leży człowiek, który próbował go zabić.

Gdy napastnika skazano, Tobias podszedł do niego na sali sądowej i powiedział, że mu wybacza. Dla wyznającego islam sędziego był to szokujący widok. Tobias, mimo traumy, postanowił pozostać w swym domu. Miał misję – był katechistą, a w Nigerii to ktoś więcej niż człowiek uczący pacierza. Kiedy brakuje kapłanów, katechiści udzielają Komunii św., chrzczą dzieci, prowadzą nabożeństwa. Tobias wciąż służy chrześcijanom w Sokoto.

W Afryce zdarzają się też ataki o dużo większej skali. W listopadzie 2025 r. doszło do najbardziej masowego uprowadzenia chrześcijan w dziejach Nigerii. Z katolickiej szkoły St. Mary's w stanie Niger nieznani bojówkarze porwali 303 uczennice i 12 nauczycielek. Kilkudziesięciu dziewczętom udało się uciec z niewoli kilka dni później. Pozostałe, dzięki mediacjom, uwolniono w drugiej połowie grudnia. Porwania są w Nigerii właściwie codziennością, ale szczególnie często ofiarami są chrześcijanie, głównie dziewczęta i młodzi chłopcy. Za niektórych można wziąć okup, natomiast z części dziewcząt czyni się seksualne niewolnice,

eprasa.pl fc73704fe8

a z chłopców, po odpowiednim „praniu mózgu", islamskich bojowników.

Raj utracony

Te dramatyczne wydarzenia to tylko wycinek niemających końca opowieści o prześladowaniach chrześcijan w Nigerii. Do ataków na wyznawców Chrystusa dochodzi tu bowiem od lat, choć ostatnio sytuacja jeszcze się pogarsza.

Od 2009 r. w Nigerii zginęło ponad 50 tys. chrześcijan (z czego aż 7 tys. mordów miało miejsce w ciągu ostatnich dwóch lat), a tysiące chrześcijańskich świątyń zostały zaatakowane.

W 12 północnych stanach Nigerii obowiązuje prawo szariatu, które ogranicza wolność religijną i dostęp do edukacji. To z kolei grozi analfabetyzmem, brakiem pracy, biedą. Taka sytuacja to idealne podglebie dla radykalnych muzułmanów, którzy werbują bojówkarzy wśród ludzi najgorzej sytuowanych.

Nigeria mogła być bogatym państwem, ale na razie marnuje swój potencjał: położenie i zasoby naturalne. Niepodległość ogłosiła w „roku Afryki" (1960). Podobnie jak wiele innych państw kontynentu Nigeria była do samodzielności źle przygotowana. Kraj rozrywali między sobą wojskowi, a przeróżne mętne układy blokowały rozwój. Od początku górę brały konflikty społeczne, etniczne i religijne. Ludzie byli niezadowoleni z przebiegu granic, więc napięcia między różnymi plemionami się nasilały.

Uwolnione przez terrorystów dzieci z katolickiej szkoły św. Marii w Papiri

FOT. MARVELLOUS DUROWAIYE/REUTERS/FORUM

Spośród ok. 250 grup etnicznych szczególne znaczenie miały cztery: wyznający islam sunnicki Hausa i Fulanie, żyjący na północy, mieszani pod względem religii Jorubowie mieszkający na zachodzie kraju (część wyznaje islam, część chrześcijaństwo, a część tzw. religie tradycyjne) oraz Igbo (Ibo) z południa i południowego wschodu, którzy są w większości chrześcijanami. Niechęć między różnymi grupami nasiliła się jeszcze po wojnie w Biafrze z lat 1967–1970, kiedy władze kraju doprowadziły niemal do zagłodzenia całej południowej, zamieszkanej przez chrześcijan prowincji (pisaliśmy o tym w nr. 12/2024 „HDR").

Przemoc wobec chrześcijan miała i ma podłoże religijne, etniczne, a także ekonomiczne – chrześcijanie są bowiem statystycznie bogatsi od muzułmanów. Stąd właśnie ataki na szkoły i porwania dla okupu młodzieży oraz dorosłych. Porywani są także księża i siostry zakonne. Do takich sytuacji dochodzi coraz częściej.

Chrześcijanie są atakowani przez luźno współpracujące ze sobą grupki muzułmanów, a także coraz szerzej działające w zachodniej i środkowej Afryce organizacje muzułmańskie, które są powiązane z Państwem Islamskim, tj. Boko Haram czy odłam ISIS Prowincji Afryki Zachodniej oraz grupy związane z Al-Kaidą, jak Lakurawa powiązana z działającą w Mali grupą Dżama'at Nasr al-Islam wa-al-Muslimin (JNIM).

W 2024 r. rządzący od niedawna prezydent Bola Ahmed Tinubu dokonał zmian w rządzie, dążąc do zwiększenia reprezentacji chrześcijan w administracji. Ten krok nie zdał się jednak na wiele, bo przemoc nie ustała. Niedługo potem, w czasie Świąt Wielkanocnych, muzułmanie zaatakowali chrześcijańskie wioski w południowym stanie Kaduna. Służby nie udzieliły im pomocy, biernie oczekując na koniec pogromu.

O tym, jak dokładnie wygląda sytuacja w Nigerii i dlaczego chrześcijanie spotykają się tam z taką przemocą, opowiada dyrektor polskiej sekcji Pomocy Kościołowi w Potrzebie, ks. dr hab. Jan Witold Żelazny.

Ksiądz Isaac Achi zamordowany w 2023 r.

FOT. CATHOLICNEWSAGENCY.COM

eprasa.pl fc73704fe8

ANNA SZCZEPAŃSKA: Gdzie w Afryce sytuacja chrześcijan jest najtrudniejsza?

KS. DR HAB. JAN WITOLD ŻELAZNY: Jest to trudne do zmierzenia, choć oczywiście można wskazać takie miejsca, gdzie położenie chrześcijan jest wyjątkowo tragiczne. Na jednym z pierwszych miejsc trzeba wymienić Nigerię. Trudna sytuacja chrześcijan panuje też w Mozambiku, zwłaszcza w jego północnej części. Dalej wymienić trzeba właściwie wszystkie państwa Sahelu, czyli państwa rozciągające się od Mauretanii po Sudan. Z dramatem mierzą się również chrześcijanie w Demokratycznej Republice Konga, zwłaszcza w regionie miasta Goma w prowincji Kiwu na wschodzie kraju, gdzie od początku lat 90. trwają nieustanne walki [miejsce to sąsiaduje z Burundi oraz Rwandą i było również jedną z aren starć pomiędzy Hutu i Tutsi, który to konflikt nabrał w połowie lat 90. międzynarodowego charakteru – przyp. red.].

Dlaczego chrześcijanom w Nigerii żyje się tak ciężko? Skąd bierze się nienawiść wobec wyznawców Chrystusa?

To kraj, gdzie prześladowania chrześcijan mają bardzo specyficzny charakter. Chrześcijanie są tam gnębieni, można by powiedzieć – we wszelki możliwy sposób.

Co to znaczy?

To skomplikowany problem. Prześladowania chrześcijan w Nigerii jak w soczewce skupiają w sobie wszystkie rodzaje ucisku. Ich przyczyny są zarazem bardzo różne. W północno-wschodniej części tego kraju jest to kwestia konfliktu między chrześcijanami a muzułmanami. Tam działa Boko Haram, czyli muzułmański ruch, który dąży do utworzenia w państwach Sahelu kalifatu islamskiego. W tej części Nigerii ataki na chrześcijan motywowane zatem były – i są nadal – przede wszystkim nienawiścią na tle religijnym, aczkolwiek mają one także podłoże polityczne. W północno-zachodniej Nigerii problem jest nieco inny. W tym miejscu bowiem, delikatnie mówiąc, niedobrze funkcjonuje aparat państwowy, co pozwala na powstawanie coraz liczniejszych grup przestępczych, gdyż nikt nad tym nie panuje. Tu więc ataki na chrześcijan mają głównie

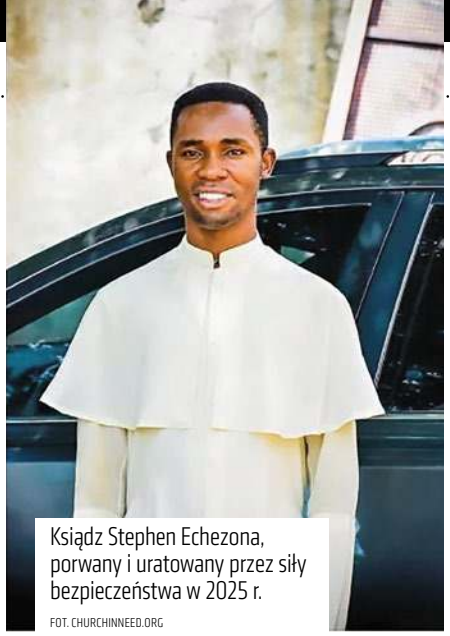

Ksiądz Stephen Echezona, porwany i uratowany przez siły bezpieczeństwa w 2025 r.

FOT. CHURCHINNEED.ORG

podłoże ekonomiczne, są zwyczajnym bandytyzmem.

Jeszcze inna sytuacja panuje w środkowej Nigerii. Tutaj najwięcej do powiedzenia ma ruch Fulani. Fulanie to ludność pasterska. W ostatnich latach pod wpływem zmian klimatycznych i z powodu wysychania łąk Fulanie masowo tracą swoje pastwiska. Fulanie są muzułmanami, ale w ich przypadku konflikt z chrześcijanami, choć ma podłoże etniczne, nie jest konfliktem religijnym, lecz konfliktem o ziemię. Fulanie chcieliby „wypchnąć" chrześcijan z tych terenów, gdyż sami potrzebują pastwisk.

Najlepsze warunki do życia mają chrześcijanie mieszkający na południu Nigerii. Tam jest ich najwięcej i tam właściwie nie dochodzi do ataków na wyznawców Chrystusa.

Na jakie inne czynniki trzeba jeszcze zwrócić uwagę, jeżeli mówimy o sytuacji chrześcijan w Afryce?

Jak wspomniałem, tak jak możemy mówić o różnego rodzaju atakach na chrześcijan, tak musimy powiedzieć o różnych ich przyczynach. Pamiętać przy tym trzeba, że tak jak w przypadku Nigerii, tak w innych państwach afrykańskich w grę wchodzą nie tylko miejscowe zależności i układy. Ważne są też międzynarodowe powiązania, które krzyżują się w każdym kraju. Wiele konfliktów wybucha w miejscach, gdzie znajdują się złoża metali ziem rzadkich oraz innych ważnych surowców. Chęć ich wydobycia niemal zawsze wywołuje napięcia. W takich sytuacjach walka z chrześcijanami jest często wykorzystywana jako swego rodzaju „zasłona dymna". Przesiedla się chrześcijan z ich ziemi tylko dlatego, że ktoś chce w jakimś miejscu realizować swoje inwestycje. Tak dzieje się przede wszystkim w Demokratycznej Republice Konga i w północnym Mozambiku.

Czy władze Nigerii robią cokolwiek, aby pomóc chrześcijanom? Rząd otrzymuje przecież informacje o tym, jak wygląda ich sytuacja.

Nigeria jest krajem federalnym, ale w związku z tym, że tak stanowią zapisy konstytucji, w całym państwie gwarantowana jest wolność religijna. Jednocześnie, chociaż prezydent jest muzułmaninem, podobnie jak jego zastępca, obaj nie negują faktu, że sytuacja chrześcijan

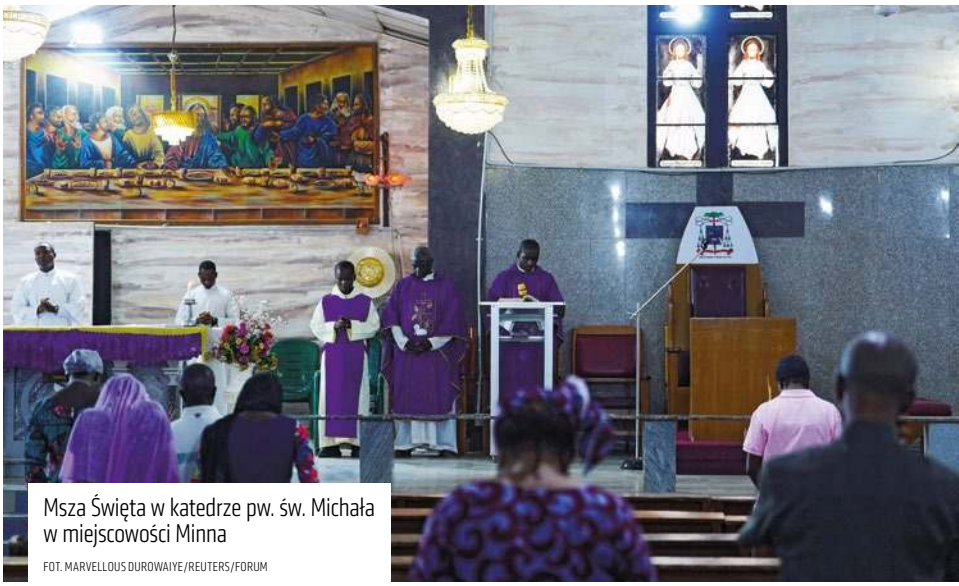

Msza Święta w katedrze pw. św. Michała w miejscowości Minna

FOT. MARVELLOUS DUROWAIYE/REUTERS/FORUM

eprasa.pl fc73704fe8

Krew ofiar w kościele (Christ Apostolic Church) w Eruku

FOT. ABDULLAHI DARE AKOGUN/REUTERS/FORUM

w ich kraju jest trudna. Uważają oni, że tam, gdzie wyznawcy Chrystusa są szczególnie narażeni na ataki, powinna zostać zwiększona liczba funkcjonariuszy i środków bezpieczeństwa. Uważają jednak, że to państwa Zachodu powinny przekazać na ten cel pieniądze.

Czyli de facto można uznać, że władze są bierne wobec narastającej przemocy.

Jako organizacja pomagająca chrześcijanom wiemy, że choć oficjalnie przepisy stanowią jedno, to ataki na chrześcijan faktycznie bardzo często spotykają się z biernością służb. Wielokrotnie dzieje się tak, że do prześladowań dochodzi nie dlatego, że milicji nie ma, ale dlatego, że milicja biernie na to przyzwala, nie reaguje na czynione zło. Do takich wydarzeń doszło niedawno w Nigerii. W listopadzie 2025 r. świat obiegły informacje o atakach na chrześcijańskie szkoły w regionach Niger, Kebbi i Kwara. W ich trakcie uprowadzono ponad 300 uczniów i nauczycieli [wszystkie dzieci zostały uwolnione 21 grudnia – przyp. red.]. Wcześniej jednak dyrekcje szkół apelowały do władz o pomoc, o zabezpieczenie placówek, gdyż dochodziły do nich głosy, że wkrótce szkoły zostaną zaatakowane przez antychrześcijańskie bojówki. Pomocy takiej nie udzielono, a milicja przyjechała na miejsce już po fakcie.

Chrześcijanie są aktualnie najbardziej prześladowaną grupą wyznaniową na świecie. Jak na przemoc wobec nich reagują światowe organizacje i światowe mocarstwa? Czy w ogóle się tym interesują?

I tak, i nie. Rożnego rodzaju organizacje chrześcijańskie – katolickie i protestanckie – interesują się kwestią prześladowania chrześcijan, podejmują wiele akcji i działań, aby nagłośnić problem. A jeżeli chodzi o rządy poszczególnych państw, to w tym momencie mamy tylko Stany Zjednoczone, które zajęły wyraźne stanowisko w sprawie prześladowań chrześcijan. Gorzej wygląda sytuacja z innymi państwami. Jest to spowodowane wspomnianymi wyżej interesami ekonomicznymi. Patrząc na Afrykę, ludzie często nie chcą zobaczyć problemów, które tam istnieją, bo to naruszy interesy Chin, Stanów Zjednoczonych, Rosji, Francji czy Unii Europejskiej. Wszystkie podmioty „rozgrywają" między sobą problemy, które mają mieszkańcy Afryki. A chrześcijanie są często pierwszymi ofiarami różnych sporów.

Trudność pojawia się już u źródeł. W teorii każde państwo, które podpisało Powszechną Deklarację Praw Człowieka, jest zobowiązane chronić wszystkich wierzących. Warto w tym miejscu przypomnieć, że 18. punkt deklaracji stanowi: „Każda osoba ma prawo do wolności myśli, sumienia i religii; prawo to obejmuje wolność zmiany swej religii lub przekonań, jak również wolność manifestowania swej religii lub przekonań, indywidualnie lub wspólnie z innymi, publicznie lub prywatnie, poprzez nauczanie, praktyki religijne, sprawowanie kultu i rytuałów". Tymczasem te same państwa Afryki, pomimo podpisania takiego zobowiązania, poprzez swoją bierność przyzwalają na prześladowania, a nawet więcej: oficjalnie wprowadzają pewne zapisy prawa, ograniczają wolność wyznawania chrześcijaństwa czy innej religii i piętnują religię inną niż wyznawana przez decydentów.

Jako organizacja Pomoc Kościołowi w Potrzebie staramy się uwrażliwić ludzi na złożoność sytuacji w Afryce, na to, jak wygląda tam sytuacja wyznawców Chrystusa i że ataki na nich mają wiele powodów.

Czy uważa ksiądz, że niedawne deklaracje USA dotyczące sytuacji chrześcijan w Nigerii się spełnią, a administracja Donalda Trumpa będzie w stanie pomóc prześladowanym ludziom?

Osobiście nie jestem przekonany, że pojawienie się amerykańskich żołnierzy, czyli zbrojna interwencja Stanów Zjednoczonych w Nigerii, pomoże chrześcijanom. Obawiam się nawet, że może stać się wręcz odwrotnie: wszyscy przeciwnicy chrześcijan mogą się jeszcze bardziej zwrócić przeciwko nim, przez co chrześcijanie staną się ofiarą takiej akcji pomocowej. Z pewnością jednak ważne jest to, że o problemie się mówi, gdyż władze Nigerii mają świadomość, iż patrzy się im na ręce. Jednocześnie jest nadzieja, że spotkanie z amerykańskimi doradcami, sama perspektywa interwencji sprawią, iż władze Nigerii nie będą mogły mówić, że o czymś nie wiedziały, nie znały skali problemu. Mówił o tym niedawno, będący na nasze zaproszenie w Polsce, jeden z nigeryjskich biskupów – John Bogna Bakeni. Jak powiedział, cieszy się, że ktoś interesuje się problemami, z którymi borykają się chrześcijanie, ale twierdzi, że interwencja wojskowa nie polepszy położenia naszych współwyznawców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ks. dr hab. Jan Witold Żelazny
– dyrektor Sekcji Polskiej Fundacji „Pomoc Kościołowi w Potrzebie". Pracownik Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie.

eprasa.pl fc73704fe8

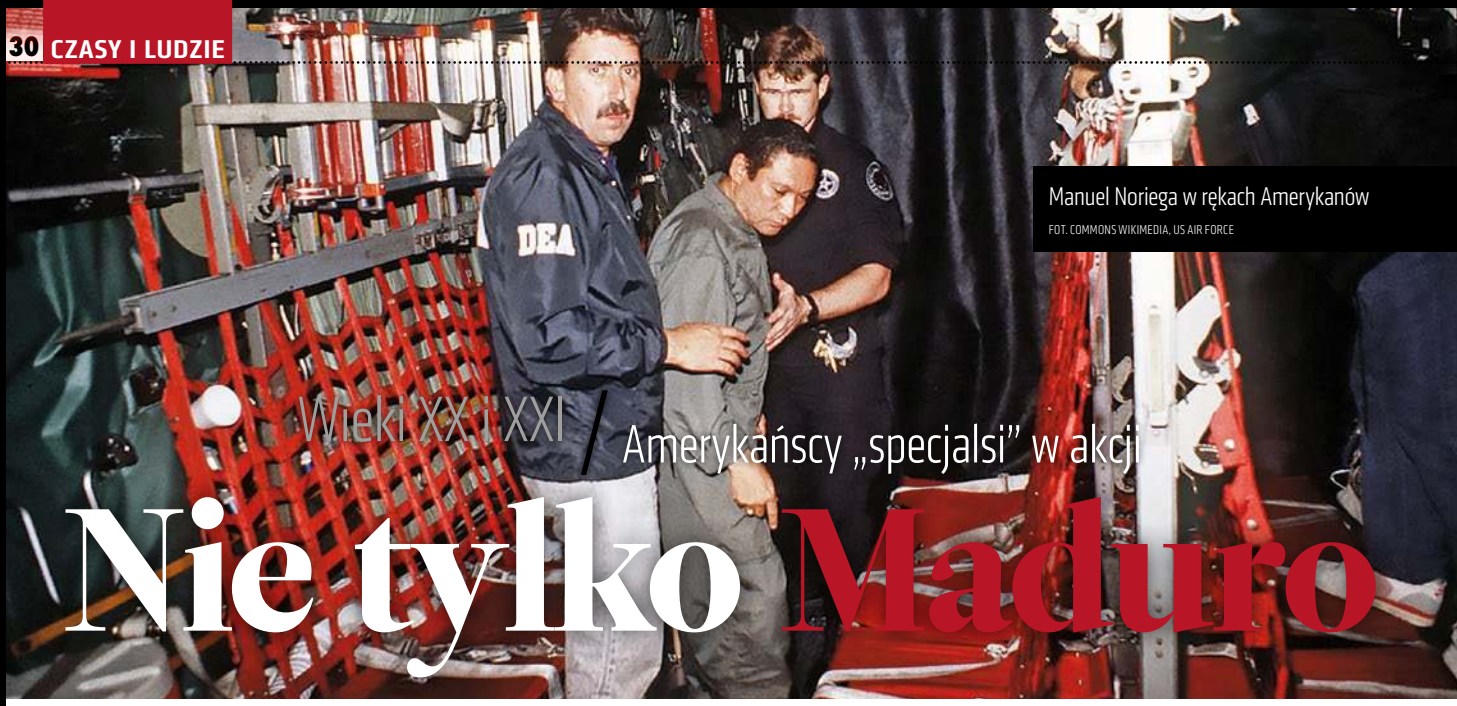

Manuel Noriega w rękach Amerykanów

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US AIR FORCE

Wieki XX i XXI / Amerykańscy „specjalsi" w akcji

Nie tylko Maduro

Piotr Włoczyk

Pojmanie wenezuelskiego dyktatora ma szansę przejść do historii jako najbardziej niesamowita operacja sił specjalnych. Amerykanie organizowali po drugiej wojnie światowej podobne, brawurowe misje, ale zaliczyli też kompromitujące porażki

Akcja „Delta Force" w Caracas zaskoczyła cały świat. Gdy „konwój" śmigłowców wojskowych przecinał w środku nocy niebo nad stolicą Wenezueli, obrona powietrzna w Caracas była już w znacznej mierze zneutralizowana. Kubańscy „pretorianie" Maduro mieli dosłownie chwilę, żeby przygotować się do obrony „prezydenta" (chaviści sfałszowali ostatnie wybory). Człowieka, dzięki któremu reżim Castro mógł liczyć na dostawy półdarmowego paliwa niezbędnego dla funkcjonowania machiny państwowej.

Kubańscy komandosi nie mieli jednak szans w tym starciu. Źródła wenezuelskie przekazały mediom, że zginęło kilkudziesięciu żołnierzy komunistycznego reżimu. Atakujący odnieśli nieporównanie mniejsze straty: kilku rannych komandosów i jeden podziurawiony śmigłowiec.

To już kolejna akcja Amerykanów w ich „ogródku". Poprzednie misje też ściągały na nich gromy ze strony innych państw, które same obawiały się, że padną ofiarami podobnych operacji specjalnych. Kilka razy Waszyngton zaliczył jednak olbrzymie wpadki, które podały w wątpliwość sprawność sił zbrojnych amerykańskiego supermocarstwa. Co ciekawe, najbardziej dotkliwa katastrofa sił specjalnych USA sprawiła, że Pentagon musiał wprowadzić program naprawczy. Jego efekty widzieliśmy w styczniu w Caracas.

Reagan na Grenadzie

Rangersi wyskakiwali z samolotów zaledwie 150 metrów nad ziemią. Dzięki temu udało im się uniknąć kubańskich kul. Dwustu Rangersów z US Army szybko obezwładniło Kubańczyków na lotnisku Point Salines, dzięki czemu po chwili mogło tam wylądować kolejnych 500 amerykańskich komandosów. Gdy lotnisko było już całkowicie opanowane przez Amerykanów, na miejsce dotarły główne siły – 5 tys. żołnierzy 82. dywizji powietrzno-desantowej. Równolegle w innym miejscu wyspy operatorzy Navy SEALs uwolnili Paula Scoona, gubernatora generalnego Grenady, który był przetrzymywany przez puczystów.

Był 25 października 1983 r., noc powoli ustępowała miejsca porankowi. Tak rozpoczęła się operacja „Urgent Fury" – inwazja na Grenadę. Powodem interwencji USA był przewrót, który miał miejsce kilka dni wcześniej na tej małej karaibskiej wyspie (całe państwo ma mniejszą powierzchnię niż Warszawa, a w tamtym czasie zamieszkiwało je ok. 90 tys. osób). Obalono wówczas premiera Maurice'a Bishopa, który w 1979 r. sam objął władzę w wyniku bezkrwawego przewrotu. Bishop usunął wtedy premiera Erica Gairy'ego, który stworzył skorumpowany, dyktatorski system. Podstawą reżimu była jego własna bojówka, tzw. Mongoose Gang. Bishop, który stanął na czele Ludowego Rządu Rewolucyjnego, zbliżył się do bloku wschodniego, czym ściągnął na siebie potępienie ze strony państw zachodnich, szczególnie USA.

Najbardziej zapalnym punktem było nowe, duże lotnisko na największej wyspie, które budowali Kubańczycy (i zapewniali temu projektowi ochronę). Amerykanie obawiali się, że lotnisko będzie wykorzystywane przez ZSRS,

eprasa.pl fc73704fe8

Lądowanie żołnierzy 75. Pułku Rangersów na Grenadzie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US ARMY

ale Bishop podkreślał, że chodzi jedynie o rozruszanie turystyki. Premier ostatecznie okazał się mniejszym radykałem, niż sądził Biały Dom, i w czerwcu 1983 r. wybrał się do USA na rozmowy, by uśmierzyć obawy Amerykanów.

Na taki zwrot nie zgodziło się jednak skrajnie lewicowe, marksistowskie skrzydło koalicji rządzącej Grenadą. 13 października 1983 r. doszło więc do kolejnego przewrotu. Bishop trafił do aresztu domowego, a na czele junty stanął głównodowodzący grenadyjskich sił zbrojnych, gen. Hudson Austin. Wkrótce obalony premier został zabity i Waszyngton zaczął planować operację, która miała usunąć juntę, a wraz z nią sowiecko-kubańskie wpływy. Dodatkowym argumentem miała być ochrona setek amerykańskich obywateli – głównie studentów – mieszkających na wyspie.

Podstawą prawną dla inwazji był apel gubernatora generalnego Grenady (do 1974 r. była to brytyjska kolonia, a do dziś Grenada jest częścią Commonwealthu), który zaapelował do „zaprzyjaźnionych państw" o interwencję. Nic dziwnego, że po wystosowaniu takiego apelu gubernator generalny został uwięziony przez juntę. W sprawę zaangażowała się wreszcie Organizacja Państw Wschodniokaraibskich (OECS), która formalnie poprosiła USA o interwencję.

Na głównym lotnisku wylądowali Rangersi i żołnierze 82. dywizji, natomiast plaże Grenady szybko zapełniły się marines i ich sprzętem. Następnego dnia było już po wszystkim – ostatni kubańscy żołnierze złożyli broń (sami grenadyjscy żołnierze od początku nie mieli większych chęci bić się z Amerykanami). Teoretycznie była to operacja koalicyjna, ale na 30 Amerykanów przypadał jeden żołnierz OECS...

Amerykanie stracili w czasie inwazji 19 zabitych, Kubańczyków zginęło 24, a grenadyjska armia zanotowała 21 zabitych (straty wśród cywilów to 24 ofiary śmiertelne).

Co ciekawe, akcja USA rozzłościła niedawnych zarządców Grenady – Brytyjczyków. „Inwazja na tę byłą brytyjską kolonię rozgniewała premier Margaret Thatcher, która rozmawiała ostatniej nocy z prezydentem Reaganem, starając się odwieść go od działań militarnych – relacjonowało na gorąco BBC. – Jednak Pentagon wyraził »oburzenie«, że premier odmówiła wzięcia udziału w inwazji mimo wsparcia udzielonego przez USA w zeszłorocznym konflikcie o Falklandy". Inwazję na Grenadę w ostrych słowach potępiło Zgromadzenie Ogólne ONZ.

Panama: Noriega jak Maduro

Co łączyło Manuela Noriegę, Saddama Husajna i Osamę bin Ladena? Wszyscy trzej na pewnym etapie swojego życia współpracowali z CIA. – W latach 80. Noriega, który rządził żelazną ręką Panamą, był ważnym elementem amerykańskiej strategii walki z wpływami komunistycznymi w Ameryce Środkowej. Ale równolegle wykorzystywał swoje umocowanie w Waszyngtonie do przerzutu narkotyków – powiedział „HDR" dr Dennis M. Hogan z Uniwersytetu Harvarda, znawca historii Ameryki Łacińskiej. – Administracji George'a Busha seniora nie podobało się, że Noriega gra na dwie strony, przez co nie można już mu było ufać.

W 1989 r. Amerykanie mogli zauważyć, że panamski dyktator poczuł się naprawdę silny i zaczął im „podskakiwać". Wiosną tamtego roku Noriega, dowódca Panamskich Sił Obronnych, unieważnił wynik wyborów prezydenckich, które wygrał jego przeciwnik, i na najwyższy – formalnie – urząd w kraju wstawił... swojego kolegę ze szkoły. W grudniu natomiast kontrolowany przez Noriegę parlament ogłosił, że Panama jest w stanie wojny z USA. Jakby tego było mało, dzień później panamscy żołnierze zastrzelili amerykańskiego marines (USA utrzymywały jeszcze wtedy garnizon w kontrolowanej przez siebie Strefie Kanału Panamskiego). George Bush senior postanowił w końcu rozwiązać ten narastający problem siłowo.

Amerykańskie wojska wylądowały w Panamie 20 grudnia 1989 r. Akcja rozpoczęła się od brawurowej operacji „Delta Force", która opanowała więzienie Modelo i uwolniła przetrzymywanego tam amerykańskiego obywatela, który działał przeciw reżimowi Noriegi. Mimo szybkiego stłumienia oporu samego dyktatora nie udało się od razu pojmać. Noriega schronił się w nuncjaturze apostolskiej i dopiero po dłuższych negocjacjach oddał się w ręce Amerykanów. Został następnie przewieziony do USA i stanął przed sądem, oskarżony m.in. o przemyt narkotyków. Noriega odbywał kolejne wyroki w Ameryce, we Francji i wreszcie w Panamie, gdzie w 2017 r. został zwolniony z więzienia z powodu złego stanu zdrowia (w tym samym roku umarł).

W trakcie operacji w Panamie zginęło 23 żołnierzy amerykańskich i kilkuset panamskich, ale ogromne straty zanotowano po stronie cywilów. – Oficjalnie życie straciło ok. 500 osób, ale niektóre panamskie źródła

Dom Osamy bin Ladena w Abbottabadzie, w którym został zabity

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SAJJAD ALI QURESHI

eprasa.pl fc73704fe8

Wraki amerykańskiego śmigłowca i samolotu transportowego w punkcie „Desert One"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US MILITARY

Kubańscy rebelianci, który zostali schwytani po lądowaniu w Zatoce Świń FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MIGUEL VINAS

mówią o nawet 3 tys. zabitych. W wyniku amerykańskiego nalotu szczególnie ucierpiała El Chorrillo, część Panama City – podkreślał dr Hogan. – To biedna dzielnica, gdzie do dziś mieszkają robotnicy. Nie tylko mieliśmy tam do czynienia z brutalną inwazją, lecz także rodziny ofiar nie mogły się doprosić rzeczowego ustalenia faktów.

Nie ma wątpliwości, że Noriega był dyktatorem. Myślę, że większość Panamczyków chciała się pozbyć Noriegi, ale na pewno nie w taki sposób…

Polowanie na Osamę

Jeżeli weźmiemy pod uwagę ogrom pracy i pieniędzy, który przeznaczono na ten cel, to śmiało można postawić tezę, że Osama bin Laden był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w historii świata. Ameryka niemal przez dekadę poszukiwała terrorysty, który zaplanował ataki z 11 września 2001 r.

Jednak wbrew wcześniejszym przewidywaniom amerykańskiego wywiadu bin Laden nie ukrywał się gdzieś na głębokiej prowincji, w jaskini, otoczony tylko kilkoma ochroniarzami. Terrorysta numer jeden od 2005 r. mieszkał w komfortowych warunkach w pilnie strzeżonym kompleksie w Abbottabadzie, dużym mieście położonym ok. 60 km na północ od Islamabadu, stolicy Pakistanu. Nie ma dowodów na to, że pakistańskie władze wiedziały o tym czy wręcz osłaniały go, ale wydaje się niemożliwe, żeby przynajmniej część aparatu władzy nie miała na ten temat informacji.

Latem 2010 r. wywiad USA ustalił, że bin Laden przebywa w Abbottabadzie, i od tej pory planowano operację likwidacyjną, która przeprowadzona została 2 maja 2011 r.

Amerykanie nie informowali Pakistańczyków o tej akcji, więc SEAL Team 6 (komandosi US Navy) musieli wlecieć na terytorium tego państwa po cichu, by nie doszło do „kontaktu" z pakistańskim wojskiem. Ostatecznie operacja zabicia bin Ladena została wykonana wzorcowo. Przywódca Al-Kaidy zginął w walce, a jego ciało zostało następnie przetransportowane na okręt wojenny USA i wrzucone do morza.

„Informacja [o śmierci bin Ladena] wywołała ogromne emocje: tłumy zgromadziły się przed Białym Domem, na Times Square i w strefie zero [byłe WTC], machając amerykańskimi flagami, wiwatując, krzycząc, śmiejąc się i skandując: »USA, USA!« – relacjonował »The New York Times«. – W Nowym Jorku tłumy śpiewały »Gwiaździsty Sztandar«. W centrum Waszyngtonu kierowcy trąbili jeszcze późno w nocy".

Fiasko w Zatoce Świń

Formalnie to nie Amerykanie wylądowali 17 kwietnia 1961 r. na plaży w Zatoce Świń na Kubie, jednak cała ta operacja była finansowana i nadzorowana przez USA, więc fiasko usunięcia reżimu Castro jak najbardziej można zapisać na konto Waszyngtonu.

Do dziś możemy oglądać na Kubie większe i mniejsze plakaty, bannery i murale sławiące to zwycięstwo sił komunistycznych. Odparcie inwazji, która miała przynieść kres reżimowi Castro na samym początku jego rządów, przyniosło USA same straty. I to nie tylko wizerunkowe – każdy przecież wiedział, że to Ameryka stoi za Brygadą 2506, która szturmowała plaże w Zatoce Świń. Ta nieudana operacja spowodowała również, że Castro jeszcze bardziej zbliżył się do Moskwy, co w kolejnym roku skończyło się atomowym kryzysem.

Nowa administracja Johna F. Kennedy'ego, która władzę sprawowała dopiero od trzech miesięcy, wykazała się w tym przypadku kompletnym brakiem zdecydowania. Z jednej strony dała zielone światło Brygadzie 2506, ale w ostatniej chwili wycofała wsparcie ze strony swoich sił zbrojnych, obawiając się ostrej reakcji Moskwy. A przecież Amerykanie mogli wtedy bez większych trudności sprawić, że Kuba znów znalazłaby się w ich strefie wpływów.

– Na ostatniej odprawie przed inwazją, gdy stacjonowaliśmy już w Nikaragui, skąd nasze siły wyruszyły na Kubę, pojawili się u nas ludzie z Waszyngtonu. Usłyszeliśmy, że dwie amerykańskie dywizje desantowe – 101. i 82. – wezmą udział w walce – podkreślił w rozmowie ze mną Armando Gutierrez, członek Brygady 2506, który brał udział w inwazji w Zatoce Świń. – Powiedziano nam również, że będzie za nami stała amerykańska flota. Zresztą akurat w to nie było trudno uwierzyć. Za każdym razem w drodze na Kubę przelatywaliśmy nad amerykańskimi okrętami stacjonującymi w tym regionie, a jeden z lotniskowców – USS „Essex" – wysyłał dwa myśliwce Skyhawk, aby leciały nad nami w eskorcie. Również nasi instruktorzy zapewniali nas, że będziemy mieli potężne wsparcie. To

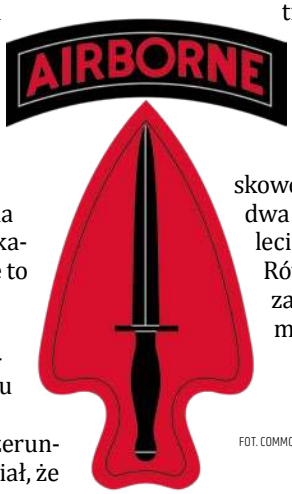

Logo Delta Force
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US ARMY INSITUTE OF HERALDRY REDRAWN MCSUSH

eprasa.pl fc73704fe8

była od początku do końca amerykańska operacja, a my nie mieliśmy nic do gadania w kwestii jej przebiegu.

Amerykanie nie wsparli jednak lądujących na plażach oddziałów kubańskiej opozycji, które były nieproporcjonalnie małe w stosunku do czekających na nie wojsk Castro. W efekcie już po dwóch dniach było po wszystkim i 90 proc. sił inwazyjnych trafiło do niewoli. Amerykanie negocjowali następnie uwolnienie ich w zamian za 50 mln dol. pomocy humanitarnej. Do 1965 r. Castro zwolnił z więzień niemal wszystkich jeńców.

– To wszystko było zaplanowane przez Eisenhowera. A JFK w ostatniej chwili wycofał się z planu oficjalnego zaangażowania w operację wojsk USA – mówił mi Armando Gutierrez. – Kennedy był na pewno dobrym człowiekiem, ale niestety ostatecznie posłuchał tych, którzy, z różnych powodów, nie chcieli, żeby USA otwarcie nas wsparły. Eisenhower z pewnością nie wycofałby się z tej operacji w ostatniej chwili. Gdyby tak się stało, nikt by dziś nie pamiętał o kimś takim jak Fidel Castro.

Katastrofa na pustyni

Delta Force, która w tak spektakularnych okolicznościach porwała Nicolása Maduro, powstała dzięki uporowi płk. Charlesa Beckwitha. Ten wywodzący się z Zielonych Beretów oficer, który w trakcie wojny w Wietnamie nadzorował wiele operacji specjalnych, zauważył, że Ameryka pilnie potrzebuje jednostki podobnej do brytyjskiego SAS (Special Air Service). Beckwith przekonywał decydentów z Pentagonu, że w czasach terroryzmu USA muszą posiadać jednostkę potrafiącą nie tylko eliminować świetnie chronione cele, lecz także odbijać zakładników. W końcu Waszyngton przystał na tę propozycję i stworzył Delta Force, składającą się z najtwardszych, najbardziej sprawnych komandosów wyselekcjonowanych z jednostek specjalnych US Army. To miała być elita elit.

– Oficjalnie zostaliśmy powołani do życia w 1977 r., ale dostaliśmy jeszcze dwa lata, żeby znaleźć, wyszkolić i wyekwipować naszych żołnierzy. Zgodnie z planem mieliśmy być gotowi do akcji w październiku 1979 r. Przejrzeliśmy przez ten czas 10–15 tys. teczek osobowych najlepszych żołnierzy w naszych siłach zbrojnych. W październiku 1979 r. mieliśmy ok. 90 w pełni wyszkolonych komandosów – mówił w rozmowie ze mną mjr Logan Fitch, który pomagał płk. Beckwithowi w tworzeniu Delta Force.

Akurat gdy ta elitarna jednostka osiągnęła zdolność do akcji, tłum zwolenników ajatollaha Chomeiniego zaatakował ambasadę USA i uwięził jej personel. Był to ogromny problem wizerunkowy dla Waszyngtonu. Obywatele światowego supermocarstwa bezradnie przyglądali się, jak poniewierani są jego dyplomaci, i to przed obiektywami kamer telewizyjnych…

W końcu administracja Jimmy'ego Cartera uznała, że nie można tego dłużej tolerować. Zakładników uwolnić mieli komandosi Delta Force. Żołnierze tej jednostki ćwiczyli akcję w specjalnie do tego celu zbudowanym modelu kompleksu ambasady.

24 kwietnia 1980 r. Delta Force dostała się na miejsce nazwane „Desert One". Był to punkt „przesiadkowy" na pustyni, kilkaset kilometrów na południowy wschód od Teheranu, skąd zespół uderzeniowy miał polecieć do stolicy Iranu i uwolnić zakładników. Jednak w „Desert One" najpierw okazało się, że dwa śmigłowce z ośmiu mających wziąć udział w akcji nie doleciały na miejsce z powodu problemów technicznych, a następnie na jaw wyszła usterka kolejnej maszyny. To z kolei oznaczało, że komandosi mają zbyt mało śmigłowców, by myśleć o wykonaniu tej operacji.

– Gdy siedzieliśmy w Herkulesie i czekaliśmy na start, czuliśmy się totalnie rozbici decyzją o przerwaniu misji. Ale mieliśmy jeszcze nadzieję, że uda nam się wrócić na „Desert One" kolejnej nocy – wspominał mjr Fitch.

Logo SEAL Team 6

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, US NAVY

Tuż przed startem samolotu doszło jednak do prawdziwej katastrofy. – Usłyszałem dwa wybuchy. Byłem przekonany, że zostaliśmy zaatakowani. Momentalnie chwyciłem za broń i rzuciłem się do pomocy przy otwieraniu tylnych lewych drzwi samolotu – opowiadał mi mjr. Fitch. – Na zewnątrz szalało już piekło. Potem staraliśmy się opuścić rampę, ale ona też stała już w płomieniach. W końcu udało nam się otworzyć tylne prawe drzwi i zaczęliśmy wyskakiwać jeden po drugim. Gdy wydostałem się z samolotu, odbiegłem od niego na odległość ok. 50 metrów. Wciąż myślałem, że zostaliśmy zaatakowani. I wtedy zobaczyłem helikopter wbity w nasz samolot... To był koniec misji odbicia zakładników.

Nie było już mowy o powrocie do Iranu. Ludzki błąd, który skończył się uderzeniem śmigłowca w samolot, pogrzebał misję odbicia zakładników i sprawił, że wrogowie Ameryki, na czele z Teheranem, triumfowali.

Głównym powodem tego fiaska był swoisty miszmasz jednostek. W „Orlim Szponie" miały wziąć udział wszystkie gałęzie sił zbrojnych USA, by po sukcesie wszystkich obdzielić chwałą. Poza tym piloci helikopterów nie mieli odpowiedniego przygotowania do przeprowadzania operacji w skrajnie trudnych warunkach.

Katastrofa „Orlego Szpona" sprawiła, że Pentagon wprowadził program naprawczy. Powołano Dowództwo Operacji Specjalnych, które miało lepiej koordynować takie misje, a „specjalsi" dostali do dyspozycji swoje własne lotnictwo. W ten sposób śmigłowce, które niczym cienie sunęły w konwoju nad Caracas, lecąc do rezydencji Maduro, pilotowane były nie przez „przypadkowych" pilotów wojskowych, ale przez najwyższej klasy specjalistów, którzy z pewnością wielokrotnie analizowali powody katastrofy na irańskiej pustyni.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Filmowy hit 2025 r. / „Norymberga" a prawda historyczna

Chude lata tłustego marszałka

Rami Malek jako Douglas Kelly i Russel Crowe jako Hermann Göring FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jakub Ostromęcki

W filmie Jamesa Vanderbilta wiernemu portretowi Hermanna Göringa towarzyszy wiele kompletnie niepotrzebnych zmyśleń. Część z nich ewidentnie miała zadowolić widzów o lewicowej wrażliwości

To nie jest klasyczny amerykański dramat z sali sądowej, choć ekranizowanie rozprawy z krwawymi gauleiterami aż prosi się o właśnie taką stylistykę. Osią fabuły jest szczególna relacja, która wytworzyła się między najważniejszym z podsądnych norymberskiego trybunału, marszałkiem Rzeszy Hermannem Göringiem, a badającym go psychiatrą wojskowym Douglasem Kelleyem.

James Vanderbilt miewa swoich widzów za nieuków i historię opowiada dosadnie, wielkimi literami. Widać to już na początku filmu. Jest maj 1945 r. Obok polnej drogi stoi amerykański patrol. Jeden z żołnierzy ostentacyjnie oddaje mocz na kawałek poszycia zestrzelonego samolotu, na którym widnieje godło nazistowskich Niemiec. Wszystko to na wypadek, gdyby ktoś nie wiedział, kto i kiedy przegrał drugą wojnę światową.

Dydaktyzm stosuje się też wtedy, gdy film przedstawia materię, z którą przeciętny widz niekoniecznie ma na co dzień do czynienia. W takim przypadku bohaterowie, którzy znają od podszewki tajniki wykonywanej przez siebie pracy, informują się nawzajem o rzeczach dla swojej profesji absolutnie podstawowych. Nieumiejętne stosowanie takiego zabiegu powoduje, że zamiast wciągającego filmowego dialogu otrzymamy wykład lub lekcję prowadzoną przez dwóch ekspertów. W „Norymberdze" na podobnej zasadzie toczy się rozmowa sędziego Roberta Jacksona ze swoją asystentką. Jest maj 1945 r., a para tłumaczy sobie problemy związane z faktem, że sama idea sądu nad Niemcami oparta jest, delikatnie mówiąc, na kruchych podstawach prawnych. O tym, że ordynarnie łamie się tu starą rzymską zasadę „lex retro non agit", czyli „prawo nie działa wstecz", wiedzieli jednak od lat wszyscy poważni prawnicy. To właśnie dlatego Wielka Brytania, najstarsza wówczas nieprzerwanie funkcjonująca demokracja świata, była za tym, aby prawa nie ośmieszać i czołowych nazistów po prostu rozstrzelać, a tych mniej okrutnych

eprasa.pl fc73704fe8

zesłać na jakąś wysepkę o parszywym klimacie.

Prawo silniejsze niż Watykan

Robert Jackson miał dylemat, którego nie pokazano w filmie. Jadąc do zrujnowanej Norymbergi, wiedział, że staje się trybikiem w nowo powstałej machinie prawnej, która mogłaby w przyszłości posłużyć do osądzenia jego własnego kraju, gdyby „sprawy poszły źle". Vanderbilt oszczędził amerykańskim widzom takich niewygodnych pytań. Zamiast tego zaserwował im połajanki wobec papiestwa.

Robert Jackson zastanawia się, który z możnych tego świata mógłby swym autorytetem wzmocnić powagę trybunału w oczach Amerykanów. Harry Truman już to zrobił. „Któż jest jednak potężniejszy od prezydenta?" – pytają amerykańscy prawnicy. W tym momencie kamera ukazuje majestatyczny widok Bazyliki św. Piotra. Jackson leci do Watykanu na audiencję u papieża. Przyjęty zostaje najpierw przez stetryczałego kardynała sekretarza, a potem prowadzi trudną rozmowę z samym Piusem XII.

Papież odmawia publicznego wsparcia dla norymberskiego trybunału, a Jackson, zrazu będący w defensywie, wytacza działo ciężkiego kalibru. Wyrzuca papieżowi niedostateczne potępienie systemu narodowosocjalistycznego, a nawet cichą współpracę z nim, czego dowodem miał być konkordat zawarty z Niemcami przed wojną. Pius XII traci rezon, a Jackson nic nie wskórawszy, rzuca na odchodne coś o przyszłych pokoleniach zapamiętujących negatywną rolę papiestwa w drugiej wojnie światowej.

Jest to jedna z większych blag całego filmu. Prawdziwie wyglądają tu jedynie watykańskie korytarze i Giuseppe Cederna znakomicie ucharakteryzowany na ówczesnego papieża. O roli Piusa XII w czasie drugiej wojnie światowej napisano już całe opasłe tomy, które kończą się tą samą puentą: Kościół katolicki uratował setki tysięcy Żydów. Kandydat na szefa Sądu Najwyższego USA z pewnością by się w tej kwestii orientował. Wiedział też, że w stosunkach z Niemcami to papiestwo było stroną słabszą i los milionów katolików był w rękach Hitlera. Wypominanie konkordatu też byłoby bezsensowne, ponieważ zawarł go poprzednik Piusa XII – Pius XI. A ponadto ten sam papież, który konkordat zawarł, potępił system nazistowski w encyklice „Mit brennender Sorge".

Scena aresztowania Hermanna Göringa. Kadr z filmu „Norymberga" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Czy prawdziwy Jackson faktycznie odwiedził Watykan? Tak – w 1928 r. był na audiencji u wspomnianego Piusa XI i dobrze znał Francisa Spellmana, późniejszego arcybiskupa Nowego Jorku. Konsultował z nim zresztą pewne kwestie związane z norymberskim trybunałem. John Q. Barrett, profesor prawa, specjalizujący się w życiu i dorobku sędziego Jacksona, twierdzi, że chodziło o stosunek do narodowego socjalizmu, Rosjan, Niemców, a nawet o kontakty do duchownych i działaczy katolickich w Europie, którzy mogliby pomóc w procesie.

Dzięki znajomości ze Spellmanem Jackson uzyskał drugą audiencję, tym razem u Piusa XII. Barrett opisuje relacje sędziego z Watykanem jako „serdeczne i produktywne". Ostry ton, którym Jackson żegna się z papieżem, byłby zatem dobry dla działacza lewicowo-liberalnego, a nie prawnika występującego tu dodatkowo w roli dyplomaty. Scena z besztaniem ma raczej na celu zjednanie sobie laickiej, liberalnej, ale bardzo licznej części współczesnej widowni. Niezbyt żwawy i kuśtykający kardynał pokazuje zaś Kościół jako nieruchawą, zacofaną instytucję, która kompletnie nie potrafi odnieść się do wyzwań współczesności. Co innego świeckie instytucje państwa prawa, uosabiane przez amerykańskiego prawnika. Vanderbilt w innych scenach uczynił zresztą Jacksona jeszcze bardziej jankeskim, dając mu do ręki szklaneczkę burbona. W rzeczywistości jednak sędzia stronił od alkoholu.

Narcystyczny grubas

Nie ma wątpliwości, że Russel Crowe zdominował ten film. Choć z twarzy niezbyt jest podobny do szefa Luftwaffe, to bezbłędnie odtwarza jego styl bycia i cechy charakteru – ego marszałek miał wielkie jak szczyty Dolomitów, które zdobywał w młodości. Na początku filmu widzimy go, jak jedzie samochodem, by oddać się w ręce Amerykanów. Wysiada posłusznie z auta, staje obok, po czym łagodnym, ale pewnym siebie i wyniosłym tonem wskazuje na bagażnik, mówiąc: „Tam są moje bagaże". Taki był prawdziwy Herman Göring.

Przez pierwsze tygodnie po pojmaniu szykował ordery, sprzączki, sygnety i wody kolońskie przekonany, że zaraz zawiozą go na negocjacje z Eisenhowerem, który pozwoli mu rządzić pokonanymi Niemcami. Rozczarowany, że potraktowano go jak kryminalistę, nie zdusił jednak w sobie pychy. Wchodząc za pulpit dla oskarżonych, rzeczywiście pozował do zdjęć, dumnie prężąc pierś. Ten narcyz był przecież przekonany, że za kilka lat cały proces okaże się farsą, a Niemcy wystawią mu pomniki.

Scena zatrzymania marszałka jest jednak mocno udramatyzowana. Amerykanie nie byli zaskoczeni pojawianiem się samochodu Göringa na polnej drodze.

eprasa.pl fc73704fe8

Hermann Göring

FOT. NAC, ROBERT RÖHR

Wszystko zostało z nimi uzgodnione przez emisariuszy i kolumny niemieckich samochodów oraz amerykańskich jeepów spotkały się pośrodku Bawarii. Obyło się więc bez celowania w samochód z Thompsonów i ponaglających krzyków.

Pierwsze dni pobytu Göringa za kratkami Vanderbilt odtwarza dość dokładnie, na czele ze diagnozowaniem u niego uzależnienia od leków i zawału serca. Reżyser zadbał też o wierne przedstawienie sposobu komunikowania się marszałka z Kelleyem. Doskonale rozumiał on język angielski, ale psychiatra nie znał niemieckiego, więc rozmowy toczyły się w obecności Howarda Triesta, tłumacza, oficera wywiadu USA, pochodzącego z Niemiec Żyda, który niedawno dostał amerykański paszport.

Göring potrafił być ujmujący, naturalny, towarzyski i sypać jak z rękawa bon motami i żarcikami. IQ miał powyżej średniej, był bystry i świetnie orientował się w zawiłościach kierowanego przez siebie systemu. Był też postacią charyzmatyczną i gdy w filmie idzie w kierunku sali rozpraw na czele niemieckich oficjeli, motywując ich po żołniersku, to jest to ten sam Hermann, który staczał walki z brytyjskimi lotnikami w czasie pierwszej wojny światowej, maszerował z Hitlerem przez Monachium i przemawiał na zjazdach NSDAP. Marszałek, siedząc w celi, wiedział, jak się zachować, aby uniknąć kar dyscyplinarnych. Vanderbilt precyzyjnie odtworzył sytuację, w której do więzienia przyprowadzony zostaje Rudolf Hess. Nieszczęsny orędownik sojuszu w Wielką Brytanią, widząc Göringa, natychmiast staje na baczność, wykonuje salut i woła: „Sieg Heil!". Zostaje za to natychmiast ukarany przez naczelnika więzienia, ale sprytny Göring nie odpowiada na nazistowskie pozdrowienie.

Uspokoić sumienie

Filmowy Hermann broni się w ten sam sposób jak pierwowzór. Zmuszony do obejrzenia kronik z wyzwolonych obozów koncentracyjnych zwala, ile się da, na Himmlera albo podważa nagrania, twierdząc, że są zainscenizowane, bo naród niemiecki takich potworności nie byłby w stanie popełnić. Sam pomysł fizycznej eksterminacji milionów Żydów uznał za niedorzeczny. Sumienie miał czyste, jak każdy narcyz.

Marszałek Rzeszy z pewnością życzył Żydom źle, podobnie jak wielu Niemców, którzy chcieli ich „gdzieś" wypędzić. Niełatwo byłoby mu jednak udowodnić zarządzanie Holokaustem, co dało się zrobić w przypadku Franka, Himmlera, Heydricha czy Bormanna. Marszałek zrobił bardzo wiele, aby o zbrodniach wiedzieć jak najmniej. Pewnego razu, gdy brat opowiedział mu o masowej eksterminacji Żydów na wschodzie, Hermann – aby obłudnie uspokoić swoje sumienie – powiadomił o tym… SS. Ludzie Himmlera zmyślili wtedy historyjki o transportach, które przypadkowo utknęły gdzieś na mrozie, lub o krematoriach służących oczywiście do palenia ciał ofiar epidemii.

W lipcu 1941 r. Göring wydał Heydrichowi pisemne pozwolenie w sprawie „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej w Europie". Dokument ten stał się koronnym dowodem przeciw Göringowi. Często jednak zapomina się, że marszałek dodał w nim: „przez emigrację lub ewakuację". Pismo to widzimy też w filmie, gdy Göring broni się przed Jacksonem, tłumacząc mu błędy w akcie oskarżenia, niczym stary wyga nauczyciel nieopierzonemu uczniakowi. Pewność siebie marszałka zostaje zachwiana, gdy z oskarżeniem wychodzi Brytyjczyk. Zadaje on wtedy pytanie, czy gdyby Göring wcześniej wiedział o zbrodniach reżimu, to dalej popierałby Hitlera. Oskarżony złapany w pułapkę własnego ego mruczy dumnie „tak", co kończy się wyrokiem skazującym. Nie do końca tak wyglądała ostatnia kwestia szefa Luftwaffe. Przyznał wprawdzie, że wspierałby Hitlera, ale od razu dodał, że nawet on nie wiedział o zbrodniach na Żydach, oraz że prawdziwie lojalny jest ten, kto trwa przy wodzu na dobre i na złe. Prawdziwym gwoździem do trumny Göringa okazało się jednak co innego: rozkaz wymordowania wziętych do niewoli lotników.

Vanderbilt wiernie oddaje śmierć nazistów: Robert Ley powieszony na rurze od ubikacji wygląda tak jak na czarno-białych zdjęciach z celi. Podobnie naturalistyczna jest egzekucja Juliusa Streichera. Zapadnia rzeczywiście nie zadziałała prawidłowo i skazaniec zamiast umrzeć, szybko zaczął dusić się, wisząc na stryczku. Wojskowy kat, mrucząc pod nosem „oh shit", musiał wtedy dodatkowo obciążyć linę, ciągnąc ciało Streichera w dół.

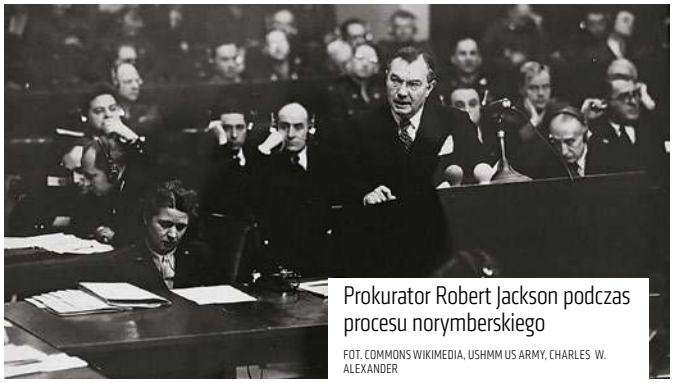

Prokurator Robert Jackson podczas procesu norymberskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, USHMM US ARMY, CHARLES W. ALEXANDER

Lew w klatce

O ile postać Hermana Göringa przedstawiona jest dość wiernie, o tyle w przypadku Kelleya jest już inaczej. W filmie widzimy, jak pod koniec procesu psychiatra, wstrząśnięty ogromem niemieckich zbrodni i zainspirowany poruszającą historią Triesta, przekazuje poufne informacje medyczne sędziemu

eprasa.pl fc73704fe8

Ława oskarżonych w Norymberdze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL AND RECORDS ARCHIVES

Kadr z filmu „Norymberga"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jacksonowi, aby pogrążyć Göringa. Jest to niedorzeczność. Kelley nie mógł tego zrobić, gdyż już w grudniu 1945 r. podjął decyzję o powrocie do USA, i nie doczekał końca procesu, który trwał jeszcze wiele miesięcy. Oficjalnie mówił, że ma już dość rozłąki z rodziną.

W rzeczywistości Kelleya bardziej obchodziły osobowości nazistów niż to, w jaki sposób zostaną ukarani. Psychiatra nie poleciał do Norymbergi, aby wyciągać informacje procesowe, ale po to, by zebrać informacje do książki, którą zamierzał napisać na temat psychiki niemieckich przywódców. Wiedział jednak, że mało ma to wspólnego z jego obowiązkami, które polegały jedynie na utrzymywaniu podsądnych w na tyle dobrym stanie, aby mogli zeznawać. Głośno oczywiście o swoim osobistym celu badań nie mówił. Tak czy inaczej, pod koniec 1945 r. miał wystarczająco dużo materiału; nic go już w Niemczech nie trzymało.

Jeszcze w pociągu jadącym przez Niemcy do Norymbergi Kelley daje się poderwać dziennikarce, której potem, gdy był już mocno wstawiony, przekazuje szczegóły swoich badań. Chytra pismaczka następnego dnia publikuje je w prasie, co sprowadza na psychiatrę kłopoty. Prawdziwy Kelley, choć nie był idealnym mężem, nie zdradzał jednak żony i w trakcie procesu zachowywał się profesjonalnie.

Kelleya łączyła dość szczególna więź z żoną Göringa, Emmy, i jego córką Eddą. Filmowa Emmy, o wiele bardziej urodziwa niż historyczna, jest wdzięczna psychiatrze za przekazanie listów od Hermanna. „Jest jak lew kręcący się po klatce" – opisuje marszałka psychiatra (takie zdanie rzeczywiście wypowiedział). Kelley słucha, jak mała Edda gra Chopina, ale będąc Amerykaninem, nie pyta, co podwładni tatusia robili z dorobkiem kulturowym kraju pochodzenia kompozytora. Kelley był tak lubiany przez rodzinę Göringa, że ten wymyślił sobie, iż Edda zostanie przez psychiatrę adoptowana, na wypadek gdyby ojca rozstrzelano…

Kłótnia o książkę

Gdy Emmy zostaje aresztowana przez Amerykanów pod zarzutem współudziału w kradzieży dzieł sztuki, Venderbilt kompletnie odjeżdża od rzeczywistości. Widzimy zatem zrozpaczonego Kelleya, który wchodzi do zrujnowanego domu Emmy i Eddy i dowiaduje się od służącego o ich losie. Na stosie gratów leży zniszczone pianino Eddy. Potem biega w deszczu wzdłuż drutów kolczastych obozu, nawołując żonę i córkę Hermanna, który traci całe zaufanie wobec psychiatry.

Żona i córka rzeczywiście zostały aresztowane, ale nikt nie dewastował ich domu i nie niszczył sprzętów. To, co można powiedzieć złego o Amerykanach, to fakt, że jeden z nich jeszcze przed procesem nakłamał Emmy, iż Göring zostanie wkrótce wypuszczony, za co naiwna żona obdarowała go drogim pierścieniem. Jankes szybko zniknął, a Göringa przewieziono do Norymbergi. Po aresztowaniu żony i córki Hermann faktycznie był wściekły, ale ogólnie na Amerykanów, a nie na Kelleya, któremu dalej się zwierzał i przekazywał listy do rodziny.

Podobnie kompletną blagą jest scena, w której Kelley i drugi psychiatra Gilbert wdają się w bójkę na korytarzu więzienia. Filmowy Gilbert jest typem kostycznym, pyszałkowatym i mało koleżeńskim. Tymczasem to Kelley okazał się dwulicowy. Po procesie dwóch psychiatrów miało bowiem wspólnie napisać książkę na temat czołowych nazistów. Kelley tymczasem czmychnął dość szybko do USA, zabierając kopie notatek Gilberta i nie zostawiając żadnego namiaru na siebie. Po czym listownie zawiadomił współpracownika, że książkę zamierza napisać sam, „ponieważ jest starszy stopniem". Na promocyjnych materiałach publikacji znalazło się nawet zdanie informujące, że Kelley był jedynym psychiatrą w Norymberdze (na skutek protestów Gilberta informacja ta została jednak usunięta). Gilbert też nie był jednak bez skazy, bo łamiąc etykę zawodową, przekazał trybunałowi informacje, które uzyskał w czasie badań.

Ostatecznie dwaj psychiatrzy wydali swoje książki osobno. Różniły się one w diagnozach dość znacząco. Kelley twierdził, że naziści nie byli psychopatami, ale zwykłymi narcyzami, podobnymi do wielu agresywnych amerykańskich biznesmenów i kongresmanów. Straszył rodaków, że nazizm mógłby zalęgnąć się również w USA; symetrycznie przestrzegał też przed komunistami. Gilbert trwał natomiast przy zdaniu, że podsądni mieli osobowości psychopatyczne. Ta druga diagnoza bardziej podobała się amerykańskiemu czytelnikowi.

Cyjanek

„Norymberga" nie pokazuje, że sam Kelley potrzebował pomocy specjalisty. Po wydaniu książki i jej dość umiarkowanym sukcesie został cenionym kryminologiem. Prowadził szkolenia dla policji i pomagał w rozpracowaniu przestępców. Wgłębianie się w zdegenerowane umysły zaczęło rujnować jego własną psychikę. Kelley nie radził sobie z ogromem zła, które oglądał. Ogarnęła go maniakalna chęć poprawy jakości szkolenia policjantów i w ogóle całego systemu wymiaru sprawiedliwości. Mimo wysokich kwalifikacji nie mógł naturalnie sprostać tak ambitnemu zadaniu. Do tego doszły chęć dorównania sławnym przodkom ze strony matki, chorobliwy perfekcjonizm i – podobnie jak u Göringa – egocentryzm.

Kelley stał się drażliwy, zaczął pić i wszczynać awantury z zupełnie błahych powodów. Psychiatra popełnił samobójstwo w taki sam sposób jak jego najsłynniejszy pacjent – zażywając cyjanek. O ile jednak Reichsmarshall otruł się sam w ponurej celi, o tyle Kelley zrobił to na oczach swojej żony i dzieci w ciepłym domku amerykańskiej „middle class" podczas jednej z domowych awantur.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Tomasz Stańczyk

14 sierpnia 1919 r. tysiące polskich dzieci maszerowały w Warszawie przed wzruszonym tym widokiem Herbertem Hooverem, szefem American Relief Administration (ARA), przyszłym prezydentem USA, wyrażając wdzięczność za ratunek przed głodem

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS, UNDERWOOD & UNDERWOOD

1919–1922 / Pomoc żywnościowa nad Wisłą

Polska misja Hoovera

Hoover do wszystkiego musiał dojść sam. Przyszedł na świat w 1874 r. w niezamożnej rodzinie kowala, prowadzącego mały sklepik. Dostał się na Uniwersytet Stanforda, gdzie rozpoczął studia geologiczno-górnicze i był jednym z pierwszych absolwentów tej słynnej dziś uczelni.

Jako pracownik w brytyjskiej firmie Berwick, Moering & Co. wyjechał do Australii, zajmując się poszukiwaniem terenów złotonośnych i awansując na stanowisko głównego inżyniera firmy w tym kraju. W 1901 r. został młodszym partnerem w Berwick, Moering & Co., ale po kilku latach rozpoczął samodzielną działalność. Jego majątek obliczano w 1910 r. na 3 mln dol. (odpowiednik 120 mln dol. obecnie).

Żywność dla Europy

Osiągnąwszy ogromny sukces, Hoover myślał o zaangażowaniu się w działalność publiczną. Wybuch pierwszej wojny światowej stworzył nadarzającą się ku temu okazję. Hoover został poproszony przez ambasadora USA w Londynie o zorganizowanie ewakuacji z Europy ok. 120 tys. amerykańskich obywateli. Wywiązał się z tego zadania doskonale, a przy tym szybko.

Wkrótce Belgowie poprosili go o zorganizowanie pomocy żywnościowej dla ich kraju. Herbert podjął wyzwanie i zorganizował Komitet Pomocy Belgii. W 1917 r. stanął na czele amerykańskiej Administracji Żywności. „Hoover stał się wkrótce człowiekiem instytucją o olbrzymich prerogatywach i zakresie władzy umożliwiającej prowadzenie i nadzorowanie całokształtu polityki żywnościowej i surowcowej Stanów Zjednoczonych" – podkreślała Halina Parafianowicz, autorka książki „Zapomniany prezydent. Biografia polityczna Herberta Clarka Hoovera". Powołanie tej agencji nastąpiło nieco ponad miesiąc po wypowiedzeniu przez USA wojny Niemcom, a jej hasłem było: „Żywność zadecyduje o zwycięstwie".

Jesienią 1918 r., gdy konflikt światowy zmierzał ku końcowi, Hoover w porozumieniu z prezydentem Woodrowem Wilsonem zaczął organizować agendy Amerykańskiej Administracji Pomocy (ARA). Na jej działalność Kongres przeznaczył 100 mln dol. (odpowiednik 1,9 mld w 2026 r.), które rozdysponowane zostały do końca czerwca 1919 r. głównie na pomoc żywnościową dla zrujnowanej wojną Europy. Objęła ona kilkanaście państw, z wyłączeniem jednak Niemiec, Austrii i Węgier oraz ich sojusznika – Bułgarii. Później ARA działała jako prywatna organizacja, dysponując kolejnymi 100 mln dol. z darowizn i zbiórek. Szacuje

eprasa.pl fc73704fe8

się, że ok. 20 proc. amerykańskiego wsparcia trafiło do Polski.

Humanitarny aspekt pomocy współgrał ze znalezieniem rynku dla amerykańskiej nadprodukcji żywności (i bawełny) oraz z dbaniem o interesy ekonomiczne i polityczne USA w Europie. Hoover, zdeklarowany antykomunista, uważał, że pomoc żywnościowa dla Europejczyków powstrzyma groźbę rozlewania się bolszewizmu.

Głód w Polsce

Jednym z państw, których mieszkańcy cierpieli głód, a jednocześnie byli zagrożeni bolszewizmem (od początku 1919 r. trwała wojna z czerwoną Rosją), była Polska. Wiele lat wcześniej Hoover poznał Ignacego Jana Paderewskiego, organizując, jako student, jego koncert. Co ciekawe, pianista miał mu pomóc finansowo podczas studiów. Odtąd Polska przestała być dla niego nieznanym miejscem. Jesienią 1919 r. po rozmowie z Paderewskim, stojącym na czele Polskiego Centralnego Komitetu Pomocy w USA, Hoover postanowił wysłać Misję Żywnościową na czele z dr. Vernonem Kelloggiem, która miała określić zakres pomocy żywnościowej dla Polski. A sytuacja, jeśli chodzi o dostęp do żywności w zrujnowanym kraju, walczącym na dodatek z bolszewikami, była właściwie tragiczna. Jak zauważał prof. Andrzej Chwalba, kryzys żywnościowy można było opanować przez zakupy w obu Amerykach i w Australii, ale państwo nie miało na ten cel wystarczających funduszy. Trwała wojna na śmierć i życie o utrzymanie niepodległości Polski, więc import był zdominowany przez zakupy broni, amunicji i innego sprzętu wojennego. W książce „1919. Pierwszy rok wolności" prof. Chwalba rysuje ponury obraz. Protesty chłopów i ziemian oznaczały konieczność wprowadzenia obowiązkowych kontyngentów żywności, a państwo nie miało siły, by je stanowczo egzekwować.

Nadal obowiązywał, jak podczas pierwszej wojny światowej, kartkowy system przydziału żywności. Zabroniono wypieku ciast, wprowadzono nawet dni bezmięsne w restauracjach. Plagą były napaści, w tym z bronią w ręku, na sklepy spożywcze, magazyny, hurtownie; napadano też na ludzi niosących zakupy lub podróżujących z nimi. „W większych i mniejszych miastach organizowano demonstracje zwane głodowymi, w których uczestniczyły głównie kobiety. Wystąpienia te trudno zliczyć. Łatwiej wymienić miejscowości, gdzie nie odnotowano manifestacji i strajków, niż te, w których miały one miejsce" – pisał prof. Chwalba.

Polskie władze nie były w stanie poradzić sobie z klęską głodu, ale – jak podkreślał Hoover – amerykańska pomoc w zakresie żywności nie pokrywała potrzeb ludności Polski. Amerykanin kładł nacisk na to, by polski rząd zaangażował się w rozwiązanie problemu.

Amerykańska misja, której przewodniczył Kellogg, przyjechała do Polski w styczniu 1919 r. Jej członkowie spotkali się z ministrem aprowizacji Antonim Ponikowskim, przyjęci zostali też przez Józefa Piłsudskiego – Naczelnika Państwa. Raport misji stwierdzał, że na ziemiach polskich głodują 4 mln ludzi, a 10 mln trzeba dostarczyć pomocy żywnościowej, by mogli efektywnie pracować. Najpilniejsze potrzeby Polski określono na 216 tys. ton mąki, 72 tys. ton fasoli, grochu i ryżu, 54 tys. ton tłuszczów, 2,4 tys. tony skondensowanego mleka i 3,8 tys. tony innych artykułów (George J. Leski, „Herbert Hoover and Poland. A Documentary History of a Friendship").

Dostawy, głównie przez port w Gdańsku, rozpoczęły się już w styczniu (wówczas też Hoover został formalnie szefem ARA) i do końca lipca 1919 r. ich wartość wyniosła 52 mln dol. Z Gdańska żywność była przewożona do miejsc dystrybucji ciężarówkami lub płynęła na barkach Wisłą w głąb kraju. Nie obyło się bez kłopotów: rządzący Gdańskiem Niemcy starali się utrudniać wwóz towarów do Polski, jednak stanowcza postawa aliantów przywołała ich do porządku.

Atak epidemii

ARA, która po zaprzestaniu finansowania jej przez rząd USA w połowie 1919 r. stała się prywatną instytucją, nie była jedyną amerykańską organizacją udzielającą pomocy Polsce. W akcję tę zaangażowały się także Amerykański Czerwony Krzyż, Young Women's Christian Association (YWCA) i Young Men's Christian Association (YMCA), Polish-American Relief Organization, a także Jewish Joint Distribution Commitee, dbający o ludność żydowską.

Amerykański Czerwony Krzyż przysłał swój personel do Polski, zakładał szpitale, laboratoria bakteriologiczne, stacje dezynfekcyjne. Obsługiwał też pociągi sanitarne ratujące rannych żołnierzy. „Jeżdżą wzdłuż frontu, udzielając pierwszej pomocy rannym i chorym żołnierzom, rozdając gorącą strawę nieszczęsnym naszym uchodźcom, których tysiące całe wciąż napływają z naszych kresów" („Ameryka Polsce. Działalność organizacji amerykańskich w Polsce", „Świat" 1921, nr 14).

Inną formą pomocy USA było włączenie się Amerykanów w zwalczanie

Dożywianie dzieci w Mińsku Mazowieckim w ramach akcji ARA FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl fc73704fe8

epidemii tyfusu plamistego. W 1919 r. odnotowano w Polsce 291 tys. zachorowań, a 18 tys. zarażonych zmarło. Procentowo śmiertelność nie była więc bardzo wysoka, lecz strach przed zarażeniem był ogromny i dezorganizował życie. „Tam, gdzie były ogniska epidemii, ludzie ulegali panice, zabierali dobytek i wynosili się poza własne wsie. Starostowie i komisarze meldowali zwierzchności, że z powodu histerii wywołanej tyfusem rośnie liczba opustoszałych wsi" (Chwalba).

Hoover pisał do sekretarza wojny USA, podkreślając, że bez amerykańskiej pomocy nie da się opanować epidemii, i uzyskał zgodę na wysłanie do Polski wojskowego personelu medycznego. Na czele Polish Typhus Mission stanął Harry L. Gilchrist z korpusu medycznego armii amerykańskiej. Niestety, jak wynika z raportu posła Hugha S. Gibsona USA w Warszawie, polscy urzędnicy nie zgodzili się na jego propozycje, by dezynfekować pociągi przejeżdżające przez główne stacje, argumentując, że zakłóciłoby to prace służby zdrowia Ministerstwa Kolei.

Latem 1920 r. przyjechało do Polski 50 przeszkolonych Amerykanek polskiego pochodzenia. Przydzielono je do pracy w ARA, gdzie zajmowały się pomocą w dokarmianiu dzieci. Zyskały powszechną sympatię; nazywano je „szarymi samarytankami".

Największą troską – zarówno polskich władz, jak i ARA – były dzieci i młodzież. Z inicjatywy Hoovera powstało Children's Relief Bureau (Biuro Pomocy Dzieciom) współpracujące z polskim Centralnym Komitetem Pomocy Dzieciom, kierowanym przez Helenę Paderewską, żonę ówczesnego premiera Ignacego Jana Paderewskiego. Obie te organizacje połączyły się następnie i utworzyły Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom. Pierwszy transport z żywnością dla najmłodszych dotarł do Polski 19 kwietnia 1919 r. i został skierowany do Brześcia nad Bugiem, gdzie otworzono pierwszą kuchnię wydającą posiłki. Do Polski napłynęły m.in. mleko skondensowane, mąka, cukier, kakao, tran, czekolada. Dwie trzecie stanowiły dary ARA, a jedna trzecia żywności była zakupiona przez polski rząd z kredytów amerykańskich i z funduszy własnych.

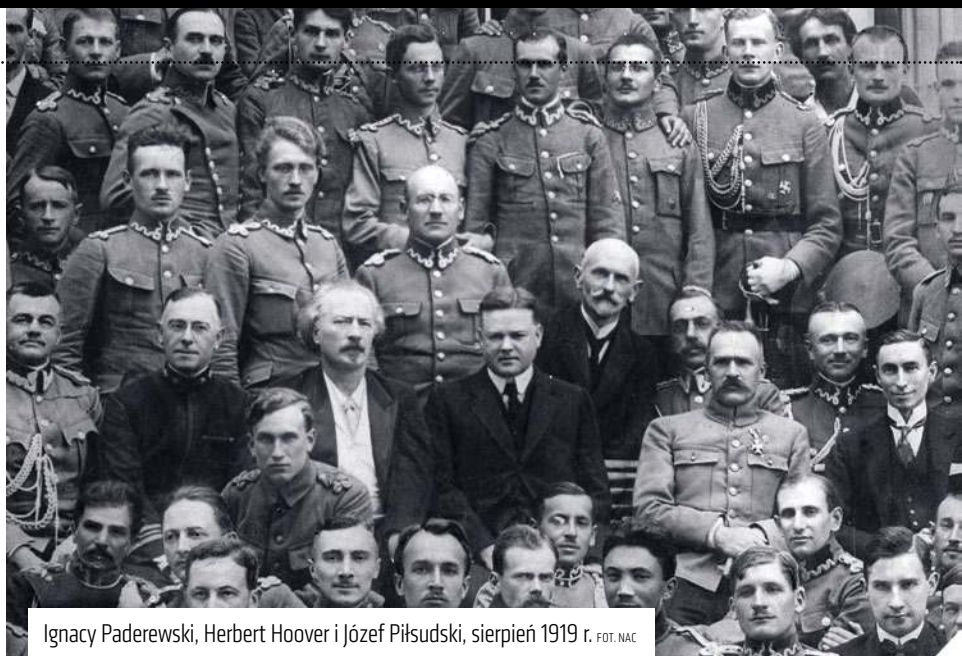
Ignacy Paderewski, Herbert Hoover i Józef Piłsudski, sierpień 1919 r. FOT. NAC

W szczytowym momencie jeden posiłek dziennie otrzymywało 1250–1400 tys. dzieci. Akcję dożywiana dzieci prowadzono w 3825 miastach i miasteczkach; 7,5 tys. kuchni i instytucji głownie zajmujących się sierotami (szacowano, że jest ich aż 750 tys.) otrzymywało przydziały żywności. W czerwcu 1921 r. dożywiano 1,3 mln dzieci i matek karmiących („Ameryka Polsce. Działalność organizacji amerykańskich w Polsce", „Świat" 192, nr 14).

W pierwszym półroczu 1920 r. dostarczono dla dzieci 7,4 mln porcji żywnościowych. Na każdą z nich składało się 62 g mąki, 22 g mleka skondensowanego, 35 g fasoli, 10 g tłuszczów, 15 g cukru, 3 g czekolady, 20 g ryżu. Taka porcja zapewniała 623 kcal – dla dwóch trzecich dzieci była to połowa dziennego wyżywienia.

Defilada dzieci

W sierpniu 1919 r. Hoover przyjechał do Polski. 14 sierpnia spotkał się z Józefem Piłsudskim – Naczelnikiem Państwa – i to właśnie tego dnia odbyła się wspomniana parada 25 tys. (inne źródła podają 35 tys.) dzieci machających amerykańskimi i polskimi flagami przed Hooverem, Piłsudskim oraz Ignacym Janem Paderewskim. Hugh S. Gibson, poseł USA w Warszawie, pisał w liście do matki: „Dzieciaki miały od ośmiu do dwunastu lat, większość z nich maszerowała jak weterani, a to, jak wrzeszczeli na widok Hoovera, było czymś godnym zobaczenia [...]. Średnio co minutę przyprowadzano jakiegoś dzieciaka albo grupę dzieciaków, żeby wręczali Hooverowi bukiet albo wiązankę kwiatów, aż cała trybuna wokół niego została nimi zasypana do sporej wysokości. Kilku małych łobuziaków wyszło na pole mieszczące się w środku toru wyścigowego i złapało królika, którego przynieśli wraz z innym przedstawicielstwem i sprezentowali go Hooverowi. W jednej z grupek był niespełna dziewięciolatek z ręką na temblaku. Wyjaśniono, że został ranny na froncie z bolszewikami. Myślę, że większość obecnych tam ludzi zrozumia-

Uczestnicy defilady dzieci w Warszawie, sierpień 1919 r. FOT. HOOVER.ORG

eprasa.pl fc73704fe8

ła znaczenie działalności Hoovera. Gdyby nie to, co robił, niewiele z tych dzieci nadal by żyło" (Hugh S. Gibson, „Amerykanin w Warszawie. Niepodległa Rzeczpospolita oczami pierwszego ambasadora Stanów Zjednoczonych").

Wiele dzieci maszerowało na bosaka. Hoover zauważył to i sprawił, że dostarczono dużą partię butów. Bezpośrednie zapoznanie się przez niego z sytuacją w Polsce spowodowało, że postanowił przedłużyć czas pomocy ARA; program wsparcia miał się skończyć jesienią 1919 r. „Krótki zarys działalności Amerykańskiego Wydziału Ratunkowego prowadzonej przy współudziale Rządu Polskiego na terenie Rzeczypospolitej", wydany w 1922 r., podawał, że od początku akcji ARA wydała 670 mln posiłków dla dzieci i przekazała 3 mln sztuk odzieży, w tym w latach 1921–1922 m.in. 945 tys. płaszczyków i 1041 tys. butów.

Wydawałoby się, że amerykańską pomoc polski rząd musiał przyjmować z wdzięcznością i robił wszystko, by ułatwić działanie amerykańskich organizacji pomocowych. Tymczasem poseł Hugh S. Gibson pisał w raporcie: „Choć można uznać to za dziwne, to nie sądzę, aby polski rząd odczuwał jakąkolwiek wdzięczność, pomimo stwierdzeń wypowiadanych od czasu do czasu w celach propagandowych [...]. Uważam, że zwykli ludzie w wielkim stopniu nas doceniają, ale moje uwagi dotyczą jedynie rządu. Przeciwnie, sądzę, że zdaniem polskiego rządu podejmowanie działalności charytatywnej stanowi przywilej. Choć brzmi to niewiarygodnie, to jest to jedyne uzasadnienie tego, że rząd nieustannie nakłada ograniczenia na tego typu działalność i określa warunki, na jakich wolno będzie ją kontynuować [...]. Miałem do czynienia z działalnością charytatywną przez wiele lat i zawsze odnosiłem wrażenie, że to darczyńca ustala warunki, a beneficjent je przyjmuje".

Gibson tłumaczył taką postawę tym, że Polacy przez lata litowania się nad sobą (w czasie zaborów) zaczęli uważać, że świat zobowiązany jest do ich utrzymywania, a jeśli dostają to, czego chcą, to uważają, że to się im należy, i nie są winni nikomu żadnych podziękowań.

Hoover zdawał sobie sprawę, że pomoc dla Polski, nie tylko zresztą żywnościowa, ma ogromne znaczenie w skutecznym

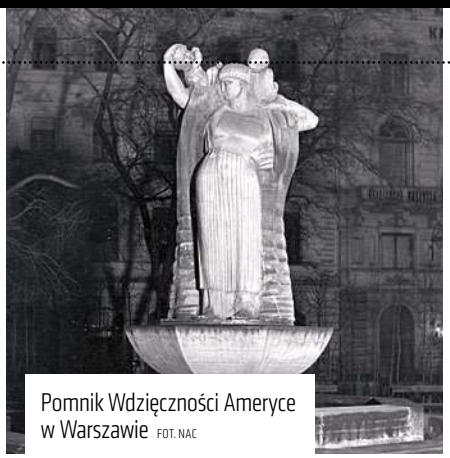

Pomnik Wdzięczności Ameryce w Warszawie FOT. NAC

przeciwstawianiu się bolszewizmowi. W styczniu 1920 r. William Palmer Fuller, stojący na czele ARA Children Fund Mission to Poland, alarmował Hoovera, że jeśli aliancka pomoc dla Polski zawiedzie, to rząd w Warszawie będzie musiał zawrzeć pokój z bolszewikami, bo w innym przypadku po prostu przegra. Jak relacjonował, bez hojnej pomocy rząd czuje, że nie będzie zdolny skutecznie odeprzeć sowieckiej ofensywy. Kilka miesięcy później Hoover na łamach „National Review" pisał: „Polska dziś musi utrzymywać europejską linię frontu przeciw bolszewickiej inwazji. Wśród jej nieszczęścia musi utrzymywać armię pięćsettysięczną" (George L. Lerski, „Herbert Hoover and Poland"). Szef ARA mobilizował amerykańską opinię publiczną, w tym przede wszystkim Polonię, do składania się na pomoc Polsce. Uważał bowiem, że to ona powinna w największym stopniu pomagać swojej dawnej ojczyźnie.

Amerykańska pomoc, w tym głównie ze strony kierowanej przez Hoovera ARA, odegrała istotną rolę w łagodzeniu niedoborów żywnościowych i materiałowych (m.in. dostawy ciężarówek) oraz zwalczaniu tyfusu, w krytycznych latach 1919–1920, podczas wojny z Rosją bolszewicką. Jerzy L. Lerski uważał nawet, że dostarczane do Polski pod patronatem Hoovera żywność i pomoc techniczna odegrały większy wkład w zwycięstwo nad Rosją bolszewicką niż pomoc francuskiej misji wojskowej. Halina Parafianowicz zwracała natomiast uwagę, że wartość pomocy ARA była zawyżana, a – nie kwestionując ważnego humanitarnego celu – trzeba jednak zauważyć interesy ekonomiczne Stanów Zjednoczonych związane z pomocą nie tylko zresztą Polsce, lecz także innym krajom europejskim.

Prezydencka klapa

Hoovera obsypywano w Polsce zaszczytami. Amerykanin otrzymał doktoraty honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, dostał też honorowe obywatelstwo tego miasta oraz stolicy. W Warszawie, na Krakowskim Przedmieściu, na Skwerze im. Hoovera, odsłonięto w 1922 r. Pomnik Wdzięczności Ameryce autorstwa Xawerego Dunikowskiego. Zbudowany z nietrwałego piaskowca zaczął się po kilku latach rozpadać, więc został zlikwidowany. Kilka lat temu pojawiła się inicjatywa odbudowania pomnika, jednak nic o niej dalej nie wiadomo. Być może zamiast Pomnika Wdzięczności Ameryce powinien stanąć w jego przedwojennym miejscu pomnik szefa ARA.

Po zakończeniu pracy w tej organizacji Hoover, na fali wielkiego uznania i popularności, które zdobył, organizując pomoc dla Europy, zaangażował się w politykę. Został sekretarzem handlu i wybitnie zasłużył się na tym stanowisku, co z kolei otworzyło mu drogę do ubiegania się o urząd prezydenta.

Zapisał się zdecydowanymi posunięciami protekcjonistycznymi (cła) i antyimigracyjnymi i zyskał wielką popularność przychodząc z pomocą poszkodowanym w wielkiej powodzi na Missisipi w 1927 roku. Rok później został prezydentem. Powszechnie uważa się, że zlekceważył skalę wielkiego kryzysu i prowadził błędną politykę. Przez długi czas nie godził się na pomoc rządową, uważając, że podważy ona zdolność obywateli do radzenia sobie z trudną sytuacją i osłabi ich ducha przedsiębiorczości, nie zamierzał uruchomić programu robót publicznych. W rezultacie poniósł w wyborach 1932 r. druzgocącą porażkę i jest wspominany jako jeden z najgorszych prezydentów Stanów Zjednoczonych. Polacy jednak mają za co być mu wdzięczni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Śmierć Masława. Obraz K. Górskiego

FOT. ZAKŁADY GRAFICZNE W. KULERSKIEGO W GRUDZIĄDZU

XI w. / Polska w chaosie

Odnowiciel kontra Masław

Leszek Lubicki

Całkiem możliwe, że gdyby Kazimierz spoczął na laurach na wygodnym cesarskim dworze i nie zdecydował się wrócić do kraju ogarniętego chaosem, historia Polski mogłaby się skończyć ok. 1040 r.

Po nagłej śmierci Mieszka II (w 44. roku życia) władzę w Polsce obejmuje jego jedyny syn i następca, 18-letni Kazimierz Karol, który urodził się ze związku małżeńskiego z Niemką Rychezą, pierwszą królową Polski. Rycheza pochodziła ze znakomitego rodu, była wnuczką byłego cesarza rzymskiego Ottona II i siostrzenicą jego syna, także cesarza, Ottona III. Zatem Kazimierz po kądzieli był księciem Rzeszy. Ale najważniejsze, że był jedynym żyjącym w kraju Piastowiczem, potomkiem panów przyrodzonych.

Niespodziewana śmierć przerwała mozolne odbudowywanie przez Mieszka II dziedzictwa jego ojca i dziada. Jak zauważa jeden z historyków, „Chrobry żył o kilka lat za długo, a jego syn – za krótko" (Urbański, 2005). Niech każdy we własnym zakresie pogdyba na ten temat. Jak bowiem trafnie zauważył Paweł Jasienica, „w publicystyce historycznej wprost niepodobna obejść się bez okrzyczanego »gdybania«, które jest ostatecznie jedynym sposobem budowania hipotez".

Kazimierz Mnich

Choć już pierwszy kronikarz naszych dziejów, Gall Anonim, nazwał Kazimierza „odnowicielem Polski", to jednak jeszcze w XIX-wiecznych opracowaniach jest on nazywany Kazimierzem Mnichem – ten przydomek przylgnął do niego na całe stulecia. Wielu historyków uważało bowiem, że został on przeznaczony przez ojca do życia zakonnego. Owszem, jako młody chłopiec został wysłany na nauki do któregoś z krakowskich klasztorów, ale zapewne dlatego, by nauczyć się czytać, pisać i poznać prawdy wiary niezbędne wówczas do sprawowania władzy. Rodzice byli starannie jak na owe czasy wykształceni, więc dobrze rozumieli potrzebę wyedukowania syna. Dlaczego więc wcześniejsi historycy wyciągnęli z tego wniosek, że następca polskiego tronu miał zostać duchownym? Nie oddaje się przecież na służbę bożą jedynego spadkobiercy...

eprasa.pl fc73704fe8

Ksawery Pillati, „Rycheza oddaje Kazimierza do klasztoru".
FOT. J.I.KRASZEWSKI „WIZERUNKI KRÓLÓW I KSIĄŻĄT POLSKICH"

Posłuchajmy zatem, co mieli do powiedzenia dwaj wybitni krakowscy historycy, pisząc pod koniec XIX stulecia teksty objaśniające do rysunków Jana Matejki ukazujących portrety polskich władców: „Małym chłopięciem, w dziesiątym roku życia, oddano go do klasztoru, było to niebawem po koronacji Mieszka, w samych początkach jego panowania, w r. 1026. Mieszko miał bowiem starszego syna Bolesława z dawniejszych jakiś związków, prawych czy nieprawych, które zerwać musiał w r. 1013 dla świętego małżeństwa z wnuczką cesarską. Bolesławowi zatem przeznaczając koronę, potomka krwi cesarskiej zamknął zawczasu w murach klasztornych".

Dalej uczeni odnoszą się do przydomka Kazimierza. „Zaszczytny przydomek »Odnowiciela« słusznie mu się należy; następne już pokolenia uczciły nim Kazimierza, potomne jednak czasy wspominały go jako »Mnicha«" (Smolka, Sokołowski, 1893). Nad Bolesławem tzw. Zapomnianym rozwodzono się wielokrotnie. Niemniej legenda o nim powstała na kanwie zamknięcia w klasztorze Kazimierza. Skoro go tam oddano, to musiał istnieć starszy syn. Nic o nim nie wspomina Gall Anonim, natomiast zapis taki znalazł się w późniejszej „Kronice wielkopolskiej". To ów Bolesław miał po Mieszku II objąć rządy, ale ponieważ odznaczał się wielkim okrucieństwem, został zamordowany. Obecnie prawie wszyscy znawcy przedmiotu odrzucają jego historyczność.

Wygnaniec

Kazimierz po upadku władzy Mieszka II i jego ucieczce do Czech (w 1031 r.) także opuszcza wraz z matką Polskę, na żądanie Bezpryma wywożąc insygnia koronacyjne. Rycheza już nigdy tu nie wróci, ale za zgodą cesarza do końca swoich dni będzie miała prawo tytułować się królową. Mieszko II po zabiciu Bezpryma wraca do Polski, jednak pod naciskiem cesarza musi zrzec się tytułu królewskiego. Podejmuje próbę ponownego zjednoczenia Polski, ale szybko umiera i dzieła swego nie jest w stanie ukończyć. Kazimierz jest już wtedy przy ojcu. Jako jedyny żyjący Piastowicz (rodzony brat Mieszka II Otton także znika w nieznanych okolicznościach) obejmuje tron, choć bez korony królewskiej; nie zgadza się na to cesarz, jak również miejscowi możni.

Ojciec pozostawia Kazimierzowi Polskę dużo mniejszą i słabszą od tej, którą sam odziedziczył po ojcu – Bolesławie Chrobrym. Nie ma już pod swoją władzą zajętych w 1031 r. przez Konrada II Milska i Łużyc, których Mieszko II musiał się zrzec, jak również Grodów Czerwieńskich, które w tym samym czasie zajął książę ruski Jarosław Mądry.

Do dziś mamy jednak problem z wyjaśnieniem tego, co tak naprawdę działo się wtedy w Polsce, ponieważ – jak podkreśla Jerzy Wyrozumski – „okres od śmierci Mieszka II w 1034 r. w zasadzie aż do 1041 r. to źródłowa czarna dziura – mgławica, niewiadoma. O tym, kto wówczas rządził krajem, badacze wypowiadali się bardzo różnie" („Władcy", 2018).

Przyjmuje się, że początkowo Kazimierz rządził przy wsparciu możnowładztwa, ale w niedługim czasie, jak to ujął Gall Anonim, „niegodziwcy z obawy, by nie mścił się za krzywdy matki, powstali przeciw niemu i zmusili go do udania się na Węgry. W owym zaś czasie rządził Węgrami św. Stefan […]. Z Czechami, najzawziętszymi nieprzyjaciółmi Polaków, utrzymywał przyjaźń i pokój, toteż jak długo żył, ze względu na nich nie puścił [Kazimierza] na wolność".

Kościół i klasztor Benedyktynów w Tyńcu
FOT. LESZEK LUBICKI

Po śmierci Stefana jego następca godzi się, aby książę wyjechał do Niemiec. Dał mu nawet asystę honorową w postaci 100 rycerzy. To był jedyny właściwy kierunek. Musimy pamiętać, że Rycheza była blisko spokrewniona z dworem cesarskim. Kazimierz na drugie imię otrzymał Karol, na cześć wielkiego cesarza. Jak zauważają historycy, w chwili urodzin było mu bliżej do dziedziczenia tronu po wygasłej po mieczu dynastii Ottonów niż panującemu cesarzowi Konradowi. Kazimierz był po kądzieli potomkiem wielkich cesarzy. Rycheza nie ustawała w tym czasie na dworze cesarskim w dążeniach, aby pomóc synowi odbudować dynastię piastowską. Dzięki kontaktom matki Kazimierz został wyposażony przez cesarstwo w 500 zbrojnych rycerzy. Zapewne byli to w dużej części wojowie polscy, węgierscy, a także niemieccy najemnicy.

Kazimierz mógł w komforcie żyć na dworze cesarskim, jednak podjął decyzję, by wracać do ojczyzny. Piastowicz „tego kluczowego wyboru dokonał i zasłużył na miano Odnowiciela. Bez niego, tak jak wcześniej bez Mieszka I i Bolesława Chrobrego, Polski by nie było. Chyba o żadnym innym później władcy tego nie można będzie powiedzieć z równym przekonaniem" (Nowak, 2014). Wsiada więc książę na konia i rusza do Polski, by odbudować prestiż monarchii piastowskiej.

Wielki powrót

Po wygnaniu Kazimierza w Polsce nikt nie rządzi. Panuje całkowity rozgardiasz. Po najeździe czeskiego księcia Brzetysława, przyłączeniu Śląska do jego władztwa, złupieniu doszczętnie Wielkopolski, buncie ludowym zwanym także reakcją pogańską Królestwo Polskie praktycznie przestaje istnieć.

Choć nie do końca cały kraj upada. Jedna z polskich prowincji – Mazowsze – miała się wówczas całkiem dobrze. Po wkroczeniu Kazimierza nic nie słychać, aby owych 500 zbrojnych z kimkolwiek

eprasa.pl fc73704fe8

Kazimierz Odnowiciel i Rycheza. Rysunki Jana Matejki

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

i gdziekolwiek w ogóle walczyło. Mieszkańcy Polski wszystkich stanów mieli dość władzy „poronionych książąt", którzy podnieśli łby pod nieobecność jedynego legalnego piastowskiego spadkobiercy tronu.

„Najazd Brzetysława ukazał słabość lokalnych ośrodków władzy i ich niezdolność do stawienia oporu większemu przeciwnikowi z zewnątrz. Jedynym wyjątkiem okazał się Miecław. Brzetysław, choć zapewne słyszał o zasobności nietkniętego wojną wewnętrzną Mazowsza, zdecydował się nie tracić sił na rozprawę z tamtejszym naczelnikiem" (Rosik, 2001). Ów naczelnik – Masław/Miecław – przyjął tak wielu uciekających z zawieruchy wojennej, że już nie było ich gdzie pomieścić. Wincenty Kadłubek tak to opisywał: „Kazimierz więc przywrócony ojczyźnie [...], wydziera ojczyznę z rąk wrogów, usuwa zewsząd samozwańcze władze, dookoła z poszczególnych prowincji wypędza niegodnych książąt i przywraca należne posłuszeństwo. Chociaż z wielką radością zbiegał się na jego skinienie, choć wszyscy uwielbiali jego majestat, sama [jedna] prowincja Mazowszan nie tylko jemu nie sprzyjała, lecz zgoła z wielką zawziętością wydała mu wojnę. [Prowincję] tę zajął był pewien wiedziony żądzą panowania [człowiek] imieniem Masław, z podłego rodu służebnego, z dziada chłopa, on [sam] zaś był mężem i pełnym swady i bitnym". Ów Masław (Miecław) był w czasach rządów Mieszka II cześnikiem na jego dworze, a więc ważną personą.

Co ciekawe, upadek władzy centralnej w Królestwie Polskim bardzo nie pasował naszym sąsiadom. I to zarówno tym z zachodu, jak i ze wschodu, którzy notabene wcześniej sami przyczynili się do tego zamieszania, osadzając na tronie Bezpryma. To, co się teraz działo, było zagrożeniem również dla nich – woleli mieć za sąsiada kraj w miarę stabilny. Warto tu przedstawić dłuższą, ale wnikliwą myśl Pawła Jasienicy z jego słynnej „Polski Piastów": „Państwo polskie istniejące od paruset lat co najmniej musiało się już stać ważnym czynnikiem równowagi politycznej, skoro w odbudowywaniu go dopomogły mocarstwa ościenne – Niemcy i Ruś. Widocznie ład, mozolnie budowany od czasów Ziemowita [pradziad Mieszka I – przyp. red.], stanowił dużą wartość natury międzynarodowej, chaos natomiast, jaki po Mieszku II zapanował między Bugiem a Odrą, zagrażał także interesom sąsiadów. Silna władza w ręku gnieźnieńskiego księcia czy króla mogła być niebezpieczna dla tych lub owych pogranicznych prowincji Niemiec i Rusi. Zagłada jego państwa wywoływała stan anarchii. Okazało się, że porządek i spokój w tych stronach mogą utrzymać tylko sami Polacy i nikt inny tego za nich zrobić nie potrafi. Polska była po prostu potrzebna Europie jako czynnik równowagi, co musiały rozumieć wybitne umysły polityczne. Kazimierza Odnowiciela zdecydowanie poparł Henryk III, uważany za największego z cesarzy niemieckich. Od wschodu dostarczył mu pomocy Jarosław, nie bez przyczyny pewnie zwany przez historyków ruskich Jarosławem Mądrym".

Wojciech Gerson, „Kazimierz Odnowiciel wracający do Polski"

FOT. MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

Sojusz

Nowego niemieckiego króla Henryka III zaniepokoiły wieści „o reakcji pogańskiej w Polsce i zniszczeniu tamtejszej organizacji kościelnej: osobiście bardzo pobożny Henryk mógł się obawiać skutków rozszerzenia się powstania pogańskiego na sąsiednie tereny słowiańskie, znajdujące się pod władzą niemieckich margrabiów" (Zientara, „Poczet", 1999).

Jarosław Mądry był wówczas skonfliktowany z Masławem, który był dla niego najgroźniejszym wrogiem na jego zachodniej granicy, ponieważ zbratał się z Prusami, Jaćwingami i Litwinami. Łatwo było zatem pozyskać Rusina jako sprzymierzeńca, mimo że wcześniej dziad Kazimierza pobił go okrutnie w 1018 r. i zajął Kijów. Piastowicz zaraz po powrocie do kraju, wobec całkowitego zniszczenia głównych miast Wielkopolski, Gniezna i Poznania, według tradycji zapisanej przez Anonima, „rozpoczął odzyskiwanie swego państwa od pewnego grodu. Kronikarz nie nazwał go, ale można się domyślać, że chodziło tu o miasto młodości Kazimierza, czyli Kraków, w którym najazd czeski nie poczynił takich spustoszeń jak w Wielkopolsce" (Szczur, 2008).

Można już było zatem zająć się odzyskiwaniem Mazowsza, a także – co wówczas było niezwykle ważne – odbudować polską organizację kościelną. Kazimierz ufundował m.in. słynny klasztor w Tyńcu pod Krakowem.

Wspomniani wcześniej uciekinierzy na Mazowsze przywieźli ze sobą wielkie bogactwa. To tylko umacniało władzę Masława. Kazimierz zdawał sobie z tego sprawę i gdy już „uprzątnął jako tako swoje dziedzictwo, upomniał się o swe prawa do Mazowsza, jak i do głowy Masława, buntowniczego sługi swego ojca" (Kętrzyński, 2010). Można przypuszczać, że Masław miał w planach objęcie władzy w całej Polsce i stworzenie własnej dynastii. W takim przypadku być może

eprasa.pl fc73704fe8

władza centralna okrojonej terytorialnie Polski (bez Śląska i bodaj Wielkopolski, a może i Małopolski) znajdowałaby się w Płocku, z panującą dynastią Masławiczów/Miecławowiczów.

Kazimierz musiał szukać właściwego sojuszu. Niemcy nam już nie zagrażali, mieli swoje własne kłopoty z coraz mocniejszymi Węgrami, a Henryk III zaprzątał sobie głowę podróżą do Rzymu i koronacją cesarską. Dlatego trzeba było spojrzeć na wschód. Kazimierz, będąc wrogiem Masława, stawał się sojusznikiem Jarosława. Sojusz obydwu władców przypieczętowano podwójnym małżeństwem. Siostra Kazimierza Gertruda wyszła za mąż za Izjasława, syna wielkiego księcia, a sam Kazimierz wcześniej poślubił Dobroniegę, siostrę Jarosława. Z tej okazji polski książę uwolnił 800 jeńców, których w 1018 r. wziął do niewoli Chrobry. Księżniczka natomiast wniosła okazały posag, który pomógł w odbudowie kraju. Sojusz ten „przesądził los państwa Miecława. Mimo to pierwsza wyprawa sojuszników na Mazowsze z 1041 r. nie przyniosła jeszcze żadnych rozstrzygnięć. Przełom nastąpił w roku 1047" (Rosik, 2001).

Oddajmy teraz głos badaczowi dziejów państwa Miecława. Decydującą wyprawę z roku 1047 „znamy z dwóch niezależnych od siebie źródeł: Galla oraz ruskiego przekazu latopisarskiego, przy czym każde z nich przedstawia odmiennie jej obraz. Według Galla zwycięstwo w bitwie odniósł Kazimierz, rozprawiwszy się kolejno z Mazowszanami i Pomorzanami, do połączenia których udało mu się nie dopuścić. O jakiejkolwiek pomocy obcej kronikarz nic nie wspomina [...]. Trudną do przyjęcia sytuację wyjaśnia dopiero przekaz latopisów, przypisujących ostateczne zwycięstwo nad Miecławem wyprawie ruskiej, która zdobyła Mazowsze dla Kazimierza. Na czele wyprawy stał sam książę kijowski Jarosław Mądry. Relacja latopisów potwierdza wiarygodność przekazu Galla, z tym zastrzeżeniem, że brak w nim wzmianki o pomocy ruskiej. W świetle porównania obu źródeł główną zasługę zwycięstwa należy przypisać Rusinom, a słabość liczebna wojsk Kazimierza sprawdza się w zupełności. O losach wojny domowej w Polsce zadecydował więc udział w niej Rusi" (Bieniak, 2012). Ale udział polskiego księcia w tej bitwie wydaje się bezsprzeczny.

Jak pisał Gall: „Sam też Kazimierz, osobiście siekąc mieczem, niezmiernie się utrudził, ramiona, całą pierś i twarz ubroczywszy rozlaną krwią, i tak zapamiętale ścigał sam jeden uciekających wrogów, że byłby musiał zginąć, nie znajdując pomocy ze strony swoich; pewien wszakże prosty żołnierz, choć nie ze szlachetnego rodu, szlachetnie pospieszył mu z pomocą, gdy już miał zginąć, co następnie Kazimierz hojnie mu odpłacił, bo i miasto mu nadał, i co do godności wyniósł go między najdostojniejsze rycerstwo".

Kazimierz Odnowiciel. Rysunek Ksawerego Pillatiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

Koniec buntownika

Podczas tych walk uzurpator Masław zginął. Mamy także inną wersję jego końca, którą pozostawił nam mistrz Wincenty. Posłuchajmy: „Ów zaś dumny książę ucieka do Getów [Prusów], gdzie go wynoszą na wyższy stopień godności. Albowiem Geci, poniósłszy dotkliwe straty w swoich zabitych, wszyscy na niego zrzucają winę, na nim mszcząc się za śmierć wszystkich: po wielu dopiero mękach wieszają go na bardzo wysokiej szubienicy i mówią: »W górę dążyłeś, góry się trzymaj« – po to, aby nawet umierającemu nie brakowało szczytu upragnionej wysokości".

Masław. Rysunek z książki Józefa Ignacego Krasickiego „Masław" FOT. DOMENA PUBLICZNA

Mazowsze wróciło pod władzę Kazimierza. Ale jak to w życiu bywa, nie ma niczego za darmo. „Z wyprawy na Miecława musiał też odnieść korzyść sojusznik Kazimierza, Jarosław kijowski. Zażądał on dla siebie ziem leżących na zachód od Bugu, zwanych później Podlasiem. Ziemie te wchodziły w skład państwa przodków Kazimierza, teraz z nich zrezygnował, aby móc odzyskać ważniejsze części swego dziedzictwa" (Barański, 2005).

Niektórzy znawcy średniowiecza twierdzą, że gdyby nie ten powrót księcia, historia Polski mogłaby skończyć się ok. roku 1040. Można nawet stwierdzić, że nie był on odnowicielem, ponieważ nie miał co odnawiać. Praktycznie wszystko musiał tworzyć od początku. Po prawie 20 latach rządów pozostawił po sobie tak mocne fundamenty „drugiej dynastii piastowskiej", że jego syn Bolesław II Szczodry Śmiały mógł za lat kilkanaście przywdziać królewską koronę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce",*** *Warszawa 2005; Bieniak J.,* ***„Państwo Miecława",*** *Warszawa 2012; Garlicki A. (red.),* ***„Poczet królów i książąt polskich",*** *Warszawa 1991; Jasienica P.,* ***„Myśli o dawnej Polsce",*** *Warszawa 1990; Kętrzyński S.,* ***„Kazimierz Odnowiciel",*** *Kraków 2010; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski",*** *Warszawa 2018; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", t. 1,*** *Kraków 2014; Rosik S.,* ***„Kazimierz Odnowiciel i jego czasy",*** *Wrocław 2001; Smolka S., Sokołowski A.,* ***„Królowie i książęta",*** *Wiedeń 1893; Szczur S.,* ***„Historia Polski. Średniowiecze",*** *Kraków 2008; Urbański M.,* ***„Poczet królów i książąt polskich",*** *Warszawa 2005.*

eprasa.pl fc73704fe8

Prawdziwe śmieciowe jedzenie w Wenezueli, 2017 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VOICE OF AMERICA

Wenezuela / Ćwierć wieku chavizmu

Zgniłe owoce „socjalizmu XXI w."

Piotr Włoczyk

Pojmanie Nicolása Maduro i wywiezienie go do USA najprawdopodobniej kończy epokę chavizmu – Amerykanie zapowiadają, że będą popychali Wenezuelę w innym, bardziej korzystnym dla siebie kierunku. Jeżeli tylko nie dojdzie w tym kraju do wojny domowej, to sytuacja Wenezuelczyków raczej na pewno ulegnie poprawie, bo gorzej już być nie może

Obrazek pierwszy: wchodzę na teren bazy wojskowej w centrum Caracas i nikt mnie o nic nie pyta, nie sprawdza dokumentów, nie przeszukuje. Obok budki ze strażnikami przeprowadza mnie znajomy, który jest kapitanem w armii. „Skoro to znajomy kapitana, to nie ma problemu" – zdaje się, że na takiej zasadzie wchodzę na teren bazy. Żołnierze, których spotykam po drodze, żartują, śmieją się, docinają sobie – jak to Latynosi. Cały czas nie jestem w stanie uwierzyć, że mogę się tak po prostu kręcić po obiekcie wojskowym.

To był mój ostatni dzień w Wenezueli, więc po południu musiałem się jakoś dostać na stołeczne Aeropuerto Internacional de Maiquetía Simón Bolívar. Znajomy kapitan stwierdził, że lepiej nie brać taksówek – nigdy nie wiadomo, czy kierowca nie jest dogadany z bandytami czekającymi w jakimś zaułku. I najlepiej będzie, jeżeli podwiezie mnie na lotnisko… autem wojskowym. Widać bardzo chciał, żeby kolega z Europy w jednym kawałku dotarł do samolotu – Caracas to w końcu jedno z najbardziej niebezpiecznych miast na świecie. Nigdy wcześniej ani później nie jechałem wojskową „taksówką".

Przypomniałem sobie o tej wizycie w bazie wojskowej, kiedy usłyszałem o nocnym rajdzie Delta Force w Caracas. Nic dziwnego, że Maduro otaczał się kubańskimi komandosami, którzy dbali o jego bezpieczeństwo. Jak widać, skorumpowanej, rozprzężonej wenezuelskiej armii nie ufał nawet jej naczelny dowódca (inna sprawa, że nawet świetnie wyszkoleni Kubańczycy, którzy mieli utrzymać u władzy kluczowego sojusznika Hawany, dostarczającego jej półdarmowe paliwo, nie byli w stanie sprostać operatorom Delta Force).

Obrazek drugi: w supermarkecie lodówki z mięsem świecą pustkami, brakuje też innych podstawowych produktów, ale w sklepie pojawił się tłum. Cel: stosy upragnionego białego produktu rozstawionego między regałami. Wreszcie jest – papier toaletowy! Ludzie rzucili się na towar, zbierając, ile się tylko da. Stałem z boku i przypatrywałem się temu z niedowierzaniem. Sceny, które znałem z opowieści dziadków i rodziców (urodziłem się w 1984 r.), teraz rozgrywały się na moich oczach. Inne były czasy, inny klimat i szerokość geograficzna, ale wspólny był system: socjalizm. Rządzący krajem Nicolás Maduro miał jednak na to gotową odpowiedź. Tak jak swój poprzednik uwielbiał pogadanki telewizyjne, podczas których tłumaczył obywatelom, skąd się biorą trudności. W kwestii niedoboru papieru toaletowego Maduro przestawił zaskakującą teorię: wraz ze wzrostem zamożności Wenezuelczyków, co jest wynikiem chavistowskiej „rewolucji boliwariańskiej", obywatele więcej – i lepiej – jedzą, w związku z tym siłą rzeczy zużywają coraz więcej papieru toaletowego…

Obrazek trzeci: polowanie na dolara. Gdy przyjechałem do Wenezueli, Hugo Chávez nie żył od dwóch miesięcy (zmarł na raka), a prezydentem został właśnie Nicolás Maduro. Mając w portfelu dolary, mogłem się poczuć niemal jak milioner. Pierwszy raz w życiu było mnie stać właściwie na wszystko. Powodem był kurs boliwara do dolara. A ściśle rzecz biorąc – nielegalny kurs. Na czarnym rynku za dolara mogłem dostać ok. 30 boliwarów, podczas gdy oficjalny kurs

eprasa.pl fc73704fe8

był ok. pięciu razy gorszy. Pod koniec życia Cháveza jego socjalistyczny eksperyment ewidentnie bankrutował, co doskonale było widać na przykładzie kursu waluty. Przy czym dolary wymieniało się nie w ciemnych zaułkach u podejrzanych typów, tylko w prywatnych sklepach – właściwie każdy mniejszy biznesmen był zachwycony, że może kupić trochę „twardej waluty", spodziewając się, że niedługo kurs będzie jeszcze wyższy.

W ten sposób, korzystając z absurdalnego rozstrzału między kursem oficjalnym a czarnorynkowym, mogłem sobie pozwolić właściwie na wszystko, nawet na kupowanie biletów lotniczych w klasie biznes (dzięki czarnorynkowej wymianie kosztowały mnie na krótkiej trasie krajowej niecałe 100 zł). Dla mnie był to pod tym względem raj. Dla Wenezuelczyków, którzy nie mieli dolarów, był to dramat – nie dość, że w sklepach brakowało niemal wszystkiego, to jeszcze importowane towary (Wenezuela była – i wciąż jest – totalnie zależna od importu) były coraz droższe wraz z upadkiem wartości waluty.

Na transparencie demonstratów napis: „Gdzie to można kupić?", Maracaibo, 2014 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARÍA ALEJANDRA MORA (SOYMAM)

Miasta w ogniu

A przecież początki rządów Cháveza były całkiem obiecujące. Dawały nadzieję wielu lewicowcom, którzy niestrudzenie czekali na pozytywny przykład kraju, który będzie w stanie dźwignąć się dzięki socjalistycznym receptom. Mimo że często słyszymy w mediach: „Wenezuela była kilka dekad temu jednym z najbogatszych państw świata", to jest to tylko półprawda. Ten zasobny w ropę kraj – Wenezuela dysponuje ok. jednej szóstej potwierdzonych światowych złóż tego surowca – długo pozwalał bogacić się wąskiej grupie ludzie. Miliony Wenezuelczyków miały z tego albo bardzo niewiele, albo wręcz nic.

Żeby zrozumieć, jaka fala wyniosła Cháveza do władzy w wyborach prezydenckich w 1998 r., trzeba wiedzieć, co się działo w Caracas i innych miastach Wenezueli dekadę wcześniej. 27 lutego 1989 r. doszło w tym kraju do tzw. El Caracazo, niezwykle burzliwej reakcji biednych Wenezuelczyków na wprowadzenie pozornie niewielkiego elementu z pakietu narzuconego Wenezueli przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Rząd Carlosa Andrésa Péreza ciął wydatki socjalne i wedle zaleceń MFW szukał oszczędności, by jak najszybciej spłacić zadłużenie. Chodziło o wzrost cen paliwa, co przełożyło się na droższe bilety komunikacji miejskiej. Tego lutowego poranka mieszkańcy przedmieść Caracas rozpoczęli bunt, który zamienił się w jedną wielką demolkę. W innych miastach doszło do podobnych scen – rabowane były sklepy i bogatsze domy, a ulice zamieniły się w pola regularnych bitew. Szacuje się, że siły porządkowe zabiły wtedy ok. 2 tys. ludzi.

Biedniejsza część wenezuelskiego społeczeństwa (czyli zdecydowana większość) czuła się porzucona przez władze. Coraz bardziej narastała frustracja. Aż zjawił się on – wojskowy, który miał proste recepty i któremu nie można było odmówić wielkiej charyzmy. Chávez obiecał wyborcom, że teraz będzie już inaczej – rząd przywróci biedniejszym godność. Państwo tak bogate w ropę naftową stać przecież, by zapewnić obywatelom lepszą edukację, opiekę zdrowotną, mieszkania i sprawić, że nikt nie będzie chodził głodny.

I rzeczywiście początkowo wyglądało na to, że sprawy idą w dobry kierunku. Chaviści zaczęli inwestować pieniądze w dzielnicy nędzy. Pojawiły się lepsze szkoły, z Kuby ściągnięto lekarzy, którzy zaczęli odwiedzać rozpadające się chatki i dbać o stan zdrowia ich mieszkańców (w drugą stronę płynął strumień dolarów i paliwa, dzięki czemu gospodarka komunistycznej Kuby nieco odżyła po upadku poprzedniego patrona – ZSRS).

W książce Artura Domosławskiego „Rewolucja nie ma końca" widzimy nostalgię za tamtymi czasami. Jedną z bohaterek rozdziału o Wenezueli jest Ewa Sapieżyńska, iberystka, która w pierwszych latach rządów Cháveza, wraz z grupą kilku Europejczyków, pomagała wenezuelskiemu rządowi. „Idealiści z Europy – pisał o nich Domosławski –

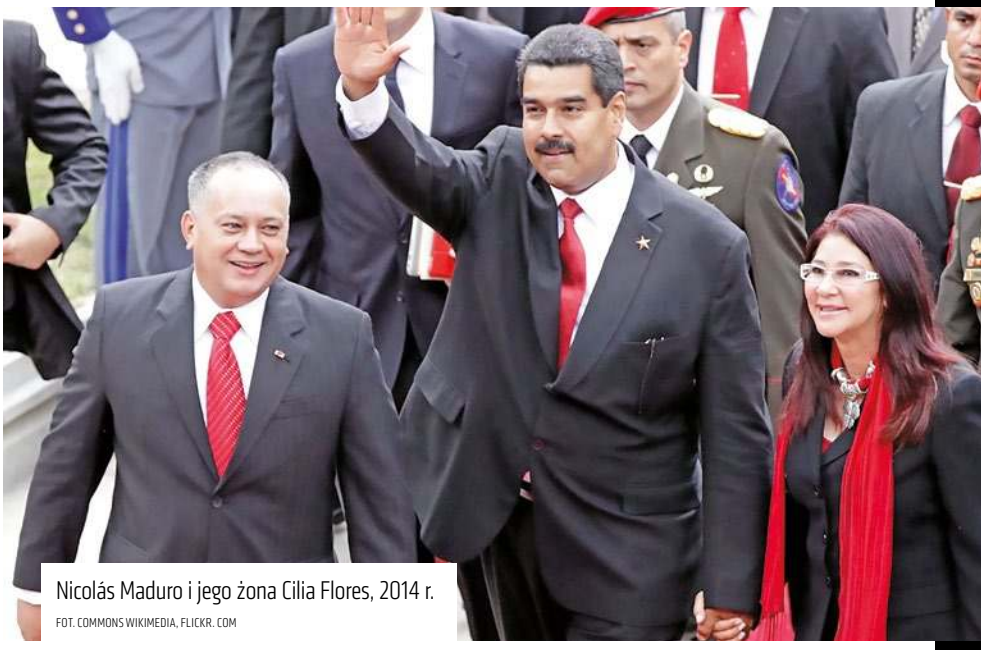
Nicolás Maduro i jego żona Cilia Flores, 2014 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FLICKR. COM

eprasa.pl fc73704fe8

Boliwary podczas demonstracji przeciw hiperinflacji, 2019 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VOICE OF AMERICA

założyli coś w rodzaju agencji public relations pracującej dla Cháveza".

„Zobaczyłam programy socjalne rządu Cháveza dla biedoty. I pomyślałam: oto rewolucjonista, który nie gada, tylko coś naprawdę robi – tłumaczyła Domosławskiemu Ewa Sapieżyńska. – Wyrzuciłam na śmietnik czarny obraz Cháveza, który tworzyła większość zachodnich mediów".

Chude krowy

Kilkanaście lat później Ewa Sapieżyńska inaczej już patrzyła na Wenezuelę goniącą za „socjalizmem XXI w." (idea promowana przez Cháveza). Jej poglądy się nie zmieniły – to wciąż zaangażowana lewicowa aktywistka. Zmieniła się natomiast chavistowska Wenezuela.

W 2020 r. Sapieżyńska napisała dla „Krytyki Politycznej" reportaż z Wenezueli, którą akurat odwiedziła. Tytuł i lead tekstu mówiły wszystko: „Czasy chudych krów w Caracas: Co trzeci Wenezuelczyk często nie ma czego włożyć do garnka, a w szpitalach brakuje nie tylko maseczek i rękawiczek, lecz także mydła, wody i prądu".

Sapieżyńska wymieniła na początku tekstu wszystko to, co można zapisać Chávezowi na plus: potrojenie wydatków socjalnych w latach 1998–2006, zasypywanie nierówności społecznych, 12-krotne zwiększenie w latach 1999–2007 liczby lekarzy pracujących w publicznej służbie zdrowia (głównie dzięki umowie z Kubą), darmowe leki (ja sam skorzystałem z darmowych szczepień przeciw kilku chorobom tropikalnym), podwojenie liczby studentów, zakrojony na szeroką skalę program walki z analfabetyzmem.

Później jednak autorka (przedstawia się w tekście: „Byłam m.in. doradczynią w MSZ, gdy Nicolás Maduro, dziś prezydent, był ministrem spraw zagranicznych") opisuje sytuację w Wenezueli z perspektywy 20 lat od początku chavizmu: „Dzisiaj co trzeci Wenezuelczyk nie ma zapewnionego bezpieczeństwa żywieniowego. Płaca minimalna to cztery dolary na miesiąc, do tego bony na jedzenie na następne cztery dolary i dodatki socjalne na tzw. kartę patrioty, które sięgają 10–11 dolarów na miesiąc. Koleżanka z miejscowego MSZ opowiada mi, że utrzymuje się z oszczędności z poprzedniej pracy w ONZ i dawnej pensji dyplomatycznej z czasów tłustych krów. Koleżanka w państwowej firmie naftowej PDVSA zarabia 40 dolarów na miesiąc. Inny znajomy w PDVSA, analityk z dyplomem Sorbony, zaledwie 25 dolarów. A ceny są tu podobne jak w Polsce. Jeśli pieniędzy nie wysyła rodzina na emigracji, to trzeba po pracy w banku, szkole czy ministerstwie wieczorem jeździć taksówką lub obsługiwać stoliki w restauracji".

Sapieżyńska dość uczciwie rozlicza się z „dziedzictwem" tak imponującego jej wcześniej chavizmu, rzucając suche fakty na temat życia w Wenezueli (a pamiętajmy, że przez kolejne pięć lat sytuacja tego kraju jeszcze się pogorszyła):

„78 procent ludności dostaje też paczkę subsydiowanej żywności od państwa – w Caracas co miesiąc, a czym dalej od stolicy, tym rzadziej. Do lekarza nadal można iść na darmo, ale brakuje leków. Nie płaci się za prąd ani wodę, ale przerwy w dostawie prądu zdarzają się co drugi dzień, a woda czasem jest, czasem jej nie ma. Napuszczanie do wanny i garnków, kiedy akurat leci z kranu, to rytuał, któremu przewodzą babcie i opiekunki. Papier toaletowy i mydło są pod kluczem nawet w eleganckim wieżowcu, gdzie moja organizacja pozarządowa prowadzi biuro".

Była polska doradczyni Maduro wprost pisze, że linia następcy Cháveza „odgięła się w stronę autorytarną", i przyznaje, że reżim potrafi zabijać demonstrantów, a służby specjalne FAES wykonują – jak stwierdza ONZ – egzekucje pozasądowe.

Uciekający medyk

Ze wszystkich danych, które można przytoczyć, by pokazać „owoce" chavizmu, najbardziej wymowna jest liczba emigrantów. W czasie budowania „socjalizmu XXI w." z Wenezueli uciekło 8 mln ludzi – to jeden z największych exodusów ostatnich lat. I to w skali całego świata. Porównywalna katastrofa dotknęła Syrię i Sudan, ale przecież w obu tych krajach powodem były bardzo brutalne wojny…

Wenezuela, która na początku rządów Cháveza wypuszczała na światowy rynek ok. 3,5 mln baryłek ropy naftowej dziennie, obecnie produkuje jej cztery razy mniej. A to oznacza, że w państwie, które przez ćwierć wieku oplecione zostało przez chavistów korupcyjną pajęczyną, pieniędzy brakuje właściwie na wszystko, nawet na utrzymanie rozpadającej się infrastruktury naftowej. Oczywiście jednym z powodów tych dramatycznych problemów gospodarczych są sankcje nałożone przez USA, ale trzeba też pamiętać, że na większą skalę były one wprowadzane przez pierwszą administrację Donalda Trumpa. Czyli już po tym, gdy chaviści zniszczyli wenezuelską gospodarkę (wydobycie ropy spadało sukcesywnie od początku rządów Cháveza i w 2017 r., gdy pojawiły się

Maria Corina Machado, liderka opozycji, podczas demonstracji w 2024 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VOICE OF AMERICA

eprasa.pl fc73704fe8

Kolejka do sklepu z subsydiowaną przez rząd żywnością, 2014 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WILFREDOR

pierwsze poważne sankcje, wynosiło zaledwie 1,5 mln baryłek dziennie).

Na koniec posłuchajmy Miguela (prosił o anonimowość), jednego z ok. 30 tys. kubańskich pracowników służby zdrowia, którzy pracowali w ramach porozumienia rządów Wenezueli i Kuby (złośliwie zostało ono okrzyknięte programem „Ropa za lekarzy").

„Teoretycznie wszystko opiera się na pracy ludzi chętnych do wyjazdu, ale to nie do końca prawda. Jeżeli cię wskażą, to musisz jechać. Na Kubie państwo może dowolnie dysponować każdym pracownikiem, ale szczególnie dotyczy to personelu medycznego. Oni naprawdę uważają nas za swoją armię" – mówił w rozmowie ze mną kilka lat temu Miguel. – Wraz z innymi kubańskimi kolegami medykami byliśmy skoszarowani i obserwowani przez naszą bezpiekę. Od razu po przyjeździe zabrali nam paszporty. Oczekuje się od nas pracy na okrągło, żeby wyrobić absurdalnie wysokie normy. To prosta matematyka – im więcej wizyt, tym więcej pieniędzy dostanie kubański rząd. Obowiązuje nas coś na kształt godziny policyjnej. Ja uciekłem, bo poznałem w Wenezueli kobietę, z którą chciałem wziąć ślub. Ta znajomość bardzo się jednak nie podobała moim przełożonym. Zakazywali mi wychodzenia poza sprawami służbowymi, bo bali się, że po ślubie nie będę chciał wrócić na Kubę. A oni są przecież rozliczani z każdego medyka. Jeżeli stracą »towar« – bo tak na nas patrzą – to sami będą mieli problemy" – opowiadał Miguel.

Po nielegalnym opuszczeniu misji medycznej kubańskie władze anulowały jego dokumenty, ale tu z pomocą przyszła mu nieprawdopodobna korupcja. Miguel po prostu kupił sobie wenezuelskie obywatelstwo. Wobec pogłębiającej się zapaści tego kraju musiał jednak wyjechać do jednego z sąsiednich państw. Mój rozmówca podkreślał też, że kubańska opieka zdrowotna ma pewien haczyk, o którym nie wszyscy wiedzą.

„Wysyłają naszych lekarzy do biednych dzielnic, co samo w sobie jest oczywiście jak najbardziej pozytywne. Biedacy mają podstawową opiekę medyczną na wyciągnięcie ręki, ale lekarze urabiają ich politycznie. Część naszych medyków faktycznie jest przekonana do socjalizmu, ale większość widzi oczywiście, że ten system to w praktyce jedno wielkie kłamstwo. Każdy musi jednak zachwalać wenezuelskie władze, bo bezpieka nad nami czuwa. Jesteśmy zwykłymi agitatorami politycznymi, ale ci ludzie ufają lekarzom. Cały kraj upadł przez socjalizm, a my mamy powtarzać, że trudności to wina USA i innych kapitalistycznych sabotażystów" – mówił Miguel.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl fc73704fe8

Średniowieczne lekarki / Zagmatwane losy

„Magistra” na ratunek

Beata Zubowicz

Kiedy wspomina się słynne kobiety średniowiecza, na myśl przychodzą przede wszystkim królowe i święte. A przecież fascynującym rozdziałem historii są losy ówczesnych lekarek i uzdrowicielek

Hildegarda z Bingen

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RUPERTSBERG CODEX OF LIBER SCIVIAS

Prawdziwy renesans przeżywa dziś św. Hildegarda z Bingen, która szczegółowo opisała 80 chorób, proponując sposoby ich leczenia. Trotula z Salerno uważana jest za pierwszą w historii świata lekarkę ginekologa, która zrewolucjonizowała poglądy na płodność, a Dorotea Bucca z Bolonii (miała kierować katedrą medycyny na tamtejszym uniwersytecie) symbolizuje uczone niewiasty. Internetowe algorytmy podsuwają te nazwiska jako przykłady słynnych kobiet, które w średniowiecznej Europie bez kompleksów konkurowały z mężczyznami. Czy rzeczywiście?

Historycy są ostrożni. Jedynie działalność Hildegardy nie budzi wątpliwości, ponieważ na jej temat zachowało się najwięcej źródeł pisanych. Trudno się zresztą dziwić, skoro niemal całe życie spędziła w klasztorze – centrum ówczesnej kultury i nauki. Informacje o pozostałych paniach są dużo bardziej rozproszone, a więc wątpliwe. W dojściu do prawdy nie pomagają ani artykuły powielane w popularnych magazynach, ani pragnienia entuzjastów tzw. herstorii, aby z pomroki dziejów za wszelką cenę wydobywać dzielne niewiasty. Tymczasem rzeczywistość jest bardziej złożona, co nie znaczy, że mniej ciekawa.

Powrót Hildegardy

Zacznijmy od najbardziej intrygującej postaci, którą bezdyskusyjnie jest bene-

eprasa.pl fc73704fe8

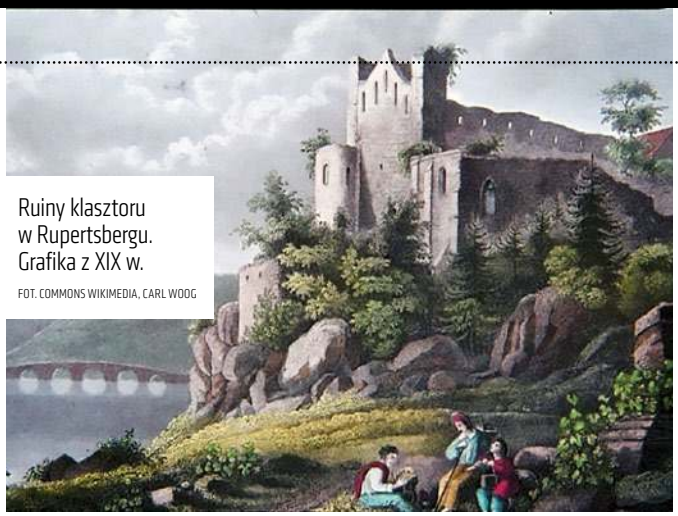

Ruiny klasztoru w Rupertsbergu. Grafika z XIX w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CARL WOOG

dyktyńska mniszka, wizjonerka, mistyczka, kompozytorka i uzdrowicielka – Hildegarda z Bingen. Po 900 latach zapomnienia święci ona ponowne triumfy. Medycyna Hildegardy – oparta na ziołach, kamieniach i zrównoważonej diecie – wydaje się idealnie skrojona pod gusty współczesnych ludzi, dbających o zdrowy tryb życia.

Ponowne zainteresowanie mniszką zaczęło się w latach 30. XX w., gdy na traktat jej autorstwa pt. „Causae et curae. O przyczynach i leczeniu chorób" trafił niemiecki lekarz Gottfried Hertzka. Doktor nauk medycznych, wykształcony na akademii w Wiedniu, postanowił zastosować wskazania Hildegardy w praktyce. Skutki przeszły jego oczekiwania i w ciągu kolejnych lat rozwijał się kult benedyktynki; po niemiecku zlaicyzowany i otwarty na wszystkich, szczególnie na miłośników ekologii. Dość powiedzieć, że to dzięki Hildegardzie na rynek wrócił np. orkisz, dawno zapomniana roślina, która do naszych czasów przetrwała bodaj tylko w klasztornych ogrodach.

– To była czysta fascynacja – tak Elżbieta Ruman, dziennikarka i propagatorka medycyny św. Hildegardy w Polsce, wspomina swoje pierwsze zetknięcie z frankońską zakonnicą. – Ale dotarło też do mnie to, że choć studiowałam teologię, to nikt nigdy się o niej nawet nie zająknął. A to była kobieta, która niczego się nie bała, i to w tamtym czasie! Przecież ona mogłaby spłonąć na stosie, gdyby nie była arystokratką i nie miała znajomości.

Fakt, swoim życiorysem „święta od ekologii", jak bywa określana w popkulturze, mogłaby obdzielić kilka osób.

Urodziła się w 1098 r. w szlacheckiej rodzinie Hildeberta i Mechthyldy. Ponieważ dziewczynka jest ich 10. dzieckiem, w wieku ośmiu lat – zgodnie z tradycją dziesięciny – zostaje oddana do klasztoru. W benedyktyńskim opactwie w Disibodenbergu trafia pod opiekę niebanalnej (zostanie błogosławioną) przeoryszy Jutty von Sponheim. Odbiera tu gruntowne wykształcenie: poznaje podstawy łaciny i fragmenty starożytnej literatury pięknej, uczy się liczyć, śpiewać, układać nuty. Zapewne lubi czytać i ma dostęp do bogatego księgozbioru – jej późniejsze prace będą wskazywać, że gruntownie poznała pisma ojców Kościoła i innych średniowiecznych autorów. Na tle rówieśniczek wyróżnia się nie tylko wybitną inteligencją, lecz także mistycznymi wizjami, które długo będzie utrzymywać w tajemnicy. Śluby zakonne składa w wieku 15 lat.

W 1136 r., po śmierci Jutty, 38-letnia Hildegarda cieszy się już tak wielkim szacunkiem, że siostry wybierają ją na swoją przełożoną. W ciągu kolejnych lat, mówiąc współczesnym językiem, Hildegarda robi zawrotną karierę zarówno zakonną, jak i naukową, a kto wie, czy sława, którą zdobywa w chrześcijańskim świecie, nie ma charakteru wręcz celebryckiego.

Musi mieć silny charakter i zdolności organizacyjne, bo samodzielnie i wbrew wszystkim podejmuje decyzję o stworzeniu nowego zgromadzenia. Jest pierwszą kobietą, która zakłada żeński klasztor i buduje dla niego siedzibę. Do tego pisze prace o historii naturalnej i lecznictwie. Komponuje też pieśni i chorały – w ostatnich dekadach XX w. jej dzieła zyskają sporą popularność i będą regularnie wykonywane na koncertach muzyki dawnej, zaskakująco nawet często, jak na kompozytorkę sprzed 900 lat.

Hildegarda koresponduje z papieżem i z wpływowym w tamtym czasie teologiem św. Bernardem z Clairvaux oraz jako jedyna kobieta dostaje od Ojca Świętego pozwolenie na pisanie prac teologicznych. W 1152 r. dostępuje nie lada zaszczytu: na spotkanie na zamku w Ingelheim zaprasza ją sam cesarz rzymski Fryderyk Barbarossa. Jakby tego było mało, jako 60-latka rusza w trasy kaznodziejskie po Niemczech (1158–1170) – rzecz wtedy niebywała. A w ciągu ostatnich dwóch lat życia wchodzi w spór z kurią w Moguncji.

I choć współczesne czasy najchętniej widziałyby w niej kogoś w rodzaju feministki czy rewolucjonistki, to nic bardziej mylnego. Hildegarda nie chce niczego burzyć, bo obecność Boga czuje w całym otaczającym ją świecie. Jeśli więc krytykuje kler za cudzołóstwo, wiarołomstwo, symonię, brak dyscypliny czy ignorancję, to robi to wyłącznie z powodu zgorszenia grzechem i z troski o Kościół.

Dożyje sędziwego wieku – umiera w 1179 r. w klasztorze Rupertsberg, mając 81 lat. Ale niechęć, którą zdążyła wzbudzić w moguncki kurialistach, będzie ją ścigać długo po śmierci. Kiedy na początku XIII w. Stolica Apostolska rozpocznie jej proces beatyfikacyjny, przysłane z Moguncji dokumenty będą tak niechlujne, że inicjatywa utknie na całe wieki. Dopiero w 2012 r. papież Benedykt XVI oficjalnie ogłosi ją świętą i – jako czwartą kobietę – doktorem Kościoła.

– Dzieło Hildegardy to opis całego stworzenia: zarówno kosmosu, planet, żywiołów, roślin, zwierząt. Tak szczegółowo opisuje właściwości elementów

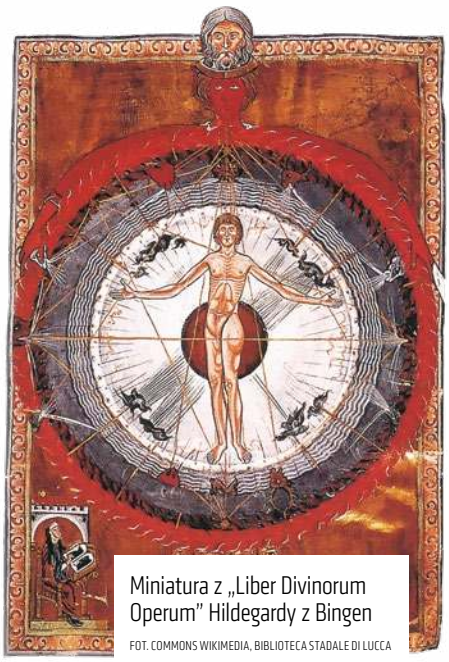

Miniatura z „Liber Divinorum Operum" Hildegardy z Bingen

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTECA STADALE DI LUCCA

eprasa.pl fc73704fe8

stworzenia, aby wyjaśnić Boży zamiar w nich zawarty – analizuje prace św. Hildegardy Elżbieta Ruman i przekonuje, że jej wiedza o ludzkim ciele wykraczała daleko poza epokę, w której żyła.

Mulieres salernitanae

Zaskakująco współcześnie brzmią także zalecenia z traktatów medycznych Trotuli z Salerno, długo uważanej za pierwszą na świecie lekarkę ginekolog. Jej wskazówki dotyczące ciąży, porodu i generalnie higieny intymnej przez kilka stuleci były fundamentem medycyny kobiet. O ile jednak życie Hildegardy jest szczegółowo opisane, o tyle w biografii Trotuli vel Troty roi się od luk i nieścisłości, choć w średniowiecznej Europie jej sława miała być wielka i wykraczać daleko poza granice Włoch.

Nie byłoby jednak Trotuli – ani legendy o niej – gdyby nie Salerno, nadmorskie miasto położone ok. 50 km na południe od Neapolu. Jak pisze Chiara Palmerini, włoska dziennikarka zajmująca się nauką, „aby zrozumieć Trotulę, musimy zacząć od Salerno, w tamtych czasach wyjątkowego miasta, w którym krzyżowały się szlaki handlowe i spotykali się ludzie oraz kultury. To w tym miejscu grecka tradycja zderzała się z wiedzą Arabów, Bizantyjczyków, Żydów, Normanów i Longobardów".

W takiej atmosferze w IX lub w X stuleciu powstaje Schola Medica Salernitana, uznawana za jeden z pierwszych uniwersytetów. To tu bodaj po raz pierwszy nauka medyczna wychodzi poza mury klasztorne. W tamtym czasie nic się nie dzieje bez kościelnego stempla, ale dzięki wybitnym postaciom epoki – papieżowi Grzegorzowi VII, opatowi zakonu benedyktynów z Monte Cassino Dezyderiuszowi oraz abp. Salerno Alfanusowi I – akademia rozkwita. Anatomię studenci poznają w praktyce, przeprowadzając sekcje zwłok, również zwierząt. Szkoła ma mieć jeszcze jedną unikalną cechę – przyjmować dziewczęta.

Trotula z Salerno. Wizerunek z przełomu wieków XII i XIII

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WELLCOME COLLECTION

Rzeczywiście, salernitańskie lekarki zdobyły sławę w Europie jako mulieres salernitanae. I to jest bodaj jedyny fakt, co do którego historycy zasadniczo się zgadzają – w średniowiecznym Salerno leczyły także kobiety. Wzmianki na ich temat można znaleźć u takich autorów jak angielski kronikarz Orderic Vitalis (ok. 1075–1142) czy francuska poetka Maria z Francji (XII w.). Do naszych czasów przetrwało też kilka imion najwybitniejszych dam: oprócz Trotuli de Ruggiero – Rebecca Guarna (XIII w.), Abella Salernitana (XIV w.), Mercuriade (XIV w.) i Costanza Calenda (XV w.). Co prawda, niektórzy będą potem bagatelizowali ich znaczenie, sprowadzając je do roli zwykłych akuszerek, pielęgniarek czy specjalistek od urody, ale wiele wskazuje na to, że były one prawdziwymi lekarkami.

Szkoła medyczna w Salerno. Miniatura z dzieła „Canon medicinae" Awicenny

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W BOLONII

Hipotezy tej nie kwestionuje nawet niezwykle sceptyczny włoski historyk średniowiecza z Uniwersytetu Bolońskiego, Tommaso Duranti. Jak tłumaczy, nie da się wykluczyć istnienia mulieres choćby dlatego, że w tamtym czasie od medyków nie wymagano formalnego wykształcenia, a zatem panie – najczęściej żony i córki lekarzy – mogły nabyć niezbędne umiejętności w codziennej praktyce. Problematyczne są za to ich dyplomy, tytuły, a nawet regularne studia, nie mówiąc już o karierze profesorskiej.

Matrona Trota

Tymczasem zgodnie z tradycją Trotula z Salerno, wezwana do pewnej cierpiącej damy, zostaje określona łacińskim tytułem „magistra" – w rodzaju żeńskim. Ma to świadczyć o tym, że jej pozycja zawodowa była porównywalna z lekarzami mężczyznami, których nazywano „magister". I że była absolwentką salernistańskiej akademii, a może nawet na niej wykładała.

Dziś przyjmuje się, że więcej w tym legendy niż prawdy. Ale żeby rozsupłać zagadkę, trzeba zacząć od biogramu.

„Magistra" miała nosić imię Trotula de Ruggiero i urodzić się w Salerno w XI bądź XII stuleciu w szlacheckiej rodzinie lombardzkiego albo normańskiego pochodzenia, studiować w szkole medycznej, wyjść za mąż za poważanego lekarza Giovanniego Plaetaria i urodzić dwóch synów – Giovanniego Młodszego i Mattea – którzy też zostali lekarzami. Jej sława dotarła do Francji, Anglii i Flandrii. Ma o niej pisać Orderic, choć – co za pech – nie wymienia jej imienia. Określa ją jako „pewną matronę bardzo mądrą". Czy na pewno chodzi zatem o Trotulę? Szacunek, którym otaczali ją pacjenci, miał być tak wielki, że gdy umarła, jej kondukt żałobny ciągnął się kilometrami.

Piękny portret, tyle że niemożliwy do udowodnienia. Co więcej, według historyków ktoś taki jak ona jednocześnie istniał i… nie istniał. Postacią autentyczną jest

eprasa.pl fc73704fe8

Trota, medyczka z Salerno, a nierzeczywistą – Trotula, która stała się mityczną figurą średniowiecznej lekarki. Trotula przejęła tożsamość Troty i tak narodziła się legenda.

Historycy podejrzewają, że przyczyną całego zamieszania stało się mylnie przypisane Trocie autorstwa traktatów medycznych – kilka dzieł różnych autorów (w tym Troty) zebrano w jedno kompendium na temat zdrowia kobiet i zatytułowano „Trotula". Ponieważ dzieło stało się popularne, narodził się mit o słynnej lekarce Trotuli.

Ale żeby jeszcze bardziej zagmatwać historię, należy dodać, że w XX w. odnaleziono traktat medyczny, który można przypisać autentycznej Trocie. To „Practica secundum Trotam", podręcznik napisany z perspektywy osoby rzeczywiście zajmującej się leczeniem chorób, nie tylko kobiecych zresztą, do tego z myślą o lekarzach mężczyznach, dla których kobiecy organizm stanowi tajemnicę.

Na podstawie tego dzieła można powiedzieć co nieco o charakterze tej damy. Jak zauważa Martina Tommasi w tekście opublikowanym we włoskiej edycji magazynu „National Geographic", autorka wydaje się osobą charyzmatyczną, pewną siebie i swojej wiedzy. Pisze w kategorycznym tonie, używając sformułowań typu: „Pomożemy im w ten sposób", „Będziemy interweniować".

Jej terapie, z dzisiejszego puntu widzenia, są jednak nierówne. Podczas gdy niektóre brzmią zaskakująco współcześnie, inne śmieszą albo budzą obrzydzenie. Lekarka potrafi promować zdrowy tryb życia, by za chwilę proponować: „Wymieszaj krowie łajno z dobrym winem i namaść się tą mikstura". Ale generalnie zalecenia pozytywnie zaskakują. Trota rozsądnie postuluje, by w czasie porodu zarówno akuszerka, jak i rodząca przestrzegały higieny osobistej. Higiena w ogóle zdaje się filarem jej praktyki. Zaleca kąpiele, kompresy, napary ziołowe lub masaże jako „delikatne terapie" na wiele dolegliwości ciążowych. Aby złagodzić bóle porodowe, nie wyklucza opiatów. A już jej poglądy na płodność i seksualność można uznać wręcz za rewolucyjne – wskazuje, że także mężczyzna może borykać się z problemem bezpłodności, co jest wyraźnie sprzeczne z ówczesnymi przekonaniami.

Lekarka i pacjent. Rysunek z manuskryptu z XV w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE BRITISH LIBRARY

Nie moralizuje, kwestia seksualności jest dla niej zwykłym problemem medycznym do rozwiązania. Trota zdaje się przy tym być ostrożną i uważną lekarką oraz – co u medyków cenione jest także dziś – wyrozumiałą dla swoich pacjentek.

Może zatem legenda o powszechnym szacunku, który ją otaczał, nie jest taka znowu nieprawdopodobna?

Problem z datami

Wielką sławą miała się też cieszyć Dorotea Bucca, która funkcjonuje jako pierwsza nauczycielka uniwersytecka w historii, kierująca na dodatek katedrą medycyny na najstarszym uniwersytecie w Europie. Sęk w tym, że niektórzy historycy (Tommaso Duranti) uważają jej dzieje za zmitologizowane, bardziej nawet niż Troty.

Ale mimo że boloński badacz mnoży wątpliwości, nie neguje samego faktu jej istnienia. Na dodatek Uniwersytet Boloński był w tamtym czasie na tyle elastycznym miejscem, że kobiety w wyjątkowych wypadkach mogły zdobywać tam wykształcenie. A poza tym jako córka profesora Dorotea mogła mieć dostęp do wiedzy, nawet nieformalny.

Ale zgodnie z faktami albo – jak kto woli – z legendą podajmy najpierw jej biogram, który – dla pogłębienia zamieszania – znajduje się w źródłach historycznych. Pierwszy raz imię „Dorotea Bucca" pojawia się w dziele „O sławnych niewiastach" („De Mulieribus Claris") Giovanniego Boccaccia, bardziej znanego jako autor „Dekameronu".

Dorotea Bucca, znana również jako Dorotea Bocchi lub Bucchi, urodziła się w Bolonii w 1360 r. w rodzinie słynnego profesora filozofii i medycyny imieniem Giovanni. Jej matką była Ghisia z Saliceto.

Profesor jest tak dumny z intelektu córki, że zachęca ją do studiowania literatury i medycyny. Studia doprowadzą ją do doktoratu z filozofii. Wkrótce potem Dorotea wygłosi publiczny wykład na uniwersytecie. Odniesie tak wielki sukces, że po śmierci ojca w 1390 r. odziedziczy po nim katedrę medycyny i filozofii. Będzie nią kierować przez ponad 40 lat i pobierać wysoką pensję w wysokości 100 lirów. Umrze w wieku ok. 80 lat, otoczona powszechnym szacunkiem.

Sęk tym, że Boccaccio żył w latach 1313–1375, natomiast Dorotea urodziła się w 1360 r. i zmarła w 1436 r. A skoro tak, to musiała mieć 15 lat, gdy umierał jej domniemany biograf. Notka o Dorotei musiała zatem zostać dodana później – stało się to prawdopodobnie w 1596 r. w wydaniu drukowanym, zredagowanym przez Francesca Serdonatiego.

Jakby tego było mało, legendę o pierwszej kobiecie profesor ugruntuje w 1606 r. malarz i grafik Pablo de Ribera, który umieści jej wizerunek w cyklu portretów przedstawiających wyjątkowe kobiety – „Le Glorie Immortali" („Nieśmiertelne sławy"). Kilkadziesiąt lat później (w latach 1680–1690) rzeźbiarz z grupy artystów skupionych wokół Casa Fibbia wykona jej terakotowe popiersie, które zostanie umieszczone w galerii sławnych bolończyków w Palazzo Felicini-Fibbia. Dziś jest wystawione w Muzeum Historii Bolonii w Palazzo Pepoli.

Czyżby mistyfikacja doskonała? Tak sądzi Duranti, według którego postać kobiety profesora stworzono po to, by przydać sławy uniwersytetowi i powiązanych z nim rodzin.

Być może badacz z Bolonii ma rację. Ale czy legenda nie mogła powstać na kanwie prawdziwej historii, skoro wiemy, że istniały medyczki z Salerno? W przeciwnym razie trzeba by uznać, że Hildegarda była jedyną słynną lekarką w średniowieczu. A to wydaje się jednak mało prawdopodobne.

Dorotea Bucca

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEO DELLA STORIA DI BOLOGNA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Henryk Mückenbrunn podczas I Zimowej Makabiady w Zakopanem, 1933 r.

FOT. NAC

XX w. / Z Tatr i Beskidów w świat

Klio na nartach

Tomasz Zbigniew Zapert

Henryk Mückenbrunn i Fedor Weinschenck. Dwaj polscy uczestnicy zimowych igrzysk olimpijskich wywodzący się z mniejszości narodowych mieli iście filmowe życiorysy

Pierwszy – rocznik 1903 – to potomek żydowskiej rodziny kupieckiej z Zakopanego. Jego ojciec Abram prowadził tam skład bławatny, czyli – używając współczesnego języka – był właścicielem magazynu i sklepu oferującego szeroki asortyment cennych tkanin, zwłaszcza jedwabnych, często barwionych. Sprowadzano je z daleka, nawet z Indii i Chin, chociaż większość towaru pochodziła z łódzkich fabryk. W interesie pomagała mu małżonka, Debora, oraz dwóch starszych synów – Jakub i Bernard. Natomiast ich siostra Salomea, najstarsza z rodzeństwa, po poślubieniu – wbrew woli rodziców – niejakiego Wiktora Streichera, notowanego za oszustwa handlowe oraz wyłudzenia pieniędzy, opuściła Zakopane z piętnem wyklętej. Zamieszkała w Grazu, gdzie wiosną 1919 r. padła ofiarą hiszpanki, odmiany grypy, której epidemia pochłonęła więcej istnień ludzkich niż wszystkie fronty pierwszej wojny światowej!

Skądinąd rodzina Mückenbrunnów trafiła do Małopolski właśnie ze Styrii. Pod koniec XVIII stulecia osiedli w Tarnowie, a w 1890 r. przenieśli się pod Tatry. Mało prawdopodobne, że skusiły ich swoją urodą. Brak jest wzmianek, że ktoś z tego klanu próbował turystyki, wspinaczki czy też raczkujących wtedy rozrywek zimowych, jak określano narciarstwo, łyżwiarstwo i saneczkarstwo (naturalnie z wyjątkiem najmłodszego syna).

Lingwista

Henryk już jako nastolatek śmigał na deskach z Nosala i Antałówki u boku góralskich kolegów. Odgłosy Wielkiej Wojny ledwo do nich dochodziły. Europejski konflikt rzutował jednak na rodzinny biznes. Dwaj starsi bracia Henryka trafili w szeregi armii c.k. monarchii i polegli w bitwie nad Piawą, a najmłodszy syn musiał zrezygnować z nauki gimnazjalnej. Rodziców nie było już stać na czesne. Kształcił się zatem samodzielnie, wykazując olbrzymi talent lingwistyczny. Z czasem władał już niemieckim, francuskim, włoskim, polskim oraz jidysz – choć w domu rodzinnym używano go z rzadka (rodzina była spolszczona i porzuciła judaizm na rzecz agnostycyzmu).

Latem 1920 r. Henryk wstąpił na ochotnika do wojska, by bronić odrodzonej Rzeczypospolitej przed bolszewikami. Prochu powąchał jednak tylko w koszarach, gdyż uznano, że będąc niepełnoletnim, może zostać wykorzystany co najwyżej w służbie pomocniczej – czyścił wojskową odzież, zamiatał plac apelowy, czasami odkurzał zbrojownię.

Trzy lata później eksternistycznie uzyskał świadectwo maturalne. W tamtym okresie zasilił też sekcję narciarską Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Akces pozwolił mu zgłębiać tajniki dyscyplin zimowych, umożliwiając zaangażowanie w turystykę wysokogórską. W trakcie letnich miesięcy zdobywał tatrzańskie wierzchołki, a zimą każdą wolną chwilę wykorzystywał na narciarskie eskapady. Zyskał renomę dzięki imponującym zjazdom, m.in. ze Skupniowego Upłazu, Polskiego Grzebienia i przełęczy Karb na Czarny Staw Gąsienicowy.

Osiągnięcia te sprawiły, że dołączył do reprezentacji Polski na Tydzień Sportów Zimowych w Chamonix A.D. 1924, któremu – post factum! – Międzynarodowy Komitet Olimpijski nadał miano pierwszych igrzysk zimowych. Mückenbrunna zgłoszono do konkursu skoków. Niestety, treningom we Francji towarzyszyła odwilż. Marznące opady zamieniły

eprasa.pl fc73704fe8

lądowisko w lodowisko. Skoczkom trudno było utrzymać równowagę, wielu się potłukło, a nasz zawodnik złamał nogę. Co podobno sprawiło, że na witrynie zakopiańskiego magazynu sportowego, współwłasności rodziny poszkodowanego, pojawił się slogan reklamowy: „Narciarze nie łamcie nóg, łamcie narty!".

„Pierwsze koty za płoty. Udział naszej drużyny narodowej w zimowych igrzyskach skwitować można sławetnym stwierdzeniem markiza Pierre'a de Coubertina: »Najważniejszy jest udział«. Niemniej z kronikarskiego obowiązku zmuszony jestem dodać, iż «biało-czerwoni» na arenach sportowych czołowego kurortu alpejskiego Francji przesadnie nie rzucali się w oczy. I to mówiąc bardzo oględnie" – wspominał dziennikarz Kazimierz Smogorzewski, którego – z racji spóźnienia polskiej ekipy na ceremonię otwarcie zawodów – mianowano jej… chorążym (sic!). Dekadę później zasłynął wywiadem z Adolfem Hitlerem, jedynym w dziejach polskich mediów.

W następnych igrzyskach gospodarzem było szwajcarskie uzdrowisko Sankt Moritz. Mückenbrunn miał tam wystąpić w aż trzech konkurencjach – skokach, biegach oraz kombinacji norweskiej. Ale na starcie się nie pojawił. Winna była… armia. Wojsko Polskie upominało się o niego od kilku lat, lecz wykręcał się studiami handlowymi (w warszawskiej Szkole Głównej Handlowej spędził jedynie semestr, nie zaliczając sesji egzaminacyjnej), a potem kontuzją i związaną z nią rehabilitacją. Jesienią 1927 r. dostał kolejną kartę powołania. Tym razem nie znalazł chyba wymówki, bo zamiast na poligon wyjechał do Francji. I w ten sposób w wieku 24 lat zakończył karierę sportową, która niewątpliwie obfitowała w sukcesy. Wymieńmy te najważniejsze: krajowe mistrzostwa w biegu na 18 km, kombinacji klasycznej, skokach narciarskich, sztafecie, biegu z przeszkodami (!) i tytuł międzynarodowego czempiona Czechosłowacji w dwuboju klasycznym.

Francja–elegancja

Mückenbrunn zamieszkał w Chamonix. Zajął się tam uczeniem narciarstwa, alpinizmu, a zwłaszcza działalnością

SPORT
DWUTYGODNIK ILUSTROWANY.
LWÓW — WARSZAWA — KRAKÓW — POZNAŃ — WILNO — ŁÓDŹ — KATOWICE — LUBLIN.
Wisła — Cracovia. Pogoń w Warszawie.
Mistrzostwo Polski w narciarstwie w Sławsku.
Pływanie a kobieta. — Myślistwo jest sportem. — „Pątnicy" i „Sportowcy".

Henryk Mückenbrunn podczas mistrzostw Polski w narciarstwie, Sławsko, 1923 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

w branży turystycznej. Wydatnie pomogła w tym znajomość języków obcych. Jak głosi legenda, z najzamożniejszymi klientami konwersował w jidysz. Czyżby smykałkę do interesu odziedziczył w genach? W roku 1939 był już właścicielem kilku pensjonatów, hotelu, wyciągu orczykowego oraz szkoły narciarsko-alpinistycznej. Zatrudnił w niej Aleksandra Rozmusa, kolegę z kadry narodowej. Firmowana przez Mückenbrunna, uchodzącego za arbitra elegantiarum, praca zatytułowana „Nowoczesne techniki narciarskie" zyskała wśród francuskich miłośników białego szaleństwa miano biblii. Stanowiła zjazdowo-slalomowy elementarz m.in. dla Jeana Claude'a Killy'ego – trzykrotnego złotego medalisty igrzysk olimpijskich w Grenoble (1968). Nic dziwnego, że Mückenbrunnowi powierzono katedrę wychowania fizycznego na uniwersytecie w Lyonie.

Ojczyznę odwiedził dwukrotnie. W 1933 r. był gościem Makkabiady (międzynarodowych zawodów zimowych żydowskich klubów sportowych) zorganizowanej w stolicy naszych Tatr. Sześć lat później obserwował pod Giewontem FiS, jak wówczas nazywano narciarskie mistrzostwa świata. Niestety, impreza zakończyła się spektakularną klęską sportową gospodarzy. Na otarcie łez po zawodach pozostała Polakom kolejka linowa na Kasprowy Wierch – wybudowana w rekordowo szybkim tempie (do czego w znacznej mierze przyczynił się skuteczny lobbing „Ilustrowanego Kuriera Polskiego" i innych periodyków medialnego koncernu Mariana Dąbrowskiego) oraz muzyczny evergreen, czyli tango „Noc w Zakopanem", skomponowane przez Zygmunta Karasińskiego do tekstu Aleksandra Jellina.

Drugą wojnę światową Mückenbrunn przeżył we Francji. Ludzi, którym grunt palił się pod nogami – dostarczanych przez Józefa Szczepaniaka, znajomego z Podhala, konspiratora Resistance – przeprowadzał przez Alpy do Szwajcarii. Z czasem sam musiał się ukrywać przed Niemcami i policją Vichy. Zadenuncjowany trafił do aresztu gestapo, skąd udało mu się zbiec. Wyzwolenia doczekał w kolibie.

Po wojnie nadal żył z gór. Przyniosły mu one sławę, majątek i… śmierć. W marcu 1956 r. ratownicy znaleźli odsłonięte przez topniejący śnieg zmrożone zwłoki trzech mężczyzn. Okazali się nimi zaginieni dwaj przewodnicy alpejscy: Paul Demarchi oraz Henryk Mückenbrunn. Trzecia ofiara, Friedrich Ebel, mający polsko-żydowskie korzenie, uchodził za króla szmuglerów. Podejrzewano go o przemyt brylantów na gigantyczną skalę. We Francji był poszukiwany listem gończym, więc mógł ją opuścić jedynie nielegalnie. Pozostaje zagadką, dlaczego wybrał trudną – zwłaszcza zimą – trasę

Reprezentacja Polskiego Związku Narciarskiego na mistrzostwach świata w narciarstwie klasycznym. Pierwszy z prawej: Fedor Weinschenck. Wysokie Tatry, 1935 r. FOT. NAC

eprasa.pl fc73704fe8

alpejską. Pół kilometra od granicy Szwajcarii tercet zaskoczyła potężna i niespodziewana burza śnieżna. Szczelina skalna zamiast schronieniem stała się dla tych mężczyzn grobowcem.

Wełniany interes

Biografia Fedora Weinschencka jest równie filmowa. Ów Niemiec z pochodzenia, urodzony w 1916 r. w Bielsku-Białej, uchodził pod koniec interbellum za wielką nadzieję naszego narciarstwa alpejskiego. Jego protoplaści przybyli na te tereny ze Szwarcwaldu jeszcze w epoce saskiej. Najwyraźniej poszukując źródła utrzymania, rozpoczęli własny „Drang nach Osten".

Kolejne generacje klanu wspinały się po szczeblach drabiny społecznej, dołączając w końcu do grona familii dobrze sytuowanych, wpływowych i cenionych. Dziadek Fedora, Gerhard, właściciel przędzalni wełny, współtworzył Beskidenverein – niemiecką organizację turystyki górskiej założoną w roku 1893. U schyłku XIX stulecia działały też w Bielsku-Białej dwa kluby narciarskie utworzone przez Niemców, a na zboczach Koziej Góry wybudowali oni tor saneczkowy.

Ojciec Federa, Teodor, rozwinął przedsiębiorstwo tekstylne, eksportując jego wyroby za granicę, nawet na inne kontynenty. Stał się w mieście ważną personą, piastując stanowisko prezesa lokalnej izby przemysłowo-handlowej. Stać go zatem było na pokrycie kosztów nauki syna na studiach ekonomicznych w lipskiej Wyższej Szkole Zarządzania. Dyplom jej ukończenia młody Weinschenck odebrał w marcu 1940 r. Dziesięć miesięcy wcześniej, wobec narastającego napięcia na linii Berlin – Warszawa, student wystąpił o urlop dziekański, motywując podanie koniecznością przygotowań do startu w igrzyskach olimpijskich, które ponownie miały się odbyć w Garmisch-Partenkirchen (wobec rezygnacji uprzednio wybranego przez MKOl Sapporo, a następnie Sankt Moritz).

„Imponował brawurą i zwrotnością. Stok pokonywał z niespotykaną gracją. Brakowało mu stabilności. Ale jest ona pochodną rutyny – łudziliśmy się zimami u schyłku lat 30. Niestety koło historii i Weinschenckowi złamało sportową karierę" – wspominał redaktor Wojciech Trojanowski, w międzywojniu sprawozdawca sportowy Polskiego Radia, po wojnie pracownik sekcji polskiej Radia Wolna Europa. Relacjonował m.in. start Bielszczanina podczas igrzysk w Garmisch-Partenkirchen w 1936 r.

Weinschenck zajął tam w kombinacji alpejskiej dopiero 32. lokatą, ponieważ przewrócił się podczas slalomu. Był trzykrotnym mistrzem Polski (zjazd i kombinacja alpejska), a przecież sport traktował hobbystycznie!

Powróciwszy do Bielska na początku maja 1939 r., rozpoczął przygotowania do swego drugiego startu na igrzyskach. Formę i kondycję zdobywał m.in. na obiektach stołecznej Akademii Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego. Poznał wtedy początkującą aktorkę, Wandę Bartównę. Pod koniec sierpnia mieli wyjechać na wspólny urlop do Druskienik, ale ich plany zniweczyła mobilizacja. Weinschenck nie zdążył dotrzeć do macierzystej jednostki stacjonującej w Stryju. Kilka tygodni później, zatrzymany przez Sowietów, trafił do kolumny polskich jeńców. W niewoli przebywał stosunkowo krótko. Podczas weryfikacji zatrzymanych uznano go za Niemca i doprowadzono do linii demarkacyjnej, dzielącej strefy wpływów naszych okupantów.

Powróciwszy do Bielska-Białej, podpisał volkslistę i wkrótce upomniał się o niego Wehrmacht. W jego szeregach walczył najpierw w Jugosławii, a potem na froncie wschodnim, gdzie latem 1942 r. zaginął. Okazało się, że ogłuszony kanonadą artyleryjską stracił świadomość i wpadł w ręce czerwonoarmistów. Osiem lat karczował syberyjską tajgę pod Brackiem. Zahartowany treningiem i wojaczką organizm sprostał głodowi, siarczystym mrozom, epidemiom, plagom owadów i innym lagrowym „atrakcjom".

Metrem ku wolności

Były mistrz Polski w narciarstwie został zwolniony wskutek starań siostry, po wojnie przesiedlonej do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W sprawie brata dotarła do wpływowych figur komunistycznego reżimu: ministra spraw wewnętrznych, Wilhelma Zaissera, oraz Rudolfa Herrnstadta, redaktora naczelnego partyjnego dziennika „Neues Deutschland". Ich interwencja zapewniła mu zwolnienie z obozu. W NRD nie zagrzał jednak długo miejsca. Być może dlatego, że w czerwcu 1953 r. brał udział w demonstracji antykomunistycznej w Berlinie. Było to pierwsze tak poważne wystąpienie ludności przeciwko władzy po wschodniej stronie żelaznej kurtyny. Masowy protest stłumiły odziały sowieckie za cenę przeszło 300 zabitych i ok. 2 tys. rannych.

Fedor Weinschenck
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niebawem Weinschenck zbiegł do Berlina Zachodniego. Metropolii nie dzielił jeszcze wtedy mur i do wolności można było dojechać… metrem. Następnie dotarł do Wolfsburga. W tamtejszej fabryce Volkswagena przepracował kilkanaście lat, awansując na przedstawiciela handlowego firmy w Brazylii. Zakotwiczył w São Paulo; nart już chyba nigdy nie założył. Zaciekawił go natomiast futbol. Systematycznie bywał na meczach lokalnych klubów – Palmeiras i Corinthians. A w 1978 r. z trybun argentyńskich stadionów obserwował konfrontacje mundialowe. Czy także Polski?

Utrzymywał kontakt z Witoldem Budrewiczem, działaczem latynoamerykańskiej Polonii. Znał też inną osobistość z tego kręgu – Jana Kobylańskiego, demonizowanego w III RP. Kraju urodzenia nigdy już jednak nie odwiedził. Zmarł nagle (rozległy zawał serca) w São Paulo 9 września 1989 r. Zapewne dotarły już do niego wieści o jesieni ludów, ogarniającej wówczas środkowowschodnią część Europy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Minkiewicz W., ***„Olimpijska gorączka"***; *Olszański T.*, ***„Za metą i dalej"***; *Tuszyński B.*, ***„Polscy olimpijczycy XX wieku"***.

Za pomoc w przygotowaniu tekstu bardzo dziękuję Aleksandrze Zawłockiej.

eprasa.pl fc73704fe8

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl fc73704fe8

Jan Nepomucen Głowacki, „Widok na Wawel", ok. 1847 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŃSTWOWE ZBIORY SZTUKI NA WAWELU

Wieki IX–XXI / Krakowski skarb

Wawelskie tajemnice

Sławomir Koper

Przez setki lat biło tu serce Polski. Na wzgórzu wawelskim dochodziło nie tylko do majestatycznych uroczystości, lecz także do strasznych tragedii i skandali

Najsłynniejszy polski zamek powstał na wapiennym wzgórzu wznoszącym się blisko 30 metrów ponad poziomem Wisły. Ta lokalizacja posiadała znaczne walory obronne, nic zatem dziwnego, że wzgórze zasiedlano już w epoce kamiennej. Osadnictwo trwało nieprzerwanie aż do czasów historycznych, a jako ostatnie pojawiły się tutaj plemiona Słowian. Niewiele wiemy o gospodarzach Wawelu z czasów wczesnego średniowiecza, gdyż opowieści o smoku, Kraku i dzielnej Wandzie były oczywiście wyłącznie legendami.

Inna sprawa, że wzgórze wawelskie od najdawniejszych czasów zwracało uwagę kolejnych ludów, a szczególnie ich kapłanów. Podobno pod dzisiejszym zamkiem znajduje się czakram, czyli kamień emitujący specjalny rodzaj energii. Rzekomo to jedno z siedmiu takich miejsc na kuli ziemskiej i w związku z tym do dzisiaj Wawel cieszy się zainteresowaniem zwolenników tej teorii.

Pierwsze umocnienia obronne powstały pod koniec IX w. Miały charakter drewniano-ziemny, a ich najstarsze fragmenty znaleziono w pobliżu dzisiejszej Smoczej Jamy. Dalsza rozbudowa była związana z panowaniem czeskim, gdyż w X stuleciu książęta z Pragi podporządkowali sobie Małopolskę. Wzniesiono wówczas otaczający wzgórze wał, złożony z trzech rzędów drewnianych skrzyń wypełnionych ziemią i kamieniami. Czeskie fortyfikacje przetrwały ponad trzy stulecia i jeszcze w czasach państwa Piastów pozostawały najważniejszym elementem obronnym. Na wzgórzu stały już wówczas pierwsze kamienne budowle.

Najstarszym odnalezionym murowanym budynkiem jest rotunda świętych Feliksa i Aduakta, zwana też rotundą Najświętszej Marii Panny. Pochodzi z przełomu wieków X i XI i nie wiadomo, czy wznieśli ją jeszcze Czesi czy już Bolesław Chrobry. To świątynia w stylu przedromańskim, dobrze oddająca charakter ówczesnego budownictwa sakralnego. Powstała na planie tzw. czteroliścia, co oznacza, że cztery boczne absydy dochodziły do absydy centralnej zbudowanej na planie koła. Świątynia była niewielka – absydy boczne liczyły poniżej 2,5 metra średnicy, a centralna niespełna 5 metrów. Natomiast wysokość budowli wynosiła ok. 11 metrów. Warto się bliżej przyjrzeć rotundzie zrekonstruowanej w ramach wystawy „Wawel zaginiony", tak bowiem wyglądały najdawniejsze kamienne budowle na ziemiach polskich. Zapewne podobnie prezentowały się obiekty wzniesione na Ostrowiu Lednickim i w Gnieźnie. Możliwe, że w takich właśnie świątyniach odbywały się uroczystości zjazdu gnieźnieńskiego.

Ostatnia reduta

Być może już w pierwszej połowie XI w. powstał murowany pałac będący rezydencją władcy. Jest to bardzo praw-

eprasa.pl fc73704fe8

dopodobne, gdyż w tym czasie Kraków stał się główną siedzibą dynastii Piastów. Archeolodzy odnaleźli relikty budowli, niestety większość pozostałości została zniszczona podczas kolejnych etapów rozbudowy w wiekach XV i XVI.

Natomiast pierwsza murowana budowla obronna powstała 100 lat później; była to wieża nazywana stołpem. Miała wzmocnić walory defensywne warowni, a także pełnić funkcję ostatniej reduty. Oznaczało to, że w przypadku opanowania wzgórza przez wroga załoga miała się schronić w murach wieży i stamtąd kontynuować walkę. Stołp zbudowano z kamienia na planie kwadratu o boku długości 8 metrów, a jego wysokość sięgała co najmniej 18 metrów. Głównym elementem defensywnym wzgórza wciąż pozostawały umocnienia ziemno-drewniane, aczkolwiek pojawiły się już dwa murowane wjazdy bramne. Wbrew pozorom tego rodzaju fortyfikacje były całkiem skuteczne, skoro załoga Wawelu odparła oblężenie Tatarów w marcu 1241 r.

Sam gród został jednak zdobyty i zniszczony przez Mongołów, wobec czego w 1257 r. przeprowadzono jego lokację na prawie magdeburskim. Niebawem też przyszedł czas na generalną przebudowę i modernizację Wawelu. Powstał nowy pałac mieszkalny, do którego przylegała wieża, nazwana później Łokietkową. Wybudowano też kamienne mury obronne, których jednym z elementów była zachowana częściowo do dzisiaj wieża Jordanka. Miała ona charakter mieszkalny, a chociaż przebudowywano ją jeszcze wielokrotnie, można dostrzec elementy jej pierwotnej architektury. Dopiero od tej pory zabudowania na wzgórzu będzie można nazywać zamkiem z prawdziwego zdarzenia.

Kolejną ważną datą w dziejach wawelskiego zamku był rok 1311. Wówczas to doszło do buntu mieszczan krakowskich przeciwko Władysławowi Łokietkowi, zamek jednak pozostał w rękach księcia. Gdy po roku rebelię zdławiono, władca nie miał litości dla buntowników. Przywódców stracono, a rycerstwo po wdarciu się do miasta ścinało każdego, kto nie potrafił poprawnie wymówić: soczewica, koło, miele młyn. Buntownikami byli bowiem głównie mieszczanie pochodzenia niemieckiego i w ten sposób

Rotunda Najświętszej Maryi Panny FOT. JENNIFER BOYER/WIKIPEDIA

odróżniano ich od Polaków. Miasto straciło wiele swoich przywilejów, a fortyfikacje wawelskie połączono z miejskimi, by ułatwić kontrolę nad mieszczanami. Osiem lat później Łokietek koronował się w katedrze wawelskiej na króla Polski. Była to pierwsza koronacja, która odbyła się w Krakowie, i od tej pory była to już tradycja aż do czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Przy okazji warto jednak pamiętać, że żadna z krakowskich koronacji nie odbyła się w Boże Narodzenie. Wprawdzie chętnie łączono obchody świąteczne z uroczystością intronizacji nowego króla, ale 25 grudnia uznano za datę wyjątkowo pechową. W tym dniu koronę założyli bowiem na głowę Mieszko II Lambert i Bolesław Śmiały. Koniec ich panowania był tragiczny i następcy woleli nie naśladować tego obyczaju. Najbardziej było to widoczne w przypadku Zygmunta III Wazy, który przybył do Krakowa 9 grudnia 1587 r., a sejm koronacyjny zatwierdził go dzień później. Jednak koronację odłożono do 27 grudnia, co nie było przypadkiem.

Syn i następca Łokietka, Kazimierz Wielki, realizując swój ambitny plan przebudowy kraju, nie mógł oczywiście pominąć Wawelu. Z jednej strony miał na celu względy bezpieczeństwa królewskiej siedziby, chciał jednak również nadać jej charakter bardziej reprezentacyjny. To za jego czasów dokończono budowę gotyckiej katedry i przystąpiono do wzmacniania systemu fortyfikacyjnego. Wawel leżał bowiem tylko o dzień drogi od granic Królestwa Czech, z którym stosunki były wyjątkowo napięte. Wtedy to powstały trzy baszty w murach obronnych, z których do dzisiaj zachowała się wieża zwana Złodziejską.

Wybudowano także basztę obronno-mieszkalną, która zastąpiła istniejący dotychczas romański stołp. Zachowała się ona do dziś, chociaż w późniejszych czasach była przebudowywana – nazywana jest Kurzą Stopą.

Natomiast w czasach Władysława Jagiełły przebudowano pobliską wieżę Łokietkową i w ten sposób powstała kolejna baszta obronno-mieszkalna, zwana Duńską. Nazwa upamiętnia fakt, że mieszkał w niej kiedyś, król Danii, Eryk Pomorski.

Wawelskie skandale

Historia wawelskiego zamku obfitowała nie tylko w heroiczne wydarzenia, lecz także w ponure tragedie. Jedną z nich spowodował Kazimierz Wielki, który był nie tylko wybitnym władcą, lecz także bezwzględnym i okrutnym człowiekiem. Gdy pod koniec 1349 r. powrócił z wyprawy wojennej na Ruś, dowiedział się, że wikariusz katedry

Wieża Jordanka FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl fc73704fe8

Dolna kondygnacja Kurzej Stopki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BORNHOLM

wawelskiej, ks. Marcin Baryczka, publicznie piętnował jego rozpustne życie. Co więcej, te same oskarżenia powtórzył w obecności władcy. Król nie zastanawiał się długo i natychmiast kazał księdza utopić w Wiśle koło Wawelu. Spadła za to na niego klątwa kościelna, którą odpokutował, wznosząc kilka kościołów. Inna sprawa, że zbrodnia spowodowała, iż już żaden członek hierarchii kościelnej nie odważył się napominać króla. Co więcej, opat klasztoru w Tyńcu i biskup poznański udzielili mu kolejnych ślubów, chociaż wiedzieli, że król dwukrotnie popełnia bigamię. Najwyraźniej po śmierci Baryczki brakowało chętnych do męczeństwa. Kazimierz Wielki nie był zresztą pierwszym ani ostatnim polskim władcą obłożonym klątwą kościelną, chociaż z reguły jej przyczyną były kwestie finansowe lub polityczne.

Ponad ćwierć wieku później, w grudniu 1376 r., pod Wawelem doszło do wydarzeń, które pod znakiem zapytania stawiają przysłowie, że Polak i Węgier to dwa bratanki. Po śmierci Kazimierza Wielkiego doszło do unii pomiędzy oboma państwami, ale król Ludwik Węgierski z reguły rezydował w Budzie. W Krakowie narastało niezadowolenie, dochodziło do sporów z urzędnikami węgierskimi. Wreszcie po przypadkowej kłótni pomiędzy służbą polską i węgierską o wóz z sianem wjeżdżający na Wawel w mieście doszło do rzezi Madziarów. Z przyjezdnych ocaleli tylko ci, których udało się wciągnąć na zamek za pomocą lin. Zginęło ok. 80 Węgrów.

Osiem lat później królem Polski została 10-letnia córka Ludwika, Jadwiga. W dzieciństwie została poślubiona przez Wilhelma Habsburga i nie miała najmniejszej ochoty, by zrywać ten związek i wyjść za mąż za starszego o ponad 20 lat księcia litewskiego, Jagiełłę. Tego żądali polscy możnowładcy, ale Jadwiga uważała Jagiełłę za pogańskiego barbarzyńcę. Jednak Wilhelm, który przybył, by dopełnić małżeństwa, został zmuszony do wyjazdu. Wtedy zdesperowana Jadwiga rzuciła się z siekierą czy też z toporem na jedną z bram zamkowych. Interwencja polskich panów i duchownych zapobiegła skandalowi i Jadwiga posłusznie poślubiła Jagiełłę, doprowadzając w ten sposób do chrztu Litwy. Ale ich małżeństwo nigdy nie uchodziło za udane.

Dziedziniec wawelskiego zamku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GRYFFINDOR

Pożary

Zamek wawelski był ciągle rozbudowywany. Za panowania syna Jagiełły, Kazimierza Jagiellończyka, powstały dwie największe wieże obronne. Jedną z nich nazwano Basztą Senatorską, a drugą Wieżą Sandomierską. Zostały one uodpornione na ostrzał bronią palną, która odgrywała coraz większą rolę podczas działań oblężniczych.

Gotyckie obwarowania odgrywały swoją rolę aż do końca XVIII w., jednak największe zmiany miały dopiero nadejść. Na południu Europy w pełnym rozkwicie był już renesans i styl ten trafił również do Krakowa.

Nie jest prawdą, że renesans pojawił się w Polsce wraz z królową Boną. Faktycznie przywiozła ona do Polski wiele nowinek, w tym włoskie obyczaje kulinarne, ale architektura odrodzenia zagościła nad Wisłą już kilkanaście lat wcześniej. Wznoszenie renesansowej rezydencji rozpoczęto już w 1502 r., a projekt przewidywał budowę kolejnych gmachów pałacowych. Powstałe trzy skrzydła mieszkalne zostały tak połączone ze sobą, że otaczały pięciokątny dziedziniec, który od południa był ograniczony murem parawanowym.

Skrzydła mieszkalne wyposażono w bogato zdobione krużganki arkadowe o trzech kondygnacjach, co nadało rezydencji reprezentacyjny wygląd. W prace byli zaangażowani specjaliści z Włoch, którzy chętnie przyjeżdżali nad Wisłę, gdyż Jagiellonowie uchodzili za solidnych i hojnych płatników. Inna sprawa, że w efekcie przebudowy wawelski zamek stracił częściowo swoje walory obronne, ale w epoce Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta nie miało to większego znaczenia. Polska była wówczas europejską potęgą, a czasy ich panowania nie bez powodu uważa się za złoty wiek w dziejach naszego kraju.

Przebudowę ukończono w 1536 r., jednak jeszcze w tym samym roku pożar poważnie uszkodził skrzydła południowe i wschodnie. Rok później przystąpiono do odbudowy, którą ukończono dopiero po 12 latach.

Renesansowy zamek na Wawelu niemal natychmiast stał się wzorem do naśladowania dla magnatów i udzielnych książąt. Rozwiązania wawelskie kopiowały m.in. zamek Piastów śląskich w Brzegu i Pieskowa Skała rodu Szafrańców.

W czasach Bony i Zygmunta Starego powstały także ogrody zamkowe wzorowane na renesansowych rozwiązaniach włoskich. Część należąca do królowej miała charakter bardziej użytkowy, uprawiano tam zioła lecznicze i przyprawy. Natomiast część użytkowana przez króla służyła relaksowi monarchy. Znajdowały się tam altana wypoczynkowa, bezpośrednie przejście do królewskiej łaźni, a być może także winnica i ptaszarnia. W późniejszych epokach ogrody popadły w zaniedbanie, a ostatecznie zniszczono je podczas zaborów. Dopiero w latach 90. XX w. przeprowadzono badania archeologiczne, które umożliwiły odtworzenie ich w renesansowym kształcie.

Kolejny katastrofalny pożar wybuchł pod koniec stycznia 1595 r. Sytuację pogorszył fakt, że doszło do niego w niedzielę, gdy znaczna część służby przebywała na weselu jednego z woźniców zamkowych. Silny mróz spowodował z kolei, że zamarzły ujęcia wody. Wybuchła panika, dwór pakował najcenniejsze rzeczy w skrzynie, które spuszczano przez okna, a na koniec luzem wyrzucano

eprasa.pl fc73704fe8

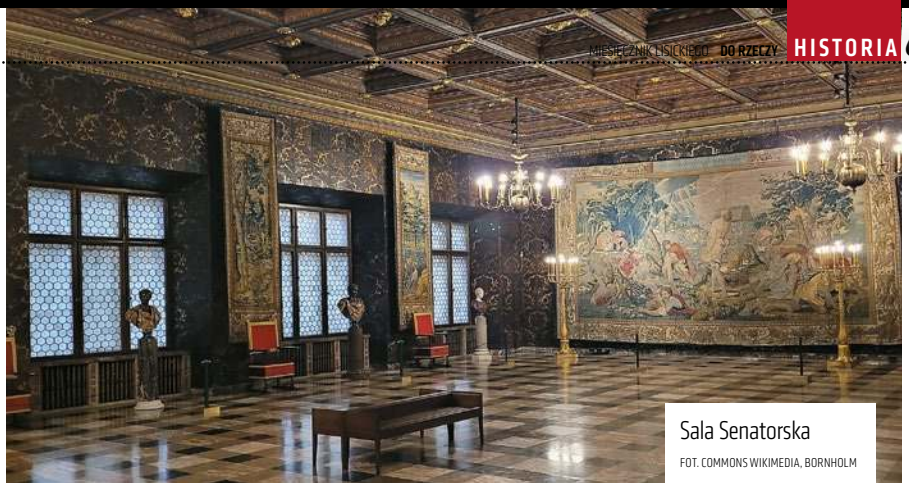

Sala Senatorska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BORNHOLM

stroje i kosztowności. Zwabiło to licznych złodziei, którzy pod pozorem ratowania królewskiego dobytku rabowali, co się dało. Straty dworu oceniano na 15 tys. florenów, co dziś odpowiadałoby sumie ok. 4 mln euro. A do tego dochodziły jeszcze poważne zniszczenia części rezydencjonalnej zamku.

W tej sytuacji Zygmunt III Waza na czas odbudowy przeniósł się wraz z dworem do Warszawy. Z czasem miasto to stało się królewską siedzibą, o czym zadecydowała lokalizacja – bliżej było stamtąd do Wilna i północno-wschodnich granic kraju, które były wówczas najbardziej zagrożone. Natomiast odbudowa wawelskiego kompleksu ciągnęła się przez kilkanaście lat; wtedy to powstały dwie wieloboczne wieże nakryte barokowymi hełmami. Jedna z nich nosi obecnie imię Zygmunta III, a druga jest nazywana Basztą Jana III Sobieskiego, chociaż władca ten nie miał nic wspólnego z jej powstaniem i urodził się dopiero kilka lat po jej ukończeniu (w czasie swojego panowania przyczynił się jednak do odnowienia wawelskiego zamku, co zadecydowało o nazwaniu wieży jego imieniem).

Upadek i odbudowa

Wprawdzie Jagiellonowie zaniedbali kwestie obronne wawelskiego zamku, jednak nadrobili to ich następcy, Wazowie. Za ich czasów powstał 300-metrowy odcinek muru obronnego. W latach 40. XVII w. wybudowano dwa półbastiony pod wieżami Senatorską i Sandomierską, które zostały wzmocnione ziemnymi szańcami. Dzięki temu powstał unikalny zespół obronny, będący połączeniem baszt odpornych na ogień broni palnej i stanowisk artyleryjskich.

Kres Rzeczypospolitej zbiegł się z upadkiem zamku wawelskiego, chociaż jeszcze w XVIII w. podejmowano próby renowacji budowli. W czerwcu 1794 r., podczas insurekcji kościuszkowskiej, zamek opanowali Prusacy, którzy kilkanaście miesięcy później wywieźli polskie insygnia koronacyjne do Berlina. W 1809 r. zostały one przetopione, a kamienie szlachetne sprzedano. Ocalał tylko miecz zwany Szczerbcem; stal, z której powstał, nie wzbudziła bowiem zainteresowania grabieżców. Obecnie jest to jedyny zachowany element regaliów królów polskich służących do koronacji.

W efekcie rozbiorów Polski Kraków znalazł się pod panowaniem Austrii i zaborcy przekształcili miasto w twierdzę. W połowie XIX stulecia rozpoczęli fortyfikowanie wzgórza wawelskiego, tworząc tam cytadelę. Wtedy to powstały dwie kaponiery, czyli budowle przystosowane do obrony bliskiej i ostrzału w różnych kierunkach. Austriacy rozbudowali również dawny fort kleszczowy, powstały jeszcze w pierwszej połowie XVIII w. Przebudowano także wiele pomieszczeń, dostosowując je do potrzeb koszar wojskowych, a elewacje otrzymały neogotycki wygląd.

W 1901 r. władze Galicji wykupiły zamek z rąk Austriaków i przystąpiono do jego powolnej renowacji. Prace znacznie przyspieszyły po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, kiedy zwrócono się do społeczeństwa z apelem o wykupywanie cegiełek, które miały posłużyć do odbudowy zamku. Zgłosiło się ponad 6 tys. ofiarodawców, cegiełki nabywały osoby prywatne, samorządy, szkoły i instytucje. W 1930 r. utworzono w zamkowych murach muzeum.

Podczas drugiej wojny światowej Wawel stał się siedzibą hitlerowskiego generalnego gubernatora, Hansa Franka. Na jego polecenie w miejscu dawnych ogrodów powstały korty tenisowe i basen, natomiast budynek dawnych kuchni i wozowni przebudowano, zamykając dziedziniec wewnętrzny. Przy okazji powstała też nowa brama zwana Bernardyńską.

Po wojnie kompleks poddano renowacji, przywracając mu renesansowy i barokowy wystrój. Powstało tu muzeum Zamek Królewski na Wawelu – Państwowe Zbiory Sztuki. Do zwiedzania udostępniono 71 sal, w których znajdują się pięć ekspozycji stałych oraz wystawy czasowe. Poza bogatymi zbiorami sztuki można też zwiedzać Reprezentacyjne Komnaty Królewskie, gdzie szczególną uwagę zwracają Sala Poselska i Sala Senatorska. Eksponowana jest tam część słynnych arrasów wawelskich, które na szczęście zostały na początku drugiej wojny światowej wywiezione z kraju i do 1961 r. pozostawały w Kanadzie. Pozostałe (aczkolwiek nie wszystkie) można oglądać w Prywatnych Apartamentach Królewskich. Tkaniny powstały na zamówienie Zygmunta Augusta w połowie XVI w. w Brukseli. Król był znanym koneserem sztuki oraz klejnotów i nigdy nie żałował środków na powiększanie swojej kolekcji.

Ekspozycję uzupełniają Skarbiec Koronny, Zbrojownia oraz sale poświęcone sztuce Wschodu. Oddzielnym tematem, zasługującym na osobny artykuł, jest słynna wawelska bazylika archikatedralna św. Stanisława i św. Wacława z największą w Europie nekropolią grobów królewskich (od Władysława Łokietka do Augusta III).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Replika insygniów koronacyjnych

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PROSPECTHILL

eprasa.pl fc73704fe8

Monica Bellucci jako Kleopatra w filmie „Asterix i Obelix: Misja Kleopatra"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Paryska wystawa / Kleopatra superstar

Celebrytka wszech czasów

Piotr Semka z Paryża

Ekspozycja w Instytucie Świata Arabskiego w Paryżu tłumaczy, jak ta królowa Egiptu stała się światową celebrytką i ile prawdy jest w micie, który został wokół niej zbudowany

Zna ją każdy. Młodsi oglądali w jej roli Monicę Bellucci w filmie „Asterix i Obelix: Misja Kleopatra". Starsze pokolenie z nostalgią wspomina z kolei Kleopatrę w wykonaniu Elizabeth Taylor i Sophii Loren.

To najbardziej znana z nielicznych, wielkich kobiecych postaci z czasów starożytnych. Kleopatra VII – ostatnia władczyni grecko-egipskiej dynastii Ptolemeuszów (ten ród władał ziemiami nad Nilem między 323 a 30 r. p.n.e.). Od swojej śmierci ponad 2 tys. lat temu wciąż jest sławna. Nic dziwnego, że tak atrakcyjny temat skłonił Instytut Świata Arabskiego w Paryżu do poświęcenia egzotycznej władczyni niezwykle interesującej wystawy.

Na wstępie czytamy: „Najpierw dominowała na jej temat czarna legenda. Później pojawił się wizerunek uniwersalnej postaci ikonicznej, łączącej w sobie namiętność i śmierć, zmysłowość i okrucieństwo, bogactwo i wojnę, politykę i feminizm". Kim tak naprawdę była ta kobieta znana z legendarnej urody, która zmusiła władców Rzymu, by uznali jej

eprasa.pl fc73704fe8

Jedna z sal wystawy „Tajemnica Kleopatry" w Instytucie Świata Arabskiego w Paryżu FOT. ©ALICE SIDOLI, INSTITUT DU MONDE ARABE

wyjątkowość i traktowali ją jako równą sobie? Pisali o niej Szekspir i Pascal. Jej życie zainspirowało znanych malarzy, rzeźbiarzy i kompozytorów. Wiek XX przyniósł liczne filmowe megaprodukcje z Kleopatrą w roli głównej. A do tego wciąż jest atrakcyjnym hasłem używanym przez producentów kosmetyków, bo jak mało która bohaterka historii kojarzy się do dziś z ideałem kobiecego piękna.

Oddajmy głos autorom wystawy: „Na tym tle zapomina się zazwyczaj, że w rzeczywistości była kompetentną głową sporego państwa. Władczynią, która walczyła o podmiotowość swego królestwa i jego dobrobyt przez długie 22 lata. Mit przesłonił prawdę historyczną. »Tajemnica Kleopatry« konfrontuje bogactwo legend z wiarygodnymi źródłami na temat jej życia".

W Egipcie Ptolemeuszów

Pierwsza część wystawy gromadzi nieliczne dziś eksponaty z czasów, gdy żyła. To głównie opowieść o wspaniałości stolicy ówczesnego Egiptu; Aleksandria była wielkim portem, który rozsławiła gigantyczna latarnia morska – jeden z siedmiu cudów antycznego świata. Dzięki bardzo efektownemu montażowi komputerowemu możemy przejść się po tej metropolii nad Morzem Śródziemnym. Założył ją Aleksander Wielki ok. dwóch i pół wieku przed objęciem władzy przez Kleopatrę. I to właśnie w Aleksandrii (w 69 r. p.n.e.) urodziła się bohaterka tej opowieści.

Jej ojciec, Ptolemeusz XII Neos Dionizos, był przedstawicielem dynastii zapoczątkowanej przez jednego z dowódców Aleksandra Wielkiego, który objął władzę nad tym zakątkiem imperium swojego wodza. Ptolemeusz XII nie był zbyt popularny, a podległy mu Egipt był już tylko cieniem dawnego potężnego państwa (bez słowa protestu ostatni Ptolemeusze przyjęli protektorat Rzymian). Wkraczająca w dorosłość Kleopatra obserwowała więdnięcie państwa swoich przodków i za punkt honoru postawiła sobie odbudowę dawnej świetności Egiptu oraz odzyskanie jego niezależności wobec Rzymu.

Po objęciu tronu szybko dała się poznać jako bystra dyplomatka, która sprawnie obracała się w burzliwym świecie wielkiej polityki zdominowanym przez mężczyzn. Wiedząc, że nie wygra z Rzymem na polu bitwy, postanowiła nawiązać jak najbliższe relacje z cesarzem Juliuszem Cezarem, a po nim z Markiem Antoniuszem. Na lokalnym podwórku była brutalnym graczem. Wyeliminowała ze szczytu władzy dwóch swoich mężów (braci) – Ptolomeusza XIII i XIV – z którymi początkowo dzieliła władzę.

Potem posadziła na tronie swojego syna, Cezariona, którego spłodził Juliusz Cezar. Ratowanie suwerenności ojczyzny przez łóżko będzie jej potem wypominane i stanie się początkiem czarnej legendy. Romans z wielkim Juliuszem Cezarem będzie tylko wstępem do tej swoistej „ofensywy miłości". W kolejnych latach będzie miała troje dzieci z Markiem Antoniuszem.

Kosa trafi na kamień dopiero wtedy, gdy władzę nad Imperium Rzymskim obejmie Oktawian, który szybko wejdzie z nią w ostry konflikt. Coraz bardziej osamotniona, zdradzona przez dotychczasowych sojuszników, wobec nieuchronnej klęski popełni w końcu samobójstwo. Stanie się to w sierpniu 30 r. p.n.e., a Kleopatra wybierze do tego ukąszenie węża. Na tej pięknej królowej zakończy swoje istnienie dynastia Ptolemeuszów.

Popiersie Kleopatry

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALTES MUSEUM BERLIN, JOSÉ LUIZ BERNARDES RIBEIRO CC BY-SA 4.0

Pszeniczny skarb

Wbrew powszechnemu przekonaniu, które wytworzyła współczesna popkultura, Kleopatra nie była Egipcjanką – jej ród pochodził z greckiej Macedonii. Mimo to z zapałem podtrzymywała tradycje faraonów i chciała odbudować imperium, które stworzyło piramidy. Wiedziała, jak dobierać skutecznych sojuszników i jak otaczać się lojalnymi doradcami i urzędnikami. Nieobce jej były wizyty dyplomatyczne. W 46 r. p.n.e. podążyła za bliskim jej cesarzem Juliuszem Cezarem aż do Rzymu. Pięć lat później doprowadziła do spotkania z następcą Cezara, Markiem Antoniuszem. Była rozważną władczynią i unikała sporów z najwyższymi kapłanami (wsparła budowę wielu świątyń), oczekując jednak w zamian lojalności.

Od Juliusza Cezara, a potem Marka Antoniusza, uzyskała zgodę na poszerzenie granic swego królestwa. Wśród edyktów, które wydała, są akty chroniące chłopów przed nadmiernym wyzyskiem. Kleopatra walczyła też z korupcją wśród urzędników i przeprowadziła w Egipcie reformę monetarną. Na paryskiej wystawie możemy zobaczyć przykłady pokazujące, że za jej rządów Egipt stał się najbogatszym państwem regionu Morza Śródziemnego. Bardzo ciekawe są tabele pokazujące, jak wyglądał system gospodarczy w tamtych czasach. Egipt był

eprasa.pl fc73704fe8

Giovanni Francesco Guerrieri, „Kleopatra"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PALAZZO DUCALE DI URBINO – GALLERIA NAZIONALE DELLE MARCHE, MONGOLO 1984

nazywany spichlerzem regionu, ponieważ eksportował olbrzymie ilości zboża (głównie pszenicy). Produkty z Afryki, takie jak złoto czy kość słoniowa, trafiały do jej królestwa Nilem, z kolei drogą morską poprzez Morze Czerwone przybywały z Indii takie skarby jak cynamon, perfumy czy perły.

Aleksandria była wtedy swoistym „megahubem" transportu regionalnego – to stąd rozsyłano egzotyczne towary do Grecji i Rzymu. Królowa oczywiście dbała o swoje interesy i jej administracja nakładała coraz to nowe podatki. Czy Kleopatra osobiście wszystko kontrolowała? Nie musiała się przecież znać na wszystkim. Ważne, że umiała znaleźć na stanowiska kierownicze odpowiednich urzędników (ci, którzy się nie sprawdzali, według legendy stawali się obiadem dla krokodyli).

A jak wyglądała struktura etniczna jej państwa? Po podboju Egiptu przez Aleksandra Macedońskiego jego greccy generałowie i żołnierze otrzymywali bardzo hojne nadania od zwycięskiego wodza. Greka stała się językiem urzędowym, ale przybysze z Europy dbali, by nie narzucać Egiptowi własnej kultury; Egipcjanie patrzyli na białych z dużą podejrzliwością.

Na wystawie podkreśla się też, że ówczesny Egipt był swoistym prawzorem dzisiejszych zasad multi-kulti. W szczególności dotyczyło to Aleksandrii, gdzie Grecy żyli obok Egipcjan i Żydów, a po mieście przelewały się tłumy kupców ze wszystkich stron ówczesnego świata.

Występna i wyuzdana?

Jej egipscy i greccy poddani widzieli w niej boginię. Ale wspaniałe opowieści o jej rządach mogli przekazywać kolejnym pokoleniom głównie ustnie. Najlepiej rozwiniętą pisaną historiografię mieli wówczas Rzymianie. A ci widzieli we władczyni z kraju piramid wyrachowaną antagonistkę, która za pomocą swoich wdzięków zawróciła w głowie dwóm kolejnym rzymskim mężom stanu, by w końcu rzucić wyzwanie całemu imperium i ponieść „zasłużoną" karę.

Rzymscy dziejopisarze opatrzyli ją przydomkiem Regina Meretrix, czyli Królowa Nierządnica. Za rzymskimi pisarzami jej czarną legendę powielili historycy wieków średnich, a potem pisarze renesansu. Z kolei arabscy kronikarze, w epoce średniowiecza bazujący na tradycji ustnej, uwiecznili mit Kleopatry jako matki narodu – mądrej, wykształconej opiekunki ludu. Z czasem w Europie Zachodniej w epoce nowożytnej pojawiło się zainteresowanie fenomenem dumnej władczyni, która rzuciła wyzwanie rzymskim cesarzom. Swoje utwory poświęcili jej tacy mistrzowie pióra jak Szekspir czy Jean Baptiste Racine. Sam wielki Blaise Pascal, XVII-wieczny francuski myśliciel, wypowiedział na temat egzotycznej królowej słynne zdanie: „Gdyby nos Kleopatry był krótszy, inne byłyby losy świata".

Pascal nawiązywał oczywiście do urody egipskiej władczyni, której urokowi ulegli zarówno Juliusz Cezar, jak i Marek Antoniusz. Dla Pascala był to dobry przykład tego, jak najmniej oczekiwane drobiazgi mogą zmieniać dzieje świata. Królowa zainspirowała też malarzy; ich wyobraźnię szczególnie pobudzała scena jej samobójczej śmierci. Stoję przed obrazem Giovanniego Francesca Guerrieriego – włoskiego malarza z pierwszej połowy XVII w. Na jego obrazie Kleopatra, ubrana w typową europejską koronę, przytyka do odsłoniętego biustu węża wyciąga-

Jean-André Rixens, „Śmierć Kleopatry"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSÉE DES AUGUSTINS DE TOULOUSE

eprasa.pl fc73704fe8

jącego język, tak jakby to był jakiś perwersyjny pocałunek śmierci.

W XIX stuleciu do tej fascynacji tragiczną śmiercią dojdą dodatkowo zauroczenie Orientem i zawsze przyciągające na paryskich salonach tłumy zderzenie Erosa z Tanatosem. Na obrazie Jeana-André Rixensa z 1874 r. widzimy w pełnej przepychu egipskiej komnacie martwą Kleopatrę leżącą na łożu po ukąszeniu węża, a obok opłakujące ją służące. Jak to często bywało w drugiej połowie XIX w., antyczny temat dawał okazję do pokazania dużej dawki nagości, a pikanterię wzmacniał jeszcze dramatyzm przedstawionej sceny.

Richard Burton jako Marek Antoniusz i Elizabeth Taylor jako Kleopatra w filmie „Kleopatra" Josepha Mankiewicza

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kleopatra movie star

Ale tak naprawdę mit Kleopatry w pełni rozpropagował dopiero srebrny ekran. Początek „Cleomanii" filmowców datuje się na 1899 r., gdy jeden z pierwszych reżyserów, Francuz Georges Méliès, obsadził w roli Kleopatry piękną Jehanne d'Alcy (1865–1956), która notabene została później żoną Mélièsa. W 1917 r. skandal wywołała kolejna ekranizacja dziejów Kleopatry, tym razem zrealizowana w Ameryce. W roli egipskiej władczyni obsadzona została amerykańska aktorka Theda Bara (anagram od „Arab Death"). Tę ówczesną piękność wybrano z racji jej żydowskich korzeni, które widzom kojarzyły się z tajemniczą zmysłowością Orientu. Film był na tyle nasycony erotyzmem w stylu femme fatale, że wywołał pierwsze w historii kina w USA protesty na tle obyczajowym.

A potem worek z filmami o Kleopatrze rozwiązał się już na dobre. W jej postać wcielały się m.in. Claudette Colbert (1934), Vivien Leigh (1945), Sophia Loren (1953) i Elizabeth Taylor (1963). Ten ostatni film, w reżyserii Josepha Mankiewicza, był wyjątkowo drogą amerykańską superprodukcją, która przeszła do historii kina. Wielu krytyków uważa, że była to najlepsza ekranizacja opowieści o Kleopatrze, do czego na pewno przyczyniła się kreacja Richarda Burtona w roli cesarza Marka Antoniusza. Taśmy z całym zarejestrowanym materiałem liczyły ponad 193 km długości. Zmontowano z tego pięciogodzinną wstępną wersję filmu, którą ostatecznie podzielono na dwie osobne części. Młodsze pokolenia mogą kojarzyć postać Kleopatry z włoską aktorką Monicą Bellucci, która zagrała egipską królową we wspomnianej już komedii „Asterix i Obelix: Misja Kleopatra". Szacuje się, że motyw Kleopatry pojawił się w ok. 220 filmach – od dzieł o wysokim poziomie artystycznym aż po filmy erotyczne. Jak widać, mit o występnej królowej ma się wciąż całkiem nieźle.

Bohaterka na każdą okazję

Autorzy wystawy postanowili uwieńczyć ekspozycję trzema ciekawymi wersjami mitu Kleopatry. Okazuje się, że po legendę władczyni sięgnął już na początku XX w. egipski ruch niepodległościowy. Był to efekt pojawienia się pierwszej generacji egipskiej inteligencji, która – przyjmując zachodni styl życia – zainteresowała się też europejskim spojrzeniem na przeszłość swojej ojczyzny. Odkrycie w 1912 r. popiersia Nefretete przez niemieckich archeologów i wywiezienie go do Berlina, a następnie otwarcie przez Howarda Cartera grobu Tutanchamona (1922) – postrzegane przez wielu Egipcjan jako akt zbezczeszczenia – pobudziły egipskich patriotów do podjęcia działań na rzecz ochrony pamiątek ich antycznej przeszłości. Na tej fali zaczęto sięgać po postacie ze starożytnego Egiptu jako symbole haseł niepodległościowych.

Nurt ten wspierali egipscy rzeźbiarze z kręgu „faraonistów", na czele z Mahmoudem Mokhtarem (1891–1934), którego dziełem była ogromna rzeźba Kleopatry, mająca symbolizować przeszłość i wielkość Egiptu. Gdy w roku 1954 egipski polityk Gamal Abdel Naser rozpoczął rewolucję antyimperialistyczną, w swoich przemówieniach nawiązywał do dawnej chwały Egiptu, wymieniając jako symbole egipskiego oporu postacie Nefretete, Ramzesa i Kleopatry. Do dziś władczyni z rodu Ptolemeuszów widnieje na egipskich monetach. Dość kuriozalnym dla europejskiego widza polem kultu Kleopatry jest legenda, która rozwinęła się wśród czarnoskórych Amerykanów. Za jej sprawą uznają oni starożytny Egipt za źródło czarnej dumy. I dlatego gwiazda rocka Diana Ross często wybierała do swych występów kostium Kleopatry. Nic to, że Kleopatra była faktycznie białą Greczynką...

I wreszcie egipska władczyni stała się ikoną dla feministek – wystawę kończy cały cykl wierszy przedstawiających władczynię jako ikonę dla kobiet walczących o swoje równouprawnienie.

Widz wychodzi z ekspozycji w Instytucie Świata Arabskiego pod wrażeniem ogromnej pracy, którą jej twórcy musieli włożyć w zgromadzenie takiego bogactwa eksponatów. Ale przecież tak atrakcyjny temat to istny samograj. Nie od wczoraj mieszanka orientalizmu, erotyzmu, polityki i historii sprzedaje się jak świeże bułeczki. A muzea historyczne muszą jednak jakoś przyciągać ludzi do siebie. Szczególnie w epoce smartfonów, gdy wielu ludziom wydaje się, że wszystko można doskonale przeżyć i poczuć na małym ekranie.

50 egipskich piastrów z podobizną Kleopatry. Moneta wyemitowana w 2007 r.

FOT. PL.UCOIN.NET

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa była czynna do 11 stycznia 2026 r.

eprasa.pl fc73704fe8

FOT. MARCIN SMULCZYŃSKI/REPORTER

Między USA i Polską / Życiopisanie Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm

Pasja i misja

eprasa.pl fc73704fe8

Krzysztof Masłoń

– Oczywiście, że jestem Polką, ale moja sytuacja osobista sprawia, że poniekąd czuję się ambasadorem spraw polskich w Ameryce i amerykańskich w Polsce – podkreślała pisarka

Jarosław Szarek, prezes IPN, wręcza Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm nagrodę Świadek Historii, 2019 r.

FOT. MARCIN OBARA/PAP

Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Nie dość, że senator Biden został zasypany listami, ale Rada Miejska w Wilmington i w kilku innych miastach, jak również izba ustawodawcza stanu Delaware uchwaliły wniosek radnego popierającego nasze postulaty. Informują mnie moi przyjaciele na Capitol Hill, że Biden być może poprze Roth-Liberman-Mikulska – wsparcie przyjęcia do NATO Polski, Czech i Węgier. Gdybyśmy mieli Aleksandrę Ziółkowską we wszystkich 50 stanach, byłbym spokojny o ratyfikację przyjęcia Polski do NATO. Niestety, pani senator Kay Bailey Hutchison z Teksasu jest jeszcze gorszym problemem. Może dałoby się także ją poddać masażowi jej wyborów" – ten list do Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm znajdziemy w „Polskiej drodze do NATO" Jana Nowaka-Jeziorańskiego, człowieka legendy, sławnego „Kuriera z Warszawy" czasu wojny, a po niej wieloletniego dyrektora Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.

Był rok 1997. Na wejście Polski do NATO musiało wyrazić zgodę wszystkie 50 stanów USA. Przeciwni byli późniejszy amerykański prezydent Joe Biden ze stanu Delaware i pani Hutchison z Teksasu. Zgodnie z życzeniem Jana Nowaka zostali „wymasowani", co było zasługą tyleż mieszkającej w Delaware polskiej pisarki, ile jej amerykańskiego męża, Normana Boehma, wielkiego przyjaciela Polski i Polaków. Wzruszające wspomnienie o nim znalazło się w najnowszej książce Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, wydanej kilka miesięcy temu przez Bellonę pt. „Ocean czułości". Traf chciał, że niemal dokładnie w tym samym czasie, w Narodowym Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown w Pensylwanii, prezydent RP, Karol Nawrocki, odznaczył autorkę Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej – „za upamiętnianie najnowszej historii Polski".

A zasługi te są ogromne. Dość przypomnieć tylko, że to jej starania wreszcie doprowadziły do wydania w Stanach Zjednoczonych słynnej „Bitwy o Monte Cassino" Melchiora Wańkowicza w tłumaczeniu prof. Charlesa S. Kraszewskiego. Oczywiście nie podołałaby temu wysiłkowi, gdyby nie ofiarność Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, które zasponsorowało przekład. To samo wydawnictwo Lexington Books już wcześniej opublikowało jej książkę „Melchior Wańkowicz. Poland's Master of the Written Word". Miała już dwa wydania, a dostępna jest w ponad 800 bibliotekach naukowych w całym świecie.

Mają swoje amerykańskie wersje także reportażowe książki Pani Aleksandry, w których pisała – jak mówiła w wywiadzie – „o konkretnych osobach, konkretnych rodzinach. Jak na przykład Kaja, bohaterka książki »Kaja od Radosława«, uczestniczka Powstania Warszawskiego, która opowiada o swoim dzieciństwie na Syberii i o tym, jak przez 54 lata przechowywała krzyż Virtuti Militari majora Henryka Dobrzańskiego. Piszę o hubalczyku, Romanie Rodziewiczu, który dzieciństwo spędził w Mandżurii, rodzinie Ewy Jaxa-Bąkowskiej, która straciła: dwór, ziemię, stadninę koni arabskich. Ojciec Ewy zamordowany został w Katyniu, także ojciec jej bliskiego kuzyna Janusza Krasickiego. O kolejach losów tych ludzi piszę w książkach »Dwór w Kraśnicy« i »Lepszy dzień nie przyszedł już«.

Podczas zbierania materiałów do książek moi bohaterowie stają mi się bliscy, potem nie tracę z nimi kontaktu. Nie da się bowiem po miesiącach rozmów powiedzieć ot, tak »do widzenia«. Oni mnie cenią, a ja ich. Nie pozywają mnie do sądu po wydrukowaniu książki, jak się czasami autorom zdarza. Bohaterka »Kai od Radosława« z wdzięczności zapisała mi… miejsce w grobie na Powązkach (czym trochę zdenerwowała moją mamę i męża)".

Jak trudno dzisiaj żyć

Wzruszają strony „Oceanu czułości" poświęcono matce pisarki. Do córki w Ameryce to polskie matczysko pisało: „Heniek mnie odwiózł. W sanatorium lekarz mnie badał. Przed powrotem do domu kupiłam po pół kilo łososia dla Henia i Krzysia [braci Aleksandry Ziółkowskiej – przyp. K.M.]. Kupiłam także tuńczyka i małże. Smutno mi było, że nie mogłam Tobie kupić". Mama Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm dopytywała się także, czy córka chce Amol, bo jeśli tak, to już kupuje i wysyła za wielką wodę.

A po śmierci swego męża, ojca Oleńki, w lutym 1991 r. życzy dużo

eprasa.pl fc73704fe8

błogosławieństw Bożych dla całej jej polsko-amerykańskiej rodziny, chwali zięcia i wnuka i tylko na koniec tak jakoś bezradnie radzi czy prosi:

Twój ojciec klękał przed krzyżem
Klęknij i Ty
i powiedz Chrystusowi
jak trudno dzisiaj żyć.

Mama Aleksandry Ziółkowskiej zmarła w 2009 r., w 2016 r. umarł Norman Boehm.

„Gdy sama wylatywałam do Polski – wspomina – telefonował każdego dnia, pytał, jak mijał mój dzień. Kiedyś zaczęłam mu wyliczać, co złego się dzieje: jeden znajomy ciężko chory, drugi ma zawodowe problemy, trzeciego syn zerwał stosunki z rodziną.

– A czy nie masz dla mnie dobrych wiadomości? – spytał ze smutkiem.

[…] Będąc żoną Amerykanina, przebywałam wśród jego przyjaciół i znajomych; używali nieznanych mi nazw, żartowali, coś omawiali… Musisz to kupić, pojechać do »Home Depot«, do »Walgreens, Sears, Acme«… Nic nie rozumiałam. Jaki Sears? – myślałam. Mówili skrótami, szybko. Kiedy podchodzili do mnie, wolnym głosem pytali, na przykład: Jak w Polsce? Podobno już można chodzić do kościoła?

Odpowiadałam: – Polska zawsze była krajem, gdzie ludzie tłumnie chodzili do kościoła. Kościołów nie zamykano.

Patrzono na mnie… nie rozumiejąc. Nie pojmowali, dlaczego zaprzeczam, a ja próbowałam opowiedzieć, wyjaśnić".

Czytelnik nie będzie rozumiał

Norman Boehm był protestantem prezbiterianinem, ale chodził z żoną do katolickiego kościoła. Ponad 20 lat spędził poza Stanami, pracując – po ukończeniu chemii i kursów prawniczych – dla naftowych koncernów w Arabii Saudyjskiej, Norwegii i Wielkiej Brytanii. Także Polska zaproponowała mu prowadzenie konsultacji, gdy nasz kraj miał sprowadzać ropę z Norwegii.

Był pilotem w US Navy, potem przez kilka lat latał swoim niedużym samolotem. Codziennie grał na pianinie, muzykę poważną – Chopina czy Czajkowskiego, a także jazz.

Miał pochodzenie szwedzko-niemieckie. Jego skandynawska babka była siostrą ojca sławnej aktorki Ingrid Bergman. O jej związkach z rodziną Boehmów Ziółkowska napisała książkę pt. „Ingrid Bergman prywatnie", zawierającą nieznane wcześniej listy artystki i jej fotografie. Z kolei inna jej książka – „Otwarta rana Ameryki" – wzięła się już z osobistych koneksji rodzinnych autorki. Stryjem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm był mianowicie rzeźbiarz Korczak Ziółkowski, który w skałach Dakoty Południowej rozpoczął rzeźbić wodza Siuksów Szalonego Konia. Kiedy autorka „Otwartej rany Ameryki" jako stypendystka Fulbrighta pojechała w 1985 r. do Rapid City, Korczak już nie żył. Zaprzyjaźniła się z jego żoną, zebrała materiały, poznała wielu Indian. Norman sekundował jej w pracy, zwiedzał z nią indiańskie rezerwaty, oboje zaangażowali się w problematykę amerykańskich Indian. W 2007 r. „Otwarta rana…" ukazała się w Polsce, dwa lata później w USA, a całkiem niedawno, po portugalsku, w Brazylii.

W opowiadającej o życiu Indian, bardzo im przyjaznej pracy jeden z rozdziałów poświęciła autorka żołnierzom, którzy w czasie drugiej wojny światowej używali swego narzecza do szyfrowania komunikatów wojennych. O jednym z nich, Franku Sanache z plemienia Meskwaki, napisał „Time" po jego śmierci w 2004 r. W życiorysie zmarłego podano, że jako wysłany do Tunezji żołnierz marines został schwytany przez Niemców i prawie 30 miesięcy spędził w „polskim obozie pracy".

Norman Boehm natychmiast wysłał do redakcji sprostowanie, pisząc, że Polacy nie mieli obozów pracy, natomiast na terenie Polski istniały niemieckie obozy.

Użył przy tym porównania z podobnie niemającą nic wspólnego z prawdą informacją, że „iraccy więźniowie są przetrzymywani w kubańskim więzieniu w zatoce Guantanamo". Tak samo reagował na inne, podobne wypadki, a po ukazaniu się w Ameryce kolejnej, po „Pokłosiu", książki Jana T. Grossa – „Fear: Anti-semitism in Poland after Auschwitz", gdy tamtejsze media znów podjęły nieprzychylną dla nas kampanię – Norman Boehm wystąpił w obronie wizerunku Polski. I tak kiedy Elie Wiesel stwierdził, że „antysemityzm przetrwał najbardziej w Polsce", Boehm napisał w „The New Journal", iż w Polsce „nie ma więcej antysemityzmu niż gdzie indziej", przypominając, że „Polska przyjmowała Żydów wtedy, gdy inne kraje europejskie ich wypędzały".

„Kiedy w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk na Rynku Starego Miasta – czytamy w »Oceanie czułości« – oglądaliśmy film o Warszawie zniszczonej po powstaniu w 1944 roku, poruszony niemal ze łzami powiedział: – Nie miałem pojęcia.

Czytał w maszynopisie angielskie tłumaczenia moich książek, znajdywał fragmenty, które sugerował, by poszerzyć: – Wspominasz, że w Polsce były powstania, napisz więcej, bo czytelnik nie będzie rozumiał.

Gdy pisałam »Untold Stories of Polish Heroes From World War II«, powiedział: – Pisz, przypominaj, bo w Ameryce ludzie o tym nie wiedzą, że tylko w Polsce pod okupacją niemiecką Niemcy wprowadzili karę śmierci dla całej rodziny lub grupy, która

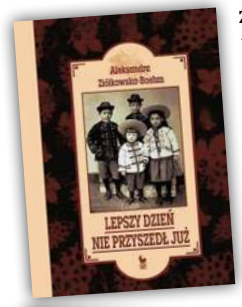

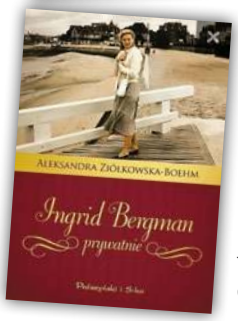

eprasa.pl fc73704fe8

pomagała Żydom. A także że kiedy zabito Niemca – w odpowiedzi rozstrzeliwano stu Polaków. Napisałam".

Waga prawości człowieka

Barbara Wachowicz tak charakteryzowała rodziców pisarki: „Ojciec – Henryk Ziółkowski herbu Korczak, Wielkopolanin, żołnierz 31. Pułku Strzelców Kaniowskich i działacz Obozu Wielkiej Polski, wierny miłośnik historii i literatury. Matka – Antonina z domu Laśkiewiczówna – marzyła (jak napisze Oleńka w swojej autobiografii »Ulica Żółwiego Strumienia«), żeby mieć córkę, »która by się dobrze uczyła, miała ciekawy zawód, interesujące życie i aby poznała świat«. Wszystkie te marzenia matczyne miały się spełnić. Oleńka podaje swoją listę wdzięczności. Co zawdzięcza? »Mamie – ducha pobożności i dobroczynności. Ojcu (którego pamięci zadedykowała «Drugą bitwę o Monte Cassino») – umiłowanie książek i wagę prawości człowieka. Braciom – poczucie bezpieczeństwa i to, że zawsze może na nich liczyć. Synowi Tomkowi – tkliwość i odpowiedzialność. Melchiorowi Wańkowiczowi – zainteresowanie światem i ważność pracy«".

Wpływ autora „Bitwy o Monte Cassino" zarówno na losy Aleksandry Ziółkowskiej, jak i jej twórczość był niezwykle znaczący: „Zapisał mi swoje archiwum – opowiadała. – Jestem mu ogromnie wdzięczna za udzielone zaufanie, a także za dedykację na drugim tomie »Karafki La Fontaine'a« z podziękowaniem, jak to określił, za »współpracownictwo«. Znałam pisarza tylko 2 lata i 3 miesiące, ale był to ważny okres. Wywarł duży wpływ na moje spojrzenie i tematykę książek, które piszę".

A tych wańkowiczowskich książek jest jej w dorobku cała masa, bo wyliczę tylko te tytuły: „Blisko Wańkowicza", „Na tropach Wańkowicza", „Na tropach Wańkowicza po latach", „Proces Melchiora Wańkowicza", „Wokół Wańkowicza", „Melchior Wańkowicz – przypominany". Uff. Opublikowała także korespondencję Melchiora Wańkowicza i jego żony Zofii, jak również listy Wańkowicza i Miłosza, a zredagowała m.in. 16-tomową edycję „Dzieł Melchiora Wańkowicza". O esejach i artykułach poświęconych autorowi „Na tropach Smętka" nawet nie wspomnę, bo tekst ten nigdy by się nie skończył. A w końcu najważniejsze jest to, co kiedyś tak ujęła: „Nie ma piękniejszej książki o Kresach jak »Szczenięce lata«. Bohaterstwa żołnierza polskiego nic nie pokazuje lepiej od »Hubalczyków« i »Bitwy o Monte Cassino«. I nie ma bardziej wzruszającej książki o domu, o rodzinie – niż »Ziele na kraterze«".

Przesłanie Isaaca B. Singera

Jest Aleksandra Ziółkowska-Boehm arcypolska, mocno osadzona w polszczyźnie, a także już amerykańska. Od 1990 r. mieszka przecież w Stanach Zjednoczonych, w Wilmington. Kiedy na początku naszej znajomości spytałem ją, czy bardziej czuje się Amerykanką czy Polką, obruszyła się, potem jednak wyjaśniła cierpliwie:

> Wpływ Melchiora Wańkowicza **zarówno na losy Aleksandry Ziółkowskiej, jak i jej twórczość** był niezwykle znaczący

„– Oczywiście, że jestem Polką, ale moja sytuacja osobista sprawia, że poniekąd czuję się ambasadorem spraw polskich w Ameryce i amerykańskich w Polsce. Na szczęście nie jest już tak jak 12–14 lat temu, gdy na okrągło musiałam tłumaczyć Polskę i tłumaczyć się z Polski. Szlag mnie trafiał, gdy w spotkaniach towarzyskich zawsze w którymś momencie ktoś uprzejmie zwracał się do mnie, pytając – koniecznie bardzo wolno: »A co w Polsce?«. No bo o czym ze mną rozmawiać? To już jednak zamierzchła przeszłość i teraz ode mnie można się dowiedzieć o tym, co ważnego dzieje się w Ameryce. I to Ameryki coraz częściej zdarza mi się bronić przed Polakami".

O tym, że tak właśnie było, przekonać się można z opublikowanej w 2003 r. książki „Nie minęło nic prócz lat", korespondencji Aleksandry Ziółkowskiej z Szymonem Kobylińskim, świetnym rysownikiem i – jak można się przekonać – stanowczo niedocenionym pisarzem.

Urodziła się w Łodzi, tam też ukończyła studia w 1973 r. Pięć lat później obroniła doktorat na Uniwersytecie Warszawskim. Na kolejne stypendia wyjeżdżała do Oxfordu, Toronto, Waszyngtonu i Nowego Jorku. Aż osiadła za wielką wodą, regularnie odwiedzając Polskę i przymierzając się do ostatecznego powrotu do ojczyzny.

Czym dla niej było i jest pisarstwo? „Moją pasją i rodzajem swoistej misji, gdy przywołuję naszą bolesną polską historię – mówiła w wywiadzie u dzielonym nowojorskiemu »Nowemu Dziennikowi« w 2020 r. – Wskazania, które mogę dać młodym adeptom sztuki pisarskiej, by cenili swoje pasje, by nad nimi czuwali, by się nie zniechęcali… Pozwolę sobie przytoczyć rady, które mi udzielił Isaac B. Singer w Nowym Jorku we wrześniu 1985 roku, gdy byłam stypendystką Fulbrighta. W czasie spotkania zadałam pisarzowi pytanie: Jakie ma przesłanie dla młodych pisarzy? Zacytuję fragment z autoryzowanej wypowiedzi Singera:

» – Jakie mam przesłanie dla pisarzy? Aby spełniali trzy warunki. Po pierwsze, aby mieli historię do opowiedzenia. W obecnej literaturze coraz bardziej się to zaniedbuje. Ważne jest, aby historia ta miała swój początek, rozwinięcie i zakończenie. Wskazania Arystotelesa możemy zmienić, ale wciąż ważne jest, by była to opowieść dobrze prowadzona przez piszącego. Zapał, gorliwość, pragnienie druku kazały pisarzom zapomnieć, że opisywanie ludzkich zdarzeń jest artystycznym przesłaniem pisarstwa.

Po drugie, aby posiąść potrzebę opowiedzenia tej właśnie, a nie innej historii. Kiedyś miałem dobry temat, ale nie miałem pasji i dlatego nic nie napisałem.

Po trzecie, musi to być moja opowieść, przekonanie, że nikt inny nie może tego tak dobrze opisać jak ja. Nie jest łatwo mieć takie przekonanie. Tylko wielcy to posiadają. Trzeba pisać o tym, co się zna, wie najlepiej, własną opowieść, własny temat«".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Ruiny pałacu królewskiego w Ugarit

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HAUBI GERHARD HAUBOLD

Książka miesiąca / Źródła kultury Europy

Zachodni amalgamat

Przywykliśmy myśleć, że to Zachód ukształtował znany nam świat. Wpływy zachodniej kultury, opartej na grecko-rzymskim fundamencie wzmocnionym myślą chrześcijańską, wciąż zdają się zresztą być mocne na naszym globie, choć nie da się ukryć, że słabną. Dlatego tak zwraca uwagę tytuł tej książki. „Ale jak to »świat stworzył Zachód«?" – zakrzyknie ktoś przyzwyczajony do tradycyjnego spojrzenia na korzenie naszej cywilizacji – greckie, rzymskie i chrześcijańskie. Taką właśnie „nieortodoksyjną" opowieść o procesie tworzenia Zachodu proponuje nam prof. Josephine Quinn, wykładowczyni historii klasycznej z University of Cambridge.

„Poprzednicy Greków i Rzymian mogą być ciekawi – a nawet godni podziwu – ale nie są »nasi«. Wszelkie ich dokonania zostały usunięte w cień przez wkład Grecji i Rzymu, którym przypisuje się wszystko, co dobre: od filozofii i demokracji po teatr i beton – pisze autorka. – Sąsiedzi Greków i Rzymian są kompletnie ignorowani, podobnie jak późniejsze kontakty między zachodnimi Europejczykami a ludami żyjącymi na północ, południe i wschód od nich".

Nic dziwnego, że takie spojrzenie na historię Zachodu zachwyciło liberalno-lewicową prasę. Ale jednak taka ocena pracy prof. Quinn („Radykalnie nowa historia starożytnego świata, która rzuca wyzwanie współczesnemu szowinizmowi" – to akurat cytat z brytyjskiego „Guardiana") wydaje się przesadą. Chyba mało kto w kręgu cywilizacji zachodniej twierdzi, że nasza kultura wyrosła zupełnie sama z siebie, izolowana od sąsiadów, nie absorbując absolutnie żadnych elementów od „obcych". Że wszystko jest od początku do końca wymyślone przez nas. Zresztą nie wydaje się, żeby sama prof. Quinn chciała tu kompletnie wywracać proporcje, bo przecież nie twierdzi, że Zachód tak naprawdę został stworzony przez Wschód.

Autorka zwraca uwagę, że Rzymianie i Grecy z różnych innych – bliższych i dalszych – kultur czerpali elementy, z których lepili własne kultury. I tak pod kątem prawnym i literackim patrzyli na Mezopotamię, w rzeźbiarstwie inspirowali się Egiptem, a w bardzo ważnej kwestii technicznej – metodach nawadniania pól – absorbowali wiedzę opracowaną w Asyrii. Bardzo interesująco wygląda też sprawa naszego łacińskiego alfabetu, który wyewoluował z alfabetu greckiego, a ten z kolei oparty był na wzorcach stworzonych w Lewancie. Ciekawie prezentuje się pod tym względem rozdział pt. „Miasto alfabet" na temat leżącego w Lewancie Ugarit.

„Pismo ugaryckie było pierwszym alfabetem opracowanym pod egidą państwa – pisze autorka. – Zaangażowanie w ten proces formalnie wykształconych skrybów i urzędników miejskich może tłumaczyć niektóre z bardziej nowatorskich aspektów alfabetu ugaryckiego […]. Nowy system pisma łączył lewantyński alfabet z mezopotamską techniką [zapisywanie klinami – przyp. red.], tworząc nowe narzędzie lokalnej wymiany myśli".

W tej książce znajdziemy mnóstwo ciekawych opowieści o kontaktach Europy z ościennymi ludami (prof. Quinn prowadzi narrację – w niektórych miejscach iście po reportersku – przez niemal cztery millennia) i procesach, które doprowadziły do stworzenia amalgamatu, który dziś nazywamy Zachodem.

Jak twierdzi, długie lata badań przekonały ją, że narracja skupiona wyłącznie na Grecji i Rzymie zubaża rozumienie korzeni Zachodu. „Prawdziwa historia tego, co dziś nazywamy Zachodem, jest znacznie szersza i bardziej interesująca" – pisze Quinn. Można oczywiście polemizować z autorką na temat proporcji „składników", które stworzyły Zachód, ale warto poznać jej opowieści o krzyżujących się i podpatrujących się nawzajem kulturach. ©℗

Piotr Włoczyk

JOSEPHINE QUINN
„JAK ŚWIAT STWORZYŁ ZACHÓD. CZTERY TYSIĄCE LAT HISTORII"
REBIS

eprasa.pl fc73704fe8

Wołyń w oczach dzieci

Uciekaliśmy przed tymi, z którymi od dziesiątków lat żyliśmy w sąsiedzkiej zgodzie, wspólnie obchodziliśmy święta katolickie i prawosławne. Ojciec do końca życia nie mógł zrozumieć, jak w takich zwyrodnialców mogli zmienić się ci, którym się na co dzień pomagało" – opowiadał Jan Wernik, który jest jednym z pięciorga bohaterów książki. Wówczas, w 1943 r., podczas masowego zabijania Polaków na Wołyniu przez ukraińskich sąsiadów i nacjonalistów z UPA, mieli od 3 do 12 lat. Na zawsze pozostała im trauma po tym, czego doświadczyli i czego dowiedzieli się od bliskich. Należą do ostatnich już świadków ludobójczej zbrodni. W tych pięciu opowieściach, spisanych przez Monikę Odrobińską, zawierają się wszystkie elementy dramatu polskich mieszkańców Wołynia: niepewność, lęk, a także nadzieja, że nic złego się nie może wydarzyć, krzyk mordowanych, płacz ocalałych, ucieczka i wygnanie. W tok opowieści wplecione są historie baz polskiej samoobrony w Zasmykach i Starej Hucie, napadu UPA na Janową Dolinę oraz Kisielin i kolejnej zbrodni – w Niemilii.

Ukrainiec o imieniu Griszka, rówieśnik harcerki Hanki Misiewicz, podczas napadu, rozebrawszy ją, powiedział, że jest piękna i on się też w niej kocha, lecz jest Laszką (Polką), więc musi zginąć jak Laszka. „Rozrąbał jej ciało toporkiem, głowę prześwidrował na wskroś, a gdy wciąż charczała, podciął jej gardło" – opowiadała Józefa Marciniak z domu Felińska o zbrodni w Niemilii. Przy czym to nie jest najbardziej drastyczny opis w tej książce...

Ciężko jest wracać do miejsc kojarzących się z tragedią, lecz czasami wewnętrzny przymus staje się silniejszy. Genowefa Ziółkowska z domu Paszkowska pojechała po 59 latach do Frankopola. Wzięła ze sobą krzyż, na którym widniały nazwiska jej zamordowanych matki, siostry, ojca, brata oraz ciotki, by postawić go na mogile. Ona sama, wtedy 11-latka, cudem przeżyła z 18 ranami kłutymi.

W Janowej Dolinie, przy wielkich awanturach ze strony współczesnych ukraińskich nacjonalistów, udało się postawić wysoki bazaltowy krzyż ku czci kilkuset zamordowanych przez UPA Polaków. Jednak miejsce, w którym spoczywa ciało Hanki Misiewicz i 130 ofiar masakry w Niemilii, to tylko porośnięty trawą kopczyk – dwa krzyże postawione na miejscu tragedii zostały zniszczone. ©℗

Tomasz Stańczyk

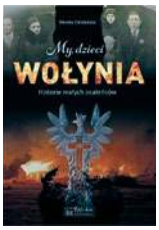

MONIKA ODROBIŃSKA
„MY, DZIECI WOŁYNIA. HISTORIE MAŁYCH OCALEŃCÓW"
KSIĘŻY MŁYN

Do końca na posterunku

Choć tytuł sugeruje co innego, to nie jest to biografia sensu stricto. Dzięki temu powstała ciekawa opowieść o dramatycznych losach niezłomnego żołnierza – por. Aleksandra Wolskiego „Sokoła", „Jastrzębia", naniesiona na szerokie tło działalności Zgrupowania Stołpeckiego AK. Porucznik Wolski robił wszystko, by Nowogródczyzna pozostała przy Polsce. Pełniąc funkcję zastępcy dowódcy zgrupowania – por. Adolfa Pilcha „Góry", „Doliny" – bił się do końca, starając się wyrwać z niemiecko-sowieckich kleszczy. ©℗

(p.w.)

ANDRZEJ BŁAŻEWICZ, KRZYSZTOF BŁAŻEWICZ
„NIEZŁOMNY ŻOŁNIERZ GINĄCEJ RZECZYPOSPOLITEJ"
DEMART

Polski podbój Syberii

Nie ma chyba Polaka, który słysząc słowo „Syberia", nie kojarzy go z katorgą i łagrami. Koper nie niuansuje ani nie zaprzecza, że tereny na wschód od Uralu, które potocznie nazywamy Sybirem, są miejscem, w którym rozegrała się tragedia setek tysięcy polskich zesłańców. Zwraca natomiast uwagę na często pomijany fakt: Polacy, dzięki swemu uporowi i pracowitości, osiągali sukcesy nawet w tak nieludzkich warunkach. Byli zdobywcami, badaczami, realizowali pasje, nie tracili ducha, marząc, że kiedyś wrócą jeszcze do Polski.

Poza tym – jak przypomina autor – Syberia dla Polaków to nie tylko przymusowe zsyłki. Ilu z nas zna nazwisko Adama Szydłowskiego, założyciela miasta Harbin w Mandżurii? Ilu wie, że Nikołaj Przewalski, odkrywca pasm górskich, jezior oraz gatunku konia nazwanego koniem Przewalskiego, powinien być nazywany raczej Mikołajem, gdyż całe życie odwoływał się do swych polskich korzeni? Kto z nas wie, że przez krótki czas korespondencję między Chinami a państewkiem Jaxa powstałym nad Amurem prowadzono w języku polskim, a jego twórcą był Polak, Nicefor Czernichowski? To zaczątek tylko niektórych fascynujących opowieści o naszych rodakach, którzy w pewnym momencie życia, z różnych powodów, znaleźli się na Syberii. Koper zebrał w swojej książce poszczególne historie rozproszone w różnych opracowaniach. ©℗

Anna Szczepańska

SŁAWOMIR KOPER,
„SYBERIA PO POLSKU"
FRONDA

eprasa.pl fc73704fe8

/ Felieton

Rafał A. Ziemkiewicz

Polskie glicze

To sytuacja rzadko spotykana w historii innych narodów, a w naszej powtarzająca się nagminnie – mam wrażenie, że właśnie znowu mamy z nią do czynienia, stąd ten felieton. Postawieni w sytuacji wyboru między złymi rozwiązaniami (szachiści nazywają taką sytuację „zugzwang") polscy liderzy po prostu odmawiają podjęcia jakiejkolwiek decyzji. Nie wypalił plan A? Planu B nie będzie, nie będzie też improwizacji. Po prostu ma być tak, jak powinno być. Nie przyjmujemy do wiadomości, że nie jest. Nie zgadzamy się na to.

Nie ma na to w polszczyźnie dobrego słowa, dlatego spolszczam angielskie „glitch". Bezruch, zamarcie, zawieszenie się (w sensie komputerowym). Najlepiej mi znanym gliczem jest to, co robił Józef Beck między końcem roku 1938 a kwietniem 1939 r. Oto cała jego polityka się rozpadła. Stało się jasne, że Hitler nie da się użyć do realizacji polskiej mocarstwowości, nie da się go, jak to się roiło Beckowi, kontrolować i w odpowiedniej chwili, gdy za bardzo się w destrukcji ładu wersalskiego zapędzi, zatrzymać jego roszczenia. Rozbezczelnił się, żądał już nie tylko Gdańska i „korytarza" przez Pomorze, co ma wymiar raczej symboliczny niż praktyczny, lecz także upokarzającego dla Warszawy przystąpienia do paktu antykominternowskiego, czyli podporządkowania swojej polityki Berlinowi. I widać, że od tego nie odstąpi.

W tej sytuacji miał Beck dwie możliwości. Pierwsza: przyznać się przed pozostałymi triumwirami do klęski i zacząć przygotowania do wojny. Zażądać od Kwiatkowskiego natychmiastowego odejścia od polityki „zero deficytu budżetowego", uruchomić na 100 proc. produkcję we wszystkich polskich fabrykach, zakupić za granicą niezbędne myśliwce, posadzić sztab do opracowania planu „Z", wszystko to, co (poza punktem pierwszym) zaczęto robić dopiero w połowie 1939 r. Albo, możliwość druga, zaakceptować żądania Hitlera i liczyć na to, że kiedy ten zaatakuje Francję i wyszczerbi sobie zęby na Linii Maginota, jakoś się z tego niechcianego sojuszu wykręcimy.

/ Cztery miesiące Polska leżała w dryfie, aż Anglicy popchnęli nas do wojny swoimi „gwarancjami", których Beck uczepił się jak głupi

Jak wiemy, nie zrobił nic. Nawet nie poinformował Rydza i Mościckiego, co się święci. Cztery miesiące Polska leżała w dryfie, aż Anglicy popchnęli nas do wojny swoimi „gwarancjami", których Beck uczepił się jak głupi w przekonaniu, że zyskując „sojusz, którego Wielka Brytania nie oferowała nikomu od czasu Napoleona", zapobiegł wojnie.

Inny glicz, jeszcze bardziej bolesny, to sprawa Katynia. Przecież Sikorski i cała emigracyjna wierchuszka wiedzieli, co się stało z jeńcami z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa. A Churchill i Roosevelt wiedzieli, że Polacy wiedzą. Ich bezczynność, zakaz poruszania tej sprawy w polskim wojsku, nawet w prywatnych rozmowach, odbierali jako polityczny rozsądek: to nie moment, by tę sprawę dostrzegać, sojusz z ZSRS jest kluczowy dla zwycięstwa. Kiedy Niemcy rozkopali katyńskie groby, alianci byli pewni, że Polacy będą konsekwentni: ogłoszą, że to na pewno zbrodnia i prowokacja hitlerowców, i odłożą sprawę, jeśli nie ad acta, to na później.

Tymczasem polskie milczenie nie było polityką – było gliczem. Zamiast zachować się, wedle zachodnich pojęć, racjonalnie, Sikorski zażądał… międzynarodowego śledztwa. Jak by nie było wszystkim doskonale wiadomo, co ono wykaże! W ten sposób podpisał na siebie i na sprawę polską w tej wojnie wyrok śmierci.

Bo skutki popadnięcia w glicz niestety zawsze są fatalne… ©℗

eprasa.pl fc73704fe8

/ Felieton

Piotr Semka

Dlaczego Heine nie lubił polowań?

Bebelplatz w centrum Berlina to miejsce, w którym w 1933 r. hitlerowcy urządzili wielkie, demonstracyjne palenie książek. Tylko najbardziej uważni turyści zwrócą uwagę na niewielką tablicę wmurowaną tu w bruk. To cytat ze sztuki „Almansor" (1821) niemieckiego poety Heinricha Heinego, która dzieje się w hiszpańskiej Grenadzie w 1492 r. W jednym z jej aktów naoczny świadek opowiada o paleniu egzemplarzy Koranu na grenadyjskim rynku. Jeden z bohaterów reaguje na tę opowieść posępną uwagą: „To jest tylko preludium. Gdziekolwiek palą książki, w końcu zaczną palić też ludzi". To zdanie, napisane 112 lat przed wygraną Hitlera, uznaje się za proroctwo zbrodni nazizmu. Ale mało kto wie, że Heine swoje lęki zawarł też w innym dziele. W cyklu „Obrazy z podróży", w zapiskach z północnej wyspy Norderney, którą Heine odwiedził w 1825 r., znajdujemy inny poruszający cytat:

„Polowanie na wybrzeżu posiada podobno też wiele uroku. Co do mnie nie pociąga mnie zbytnio [...]. Moi przodkowie nie należeli jednak do polujących, ale raczej do zwierzyny, na którą się poluje, i kiedy mam strzelać do potomstwa ich byłych kolegów, krew burzy się we mnie przeciwko temu. Bo wiem z doświadczenia, że na znak sekundanta o wiele łatwiej przyszło mi wypalić do myśliwego, który życzy sobie powrotu czasów, gdy również na ludzi urządzano wielkie łowy".

Parę zdań później Heine opowiada o widowisku, którego był świadkiem dwa lata wcześniej w niemieckiej Getyndze. Oto kilku studiujących tam hanowerskich junkrów zaoferowało pewnemu człowiekowi trochę pieniędzy za to, by… biegał. Heine wspomina: „Człowiek ten pobiegł, był w czerwonym kaftanie i śmiertelnie blady, tuż za nim galopowali, wzbijając tumany kurzu, dobrze odżywieni, szlachetni młodzieńcy na wysokich rumakach, których kopyta uderzały niekiedy pędzonego, dyszącego człowieka. A był to człowiek…".

Polskiemu czytelnikowi w naturalny sposób musi nasunąć się ponura myśl. Czy potomkowie tamtych hanowerskich arystokratów w czasie ostatniej wojny nie urządzali sobie polowania na ludzi w polskich, białoruskich czy jugosłowiańskich lasach?

Te dwa cytaty pokazują, jak głęboko tkwiły w psychice poety genetyczne wspomnienia związane z jego żydowskim pochodzeniem. Całe jego życie pokazuje, jak tragiczny był los ludzi rozdartych między żydowską tożsamością a pokusą włączenia się w niemieckie społeczeństwo. Ten urodzony w Düsseldorfie syn żydowskiego kupca miał przejąć interes po ojcu. Zamiast tego interesował się jednak głównie literaturą i poezją. Założony przez niego w Hamburgu sklep szybko zbankrutował, gdyż młody Heine wolał pisać wiersze, niż studiować księgi przychodów i rozchodów.

Nie pomogła też rada jego wuja Salomona, który wysłał go na studia prawnicze, aby uzyskał dostęp do dobrej posady, co w państwie pruskim było zastrzeżone wyłącznie dla chrześcijan. Przyjął zatem chrzest i formalnie został ewangelikiem. Ten gwałt na sumieniu spowodował trwałą traumę. Z jednej strony wyparł się swego żydowskiego pochodzenia i potrafił bardzo dotkliwie kpić z Żydów, szczególnie tych ortodoksyjnych, ale z drugiej strony w jego utworach wiele jest złośliwości również na temat chrześcijaństwa. A że pióro miał ostre i bezlitosne, takie wycieczki były zauważane i dobrze zapamiętywane.

Jednak nie był to jedyny przykład jego rozdwojenia. Gdy odwiedził Polskę (a konkretnie Wielkopolskę) latem 1822 r., z dużą zjadliwością pisał o „polskim Żydzie w brudnym swym chałacie, z zaludnioną robactwem brodą z odorem czosnku i szwargotem".

Jednocześnie tłumaczył, że jest w stanie zrozumieć jego sytuację z powodu warunków, w jakich ludność żydowska musiała żyć na terenie Polski. Taki był straszny los Heinego. Pod koniec życia, gdy był już trawiony poważnymi chorobami, żyjąc na wygnaniu w Paryżu, mawiał o sobie, że jest potrójnie wyobcowany: „Jestem Żydem wśród Niemców, Niemcem wśród Francuzów i chorym wśród zdrowych". Takie rozdwojenie jaźni było w XX-wiecznej Europie udziałem setek tysięcy ludzi o żydowskich korzeniach. Zbyt często o tym zapominamy. ©℗

eprasa.pl fc73704fe8

Bronisław Kamiński (stoi bokiem) i Heinz Reinefarth podczas powstania warszawskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FORUM.AXISHISTORY.COM

Druga wojna światowa / Rosjanie na żołdzie Hitlera

Szumowiny Kamińskiego

Arkadiusz Karbowiak

Żołnierze Bronisława Kamińskiego okazali się zgrają degeneratów, których nawet Niemcy mieli dość w swoich szeregach. Pełnię swojego okrucieństwa ci Rosjanie w służbie III Rzeszy pokazali w trakcie powstania warszawskiego

Gdy 4 października 1941 r. do miejscowości Łokot wkroczyły pododdziały 17. Dywizji Pancernej gen. Hansa Jürgena von Arnima, mało kto mógł przewidywać, że w ciągu kilku miesięcy miasteczko stanie się centrum tzw. Republiki Łokockiej. Był to swoisty fenomen funkcjonujący w niemieckim systemie okupacyjnym na zajętych obszarach ZSRS. Główną rolę w procesie tworzenia tej struktury odegrali dwaj mężczyźni o podobnych biografiach.

Pierwszym z nich był Konstantin Woskobojnik, nauczyciel fizyki w miejscowej szkole, mianowany burmistrzem Łokotu. Woskobojnik w wieku 23 lat wstąpił ochotniczo do Armii Czerwonej i walczył w jej szeregach dwa lata podczas wojny domowej w Rosji. Jednak dość szybko jego probolszewicka optyka uległa zmianie, przez co stał się socjalrewolucjonistą i wziął udział w powstaniach chłopskich, stłumionych bezwzględnie przez bolszewickie władze. Woskobojnikowi udało się przeżyć, a dzięki fałszywym dokumentom pozostał nierozpoznany. Jednak po 10 latach postanowił ujawnić przed organami bezpieczeństwa swoją przeszłość. Co ciekawe, nie stanął przed sądem, ale został w trybie administracyjnym zesłany na okres trzech lat do obwodu nowosybirskiego. Po odbyciu kary, nie mogąc zamieszkać w żadnym dużym mieście, trafił do Łokotu. Poznał tam Bronisława Kamińskiego, którego po wkroczeniu Niemców w 1941 r. mianował swoim zastępcą.

Kamiński był z pochodzenia Polakiem. Jego ojciec, Franciszek, pojął za żonę Ewę Zabłocką urodzoną w Rydze, a pochodzącą z mieszanej rodziny polsko-niemieckiej (jej matka była Niemką). Uważający się za Rosjanina Kamiński jako student w 1918 r. wstąpił zarówno do Armii Czerwonej, jak i do partii bolszewickiej. Po zakończeniu wojny zrezygnował ze służby wojskowej, skończył studia i został inżynierem chemikiem. Ponieważ krytykował kolektywizację, został usunięty z partii i zesłany do Szadrinska w rejonie kurgańskim. Gdy okres kary minął, osiedlił się w Łokocie. W tym czasie Kamiński został też tajnym współpracownikiem NKWD o kryptonimie Ultramaryna. Podpisanie zobowiązania do współpracy nastąpiło zapewne pod

eprasa.pl fc73704fe8

przymusem, ponieważ – jak wynika z dokumentów – nie wypełniał on należycie swych agenturalnych obowiązków, co skrzętnie odnotowali funkcjonariusze sowieckiej bezpieki.

Bronisław Kamiński (z prawej) i niemiecki generał Werner von Gilsa

FOT. COMMONS WIKIPEDIA, FORUM.AXISHISTORY.COM

Egzekutorka

Kamiński wraz Woskobojnikiem od początku okupacji stanowili bardzo ambitny kolaboracyjny duet. Kierowane przez nich struktury zaczęły się rozwijać we wsiach i w miasteczkach znajdujących się w pobliżu Łokotu. Na nowo otwierali placówki oświatowe, służbę zdrowia, administrację i zakłady pracy. Te posunięcia miały pomóc ustabilizować sytuację w rejonie brasowskim oraz stworzyć ludziom poczucie normalności i bezpieczeństwa. Sowieccy partyzanci postanowili przeciwdziałać temu, rozumiejąc, że kolaboranci stanowią poważne zagrożenie z uwagi na możliwość przeciągnięcia na swoją stronę większości społeczeństwa. W związku z tym przystąpili do atakowania miejscowości, gdzie znajdowały się ich struktury władzy.

W nocy z 7 na 8 stycznia 1942 r. oddział partyzancki Aleksandra Saburowa zaatakował Łokot. W czasie walk ciężko raniony został Konstanty Woskobojnik, co skończyło się jego śmiercią. Wydarzenie to otworzyło Bronisławowi Kamińskiemu drogę do objęcia funkcji burmistrza. Nowy włodarz wzmocnił przede wszystkim siły milicji ludowej, których liczebność w marcu wynosiła już 1650 ludzi. Ta wielkość nie była jednak w stanie zrekompensować systematycznego wzrostu liczebności oddziałów partyzanckich. Dokonywały one ataków na garnizony kamińców (jak nazywano milicjantów Kamińskiego) oraz na linie kolejowe wykorzystywane przez Wehrmacht. Pierwsze akcje nierzadko miały bezlitosny charakter. W Tarasówce partyzanci zabili co najmniej 115 osób – nie tylko funkcjonariuszy policji czy administracji, lecz także członków ich rodzin. Odbicie Tarasówki oraz drugiej wsi Szemiakino, gdzie ulokowali się partyzanci, kosztowało milicję ludową 30 zabitych i rannych. Ujęty dowódca partyzancki Cziczerin został skazany przez sąd polowy na śmierć przez odrąbanie głowy szablą.

Coraz większą liczbę wziętych do niewoli partyzantów stawiano przed obliczem wojskowej Temidy, która wydawała na nich wyroki śmierci. Wykonywała je Antonina Makarowa, strzelając do skazańców z karabinu maszynowego. Szacuje się, że egzekutorka uśmierciła w ten sposób ok. 1,5 tys. osób, w tym 168 zidentyfikowanych z imienia i nazwiska. Makarowa opuściła Łokot i koleje losu zawiodły ją aż do obozu koncentracyjnego pod Królewcem. Zanim tam trafiła, leczyła w niemieckim szpitalu wojskowym chorobę weneryczną, po czym nawiązała romans z podoficerem Wehrmachtu. Dzięki skradzionej legitymacji sanitariuszki dostała się do sowieckiego szpitala wojskowego i tam poznała sowieckiego żołnierza, sierżanta Wiktora Ginzburga. Wyszła za niego i zmieniła nazwisko. Przez 30 lat poszukiwano jej na terenie ZSRS. Ostatecznie została aresztowana w latach 70. W 1978 r. sąd w Briańsku skazał ją na karę śmierci. Antonina Ginzburg została rozstrzelana 11 sierpnia 1979 r.

Bronisław Kamiński

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Wojna partyzancka rozpoczęta przez Sowietów na zapleczu frontu uświadomiła dowódcom obszaru tyłowego 2. Armii Pancernej konieczność wzmocnienia jednostek kamińców regularnymi oddziałami wojskowymi. Dlatego na obszarze działania Korück 532 (Obszar Tyłowy, którego dowódcą był gen. Friedrich Bernhard) pojawiły się dwie węgierskie dywizje lekkie – 102. i 108., wsparte mniej licznymi oddziałami niemieckimi. Przystąpiły one do pacyfikacji miejscowości uważanych za partyzanckie mateczniki. We wsi Pawłowicze Węgrzy wraz z podwładnymi Kamińskiego spalili 40 osób, a kolejne 60 zastrzelili. W rejonie Siewska Madziarzy tylko w ciągu 20 dni kwietnia 1942 r. zabili w kilku wsiach 420 osób. Machina niemiecko-węgierskich akcji pacyfikacyjnych wchodziła na coraz wyższe obroty, wciągając do operacji pacyfikacyjnych i antypartyzanckich coraz więcej oddziałów. Chcąc zmniejszyć własne zaangażowanie i równocześnie przerzucić większość kosztów takich akcji na barki Rosjan, 19 lipca 1942 r. dowódca 2. Armii Pancernej, gen. Rudolf Schmidt, podpisał dokument o utworzeniu Autonomicznego Okręgu Łokockiego. W jego skład wchodziły m.in. rejony brasowski, nawliński, komariczowski, suziemski, siewski, michałjowski i dmitrowski. Zamieszkiwało go w sumie 581 tys. ludzi.

Niemcy liczyli na to, że rozwój struktur kolaboracyjnych przyczyni się do

eprasa.pl fc73704fe8

Bronisław Kamiński i oficerowie niemieckiej policji na ziemiach białoruskich, 1944 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

odciągnięcia dużej części ludności od popierania partyzantów, ograniczy konieczność stacjonowania tak wielu oddziałów tyłowych i generalnie zaoszczędzi niemiecką krew. Szybko się okazało, że była to wizja mało realistyczna, ponieważ działalność dużych oddziałów partyzanckich zmuszała Niemców do korzystania z jednostek własnych lub węgierskich. Milicjantów Kamińskiego kierowano do zadań pomocniczych często w charakterze przewodników lub zwiadowców.

Okrucieństwo jednostek prowadzących operacje antypartyzanckie oraz pogarszająca się sytuacja Niemców na froncie wschodnim skutkowały coraz poważniejszymi konsekwencjami wewnętrznymi. W kolaboranckich szeregach zaczęły powstawać jaczejki probolszewickie, próbujące doprowadzić do masowej dezercji milicjantów i zasilenia w ten sposób partyzanckich szeregów. Do takich struktur można zaliczyć liczącą 150 ludzi sieć konspiracyjną kierowaną przez Nikołaja Wasiljewa, którą jednak udało się rozbić Kamińskiemu. Abwehrgruppe 107 udaremniła z kolei zamachy jego życia.

Bestialstwo ronowców

Oddziałom Kamińskiego w listopadzie 1942 r. nadano nazwę Rosyjska Ludowa Armia Wyzwoleńcza (w skrócie RONA). 16 stycznia 1943 r. jednostki tej formacji liczyły 9828 żołnierzy, zgrupowanych w pięciu pułkach i 14 batalionach. Rzucono je do dużych akcji antypartyzanckich, jak choćby przeprowadzona w maju 1943 r. operacja „Baron Cygański". Wcześniej, w marcu 1943 r., zaangażowano je do prób zatrzymania ofensywy oddziałów Armii Czerwonej. Nie sposób było stwierdzić, że ronowcy sprawdzili się we frontowych zmaganiach.

Tymczasem po niepowodzeniu niemieckiej operacji „Zitadelle" 12 lipca 1943 r. Sowieci rozpoczęli na odcinku orelskim operację „Kutuzow". W obliczu zagrożenia zajęcia obszaru Republiki Łokockiej kamińcy wraz ze swym przywódcą zmuszeni byli opuścić jej obszar. 26 sierpnia 1943 r. kawalkada wozów licząca 10–12 tys. ludzi (żołnierzom towarzyszyły ich rodziny) wyjechała z okręgu, by osiedlić się w okolicach miasteczka Lepel na Białorusi, gdzie grasowały liczne zagony sowieckiej partyzantki. Ewakuacja z ziemi łokockiej pogorszyła nastroje wśród kamińców; RONA była trapiona plagą dezercji. Tylko we wrześniu uciekło 500 żołnierzy, a w październiku ponad 800. W sumie stany kadrowe zostały uszczuplone z tego powodu o ok. 1,8 tys. żołnierzy. Wielu uznało, że to ostatni moment, kiedy można zmienić stronę i uratować się przed odwetem. Wiara, że ronowcy całkowicie utracili ducha walki, okazała się jednak dla Sowietów złudna, co potwierdziła przeprowadzona przez nich w dniach 20–21 października 1943 r. nieudana – jak się okazało – próba zdobycia Lepela.

W lutym 1944 r. ronowcy przemieścili się do Diatłowa na Nowogródczyźnie. Włączono ich tam do Kampfgruppe Gottberg realizującej duże operacje antypartyzanckie „Frühlingsfest" (Święto Wiosny") i „Kormoran". W tej pierwszej zginęło 7011 partyzantów (zdobyto 1065 sztuk broni), a podczas drugiej 7697 (zdobyto 325 sztuk broni). Stosunek zabitych partyzantów do ilości przejętej broni wyraźnie wskazywał na eksterminacyjny charakter obu ekspedycji.

W lipcu po wycofaniu RONA z Białorusi SS-Reichsführer Heinrich Himmler postanowił otworzyć przed Rosjanami drzwi do Waffen-SS. W ten sposób powstała SS-Sturmbrigade RONA, która miała być zaczątkiem 29. Dywizji Grenadierów SS RONA. Bronisław Kamiński awansowany został na stopień Waffen-Brigadeführera. Tymczasem tuż po jego spotkaniu z Himmlerem w Warszawie wybuchło powstanie. SS-Reichsführer, nie posiadając sił, które mogłyby je stłumić, starał się ściągnąć do polskiej stolicy wszelkie możliwe jednostki. Z brygady szturmowej wybrano 1700-osobowy pułk zbiorczy pod wodzą Waffen-Sturmbannführera Iwana Frołowa i rzucono go do walk w mieście.

Rosjanie przybyli do Warszawy 3–4 sierpnia i podporządkowano ich Kampfgruppe/Einsatzgruppe Reinefarth; Kamińskiego wyznaczono na dowódcę Grupy Uderzeniowej „Południe" (choć pułkiem dowodził Frołow). 5 sierpnia 1944 r. rosyjscy esesmani rozpoczęli natarcie na dzielnicę Ochotę, bronioną przez nieliczne oddziały AK. Początkowo walki rozgorzały o tzw. Redutę Kaliską, gdzie głównym punktem oporu był budynek Monopolu Tytoniowego. Rosjanie nie mogli sobie poradzić z AK-owcami. Ponoszone straty i związaną z nimi frustrację rekompensowali sobie egzekucjami warszawskich cywili. W szeregach żołnierzy RONA uwidoczniły się wszystkie patologie sięgające okresu stacjonowania w Republice Łokockiej. Tyle że skłonnościom do grabieży zaczęła towarzyszyć chęć gwałcenia i mordowania. Makabryczną sławą zaczął się cieszyć utworzony na targowisku obóz dla cywilnych uchodźców, tzw. Zieleniak, położony przy ulicy Grójeckiej. Nocami pijani żołnierze Frołowa wyciągali z obozu kobiety, po czym dokonywali na nich zbiorowych gwałtów, nierzadko je potem mordując.

Prowadzone w żółwim tempie natarcia ronowców koncentrowały się nie tyle na realizacji wyznaczonych zadań bojowych, ile na grabieży. Popełniane niejako przy okazji zbrodnie nosiły bardziej charakter kryminalny, a nie były wynikiem (jak w przypadku Woli) wykonywania rozkazów eksterminacyjnych. W zdobytym 5 sierpnia 1944 r. Instytucie Radowym Rosjanie zamordowali w sumie 30 osób, a kolejne 50 zabili

eprasa.pl fc73704fe8

w okolicach „Zieleniaka". Do masowej egzekucji doszło po upadku tzw. Reduty Wawelskiej (11 sierpnia 1944 r.), której bronił oddział por. Jerzego Gołembiewskiego „Stacha". Na ulicy Mianowskiego 15 zamordowano ok. 80 AK-owców i cywilów, w tym ks. Jana Salamuchę. W sumie ronowcy dokonali w Warszawie zbrodni w ok. 700 miejscach.

Kula dla Kamińskiego

12 sierpnia żołnierze RONA przerzuceni zostali na Plac Starynkiewicza. Za cenę poważnych strat udało im się tam zdobyć gmach Dyrekcji Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji przy Placu Starynkiewicza 5 oraz Dom Turystyczny przy Alejach Jerozolimskich, a także gmach Wojskowego Instytutu Geograficznego. Rosjanie zajęli również kampus Politechniki Warszawskiej, a także zdobyli niebroniony Szpital Dzieciątka Jezus. 17 sierpnia podporządkowano ich grupie uderzeniowej gen. Günthera Rohra. W gronie niemieckich dowódców obserwujących działania pułku zaczęła narastać irytacja z powodu niskiej wartości bojowej Rosjan połączonej ze skłonnościami do rabowania. Czarę goryczy przelało zgwałcenie dwóch (według innej wersji trzech) Niemek z narodowosocjalistycznej organizacji turystycznej Kraft durch Freude (Siła przez Radość). Postanowiono zatem przenieść ronowców z Warszawy do Puszczy Kampinoskiej, gdzie mieli oni uczestniczyć w blokadzie miasta i walczyć z partyzantami.

Bataliony RONA rozlokowano w kilku miejscowościach, m.in. w Sierkowie (II batalion) czy Zaborowie-Lecznicy (III batalion). Gdy 19 sierpnia pułk opuścił stolicę, w podróż służbową „z pełnymi kuframi", jak zapisano w meldunku 9. Armii, udał się Waffen-Brigadeführer Bronisław Kamiński. Nie cieszył się on dobrą opinią u SS-Obergruppenführera Ericha von dem Bacha, dowódcy tłumiącej powstanie Korpsgruppe. Opór Kamińskiego wobec żądań powstrzymania grabieży skłonił von dem Bacha do skazania Waffen-Brigadeführera na śmierć. Kamiński, jak wynika z zapisków w dzienniku von dem Bacha, został aresztowany, osądzony i stracony 28 sierpnia w Łodzi (kwestia jego daty śmierci jest dyskusyjna), prawdopodobnie przez ludzi z SS-Sonderkommando SS-Hauptsturmführera Hansa Botmanna.

Niemcy zdawali sobie sprawę z konsekwencji, jakie mogłyby wywołać w jednostce wieści o zabiciu Kamińskiego – groziło to masowym buntem. Dlatego rozpuścili plotkę o jego śmierci w zasadzce partyzantów. Wiadomość ta i tak sprawiła, że morale w jednostce spadło, choć ronowcy na terenie Puszczy Kampinoskiej dość skutecznie radzili sobie z oddziałami Grupy AK Kampinos.

Oddział RONA podczas powstania warszawskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PLUS.ROZHLAS.CZ

Najbardziej znanym starciem była bitwa, do której doszło w nocy z 2 na 3 września we wsi Truskaw. Osiemdziesięcioosobowy oddział AK zaatakował wówczas stacjonujący w tej miejscowości III batalion RONA. Według danych AK miało tam zginąć od 91 do 250 ronowców, a efektem ataku miał być istny pogrom batalionu RONA. W rzeczywistości straty rosyjskie wyniosły 10 zabitych i sześciu rannych. Podobnie wyglądały straty AK-owców – 10 zabitych i 10 rannych. Trudno zatem mówić w tym wypadku o spektakularnej klęsce Rosjan.

W połowie września 1944 r. ronowcy zostali dyslokowani w okolice Raciborza, gdzie przebywała reszta żołnierzy z ich jednostki. Na stanowisko dowódcy dywizji wyznaczony został początkowo SS-Brigadefürher Christoph Diehm, a po nim SS-Gruppenführer Heinrich Jurs. Ostatecznie Niemcy uznali, że taka dywizja nie jest im jednak potrzebna, i rozwiązali ją; numer 29 przejęła włoska dywizja „Italia". Ronowcy ostatecznie trafili na poligon Münsingen, gdzie włączono ich do 600. Dywizji Piechoty Wehrmachtu, czyli 1. Dywizji Piechoty KONR (Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji – jego twórcą był gen. Andriej Własow).

W kwietniu 1945 r. w składzie tej jednostki uczestniczyli w walkach z Sowietami nad Odrą, a następnie na początku maja trafili do Pragi. W stolicy Protektoratu Czech i Moraw stanęli do walki po stronie czeskich powstańców, czym w głównej mierze przyczynili się do uratowania powstania przed upadkiem. 7 maja własowcy opuścili miasto.

Po wojnie ronowcy podzielili los innych żołnierzy armii gen. Własowa – Amerykanie wydali ich w ręce bolszewików. Żołnierze trafili do łagrów, a dowódcy stanęli przed sowieckimi trybunałami wojennymi. Jednym z nich był Iwan Frołow, dowódca pułku zbiorczego, który został skazany na karę śmierci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Kowtun I., Żukow D., ***„29. Dywizja Grenadierów SS »Kaminski«"****; Kuberski H.,* ***„Klęska RONA, której nie było"****, „Rzeczpospolita"; Грибков И.,* ***„Хозяин Брянских лесов. Бронислав Каминский"****, „Русская освободительная народная армия и Локотское окружное самоуправление"; Жуков И., Ковтун Д.,* ***„ФЕНОМЕН ЛОКОТСКОЙ РЕСПУБЛИКИ – Альтернатива советской власти?"****.*

eprasa.pl fc73704fe8

Fabryka Opon Rowerowych i Samochodowych „Stomil" w Starołęce, lata 30. XX w. FOT. NAC

Elastyczny przemysł / Nie tylko opony i gumki

Kauczukowe eldorado

Tymoteusz Pawłowski

Ogromne zapotrzebowanie na ten surowiec sprawiło, że Manaus – miasto w środku Amazonii – było swego czasu największym skupiskiem milionerów na świecie

Kauczuk – zarówno słowo, jak i materiał – pochodzi z Ameryki Południowej, a do Polski (i Europy) przybył dzięki Francuzom. Kauczuk to po prostu rodzaj gumy, ale w znaczeniu oryginalnym, czyli łacińsko-starogreckim. Łacińska „gumma" oznacza bowiem żywicę, a kauczuk jest właśnie żywicą drzewa kauczukowego.

Na te produkty roślinne nie zwraca się zwykle większej uwagi, pomimo ich ciągłej i nieprzerwanej obecności w życiu człowieka czy nawet szerzej: ludzkości. Mirra i kadzidło – dwa z trzech królewskich darów – to właśnie wonne żywice, podobnie jak inne balsamy, czyli żywice drzew balsamowych. Takimi samymi surowcami (choć w postaci stałej) są również bursztyn, szelak, kalafonia i lak: bursztynu nie trzeba tu przedstawiać, szelak służył do wytwarzania płyt gramofonowych, kalafonia zwiększała przyczepność posmarowanych nią powierzchni (m.in. muzycznych smyczków czy dłoni sportsmenów), a lakiem pieczętowało się listy i dokumenty.

Żywice służą również jako używki. Haszysz i opium to wysuszone żywice – a raczej soki mleczne – z kwiatostanów konopi indyjskich oraz z makówek. Nawet niektóre sałaty, także rosnące w naszym klimacie, zapewniają spokój i niewielką euforię. Całkiem legalną żywiczną używką są gumy do żucia, używane od tysiącleci na wszystkich kontynentach: w naszych okolicach szczególnie ceniony był mastyks – nie tylko zapewniający wrażenia smakowe, lecz także mający działanie przeciwbakteryjne. Nowoczesne gumy do żucia pojawiły się w XIX w., a większość oferowanych dzisiaj w sklepach oparta jest nie na żywicach naturalnych, tylko na syntetycznych, z dodatkami substancji smakowych i barwników.

Milionerzy z Manaus

W XVIII w. Francja wysłała misję naukową do Ameryki Południowej, aby zbadać, czy Ziemia jest idealną kulą czy też może jest nieco spłaszczona na biegunach, a wydęta na równiku. Wyniki nie były jednoznaczne, ale jeden z geografów – Charles Marie de La Condamine – w 1736 r. wysłał do Akademii Królewskiej próbki żywicy z lokalnego drzewa. Miejscowi Indianie z pogranicza dzisiejszego Ekwadoru i Brazylii nazywali tę żywicę „cahuchu", co zeuropeizowano na „kauczuk". Stopniowo odkrywano coraz to inne zastosowanie dla kauczuku: można było wycierać nim ślady ołówka, nadawał się do produkcji podwiązek i szelek, wykonywano z niego odbijające się piłki, a także przeciwdeszczowe płaszcze, które w pierwszej połowie XIX w. zaprezentował szkocki chemik i przedsiębiorca z branży tekstylnej, Charles Macintosh.

Kauczuk starano się również wykorzystać do produkcji opon, ale – przynaj-

eprasa.pl fc73704fe8

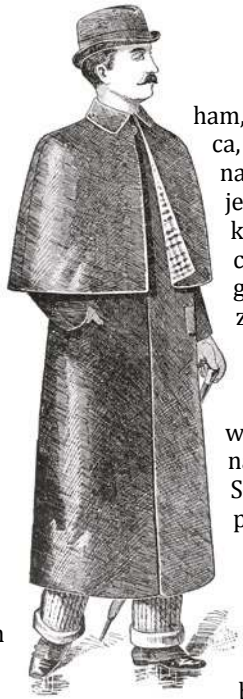

Płaszcz przeciwdeszczowy z kauczuku, koniec XIX w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

mniej początkowo – bez skutku. Materiał ten był bowiem wrażliwy na wysoką temperaturę i w czasie upałów zamieniał się w galaretę. Problem rozwiązano dopiero w latach 40. XIX stulecia, traktując rozgrzany kauczuk gorącą siarką. W grudniu 1843 r. opatentował to w Anglii Thomas Hanckock, a w styczniu 1844 r. w Stanach Zjednoczonych to samo zrobił Charles Goodyear. Wiele lat spierano się, komu przysługuje pierwszeństwo – a zatem i pieniądze – ale kwestii tej nie rozstrzygnięto jednoznacznie. Procesowi nadano jednak nazwę utworzoną przez Brytyjczyków: wulkanizacja.

Kauczukowiec rósł w dorzeczu Amazonki, będącej pod administracją Brazylii. W drugiej połowie XIX w. kraj ten zarabiał na eksporcie surowca olbrzymie pieniądze, a na mniejszą skalę kauczuk pozyskiwały również Kolumbia, Wenezuela, Boliwia i Peru, mające dostęp do dopływów Amazonki. Kauczukowe prosperity przyczyniło się do kolonizowania tego regionu, a Manaus – miasto w środku Amazonii – było swego czasu największym skupiskiem milionerów na świecie. Szczególnie pożądany kauczuk stał się po 1885 r., gdy świat ogarnęło „szaleństwo rowerowe": każdy chciał mieć swoje „dwa kółka", a każdy rower musiał mieć kauczukowe opony. Przez długi czas opony były zresztą jasne, niemal białe, taki jest bowiem naturalny kolor kauczuku. Czarne stały się dopiero po pierwszej wojnie światowej, gdy zaczęto barwić je sadzą.

Brazylijski kauczuk przestał przynosić pieniądze nieco wcześniej, ok. 1910 r. Jeszcze w 1876 r. – a więc zanim kauczukowy boom rozpoczął się na dobre – brytyjski szpieg przemysłowy, Henry Wickham, wykradł 70 tys. nasion kauczukowca, które stały się podstawą plantacji na Cejlonie i Malajach. Zaczęły one jednak przynosić plony dopiero po kilkudziesięciu latach, a wówczas cena kauczuku znacznie zmalała. Co gorsza, drzewa kauczukowe zostały zaatakowane przez mikroskopijnego grzyba, który występował tylko w dorzeczu Amazonii. Dziś najwięcej kauczuku pozyskuje się w Azji (Tajlandia, Indonezja, Wietnam) i w Afryce (Wybrzeże Kości Słoniowej), a Brazylia wypadła poza pierwszą dziesiątkę producentów.

Guma z retorty

Zapotrzebowanie na kauczuk było coraz większe, szczególnie gdy okazało się, jak ważny jest ten surowiec dla przemysłu obronnego. Szukano zatem nowych metod pozyskiwania go, początkowo eksperymentując z nowymi roślinami kauczukodajnymi. Na Malajach rosło drzewo gutaperkowe, a pozyskiwana z niego żywica – gutaperka – przypominała nieco twardy kauczuk. Do dziś stosuje się ją do produkcji piłeczek golfowych czy wypełnień dentystycznych. Kauczuk można było pozyskiwać z figowców, a nawet z doniczkowych fikusów; w USA podczas wojen światowych uprawiano krzak zwany gwajulą. Kauczuk można pozyskiwać nawet z mleczy doskonale znanych z trawników i łąk. W polskich mniszkach lekarskich kauczuku jest tyle, co kot napłakał, ale już pochodzący z Kirgistanu mniszek kok-sagiz zawiera go tyle, że opłaca się go uprawiać. Kauczuk z mniszka kok-sagiz pozyskiwali Rosjanie za czasów Stalina i podzielili się technologią ze swoimi niemieckimi sojusznikami, którzy uprawiali tę roślinę w okupowanej Polsce.

Szykujący się do rewanżu za klęskę w pierwszej wojnie światowej Rosjanie oraz Niemcy byli w praktyce odcięci od globalnego rynku kauczuku i dlatego to im najbardziej zależało na znalezieniu naturalnej lub syntetycznej alternatywy. Kauczuk syntetyczny wynaleziono zatem i w Niemczech, i w Rosji, ale – jak to często bywa z niemieckimi i rosyjskimi wynalazkami – niezbyt się sprawdzał w praktyce. Inaczej wyglądały sprawy u Amerykanów, którzy w 1930 r. zaczęli wytwarzać materiał zwany dziś neoprenem. Nawiasem mówiąc, większość „gumowego" wyposażenia naszych domów to elementy neoprenowe. Polakom również udało się opracować technologię produkcji kauczuku syntetycznego ze spirytusu – uczynił to Wacław Szukiewicz – a jego produkcję rozpoczęto w specjalnie zbudowanej w Dębicy fabryce Stomilu.

Podobną technologię opracowali w tym czasie Rosjanie i przekazali ją firmie Bayer, będącej wówczas częścią holdingu IG Farben. Niemcy swój produkt nazwali BuNa, („Bu" od „butadien" oraz „Na" oznaczającego sód). Gdy rozpoczęli wojnę, co odcięło ich od źródeł naturalnego kauczuku, zaczęli pospiesznie stawiać fabryki Buny – jedną z nich postanowili zbudować nieopodal obozu koncentracyjnego w Auschwitz.

Gdy wojna się skończyła, świat wrócił do kauczuku naturalnego. Ale już w latach 60. XX w. więcej produkowano kauczuku syntetycznego, wytwarzanego z ropy naftowej. Taka technologia jest mniej zależna od warunków atmosferycznych, chorób i szkodników, pozwala również nadać produktom pożądane cechy.

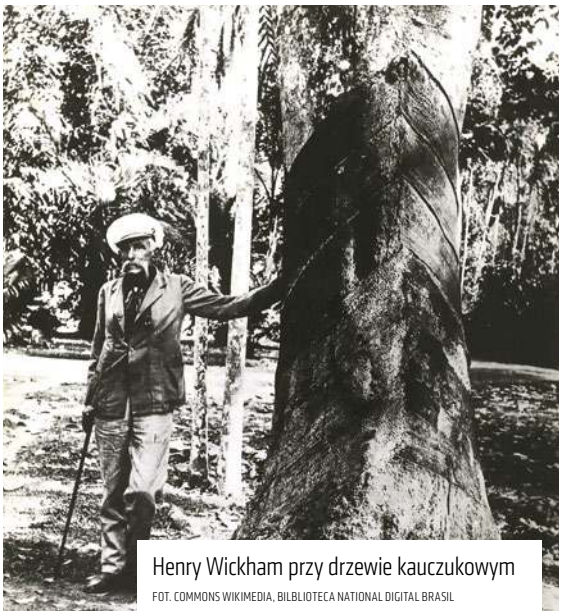

Henry Wickham przy drzewie kauczukowym

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BILBLIOTECA NATIONAL DIGITAL BRASIL

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

7 października 2023 r. / Tajemnice izraelskiej armii

Bojownik Hamasu ze schwytanym uczestnikiem festiwalu Nova

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TIMES OF ISRAEL

Doktryna Hannibala

Piotr Zychowicz

Hamas dokonał straszliwego i zbrodniczego ataku na Izrael. Niektóre ofiary zginęły jednak z rąk… Izraelczyków

7 października 2023 r. Był to najczarniejszy dzień w historii Izraela. Rano tego dnia rozpoczął się największy i najbardziej krwawy atak Hamasu na państwo żydowskie. Bojownicy islamskiej organizacji zaatakowali jednocześnie z ziemi, powietrza i lądu.

Pod osłoną zmroku Palestyńczykom udało się przedostać do płotu odgradzającego Izrael od Strefy Gazy. Na nic zdały się supernowoczesne systemy: czujniki ruchu, kamery i pułapki. Bariera została przerwana w 120 miejscach.

Na teren Izraela wdarły się komanda bojowników uzbrojone w broń maszynową i granatniki. Na motocyklach, w furgonetkach i pick-upach błyskawicznie przeniknęli głęboko na terytorium Izraela. Część hamasowców przyleciała do Izraela na paralotniach, a część wylądowała na plażach, korzystając z motorówek.

W sumie w inwazji wzięło udział 3,8 tys. bojowników. Działali metodycznie, według drobiazgowego planu. Izraelskie bazy i posterunki wojskowe położone wzdłuż granicy z Gazą zostały zaatakowane z marszu. Wyrwani ze snu żołnierze byli zszokowani i zdezorientowani błyskawicznym uderzeniem. Część stawiła opór, ale wielu zginęło lub zostało wziętych do niewoli w piżamach.

Hamas w czasie operacji „Potop Al-Aksy" zabił 379 żołnierzy, policjantów i funkcjonariuszy izraelskich służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo. Wielu wziął do niewoli. Zniszczył wiele baz i posterunków. Opanował terytorium większe niż Strefa Gazy. Upokorzył znienawidzonego wroga.

Gdyby na tym zakończyła się cała operacja, można by ją uznać za modelowy przykład udanego rajdu bojowego. Palestyńczycy perfekcyjnie wykorzystali element zaskoczenia. Działali szybko i agresywnie.

Obnażyli słabość przeciwnika.

Niestety, atak miał drugie oblicze. Zbrodnicze i przerażające. Otóż tereny południowego Izraela stały się areną wielkiej masakry Żydów. Pogromu na kolosalną skalę. Palestyńscy bojownicy wdzierali się do prywatnych domów i mordowali cywilów. Zabijali przypadkowych ludzi napotkanych na ulicach, ostrzeliwali samochody. Nie oszczędzali nikogo. Ich ofiarą padały kobiety i dzieci.

Była to prawdziwa orgia krwawego, ślepego terroru. Polowanie na ludzi. Część schwytanych Izraelczyków była okrutnie dręczona i bita.

Na młodzieżowym festiwalu Nova, który trwał tuż przy granicy, zginęły 364 osoby, w przytłaczającej większości bardzo młode. W sumie tego dnia zginęło 725 cywilnych obywateli Izraela oraz 71 obcokrajowców. Był to najbardziej krwawy dzień w historii narodu żydowskiego od czasu Holokaustu.

Większość ofiar zabili Palestyńczycy. Ale nie wszystkie. Część Izraelczyków zginęła z rąk… Izraelczyków. Były to przypadki, które Amerykanie nazywają „friendly fire". Te tragiczne incydenty należy podzielić na dwie kategorie – zabójstwa przypadkowe i popełnione z premedytacją. Zacznijmy od tych pierwszych.

Gilad Szalit

7 października sytuacja była niezwykle chaotyczna. Wydarzenia rozgrywały się błyskawicznie. Hamasowcy byli wszędzie. Ludzie biegali na wszystkie strony po ulicach i drogach. Szalały pożary, zewsząd niosły się odgłosy strzałów. Trudno było rozpoznać, kto jest terrorystą, a kto cywilem. Szczególnie z powie-

eprasa.pl fc73704fe8

trza lub z dużej odległości. W tej sytuacji niektórzy izraelscy żołnierze, policjanci i strażnicy strzelali do własnych rodaków, myśląc, że celują do Palestyńczyków.

Zdarza się to na każdej wojnie i nikt by się im nie dziwił. Niestety, wygląda na to, że niektóre strzały zostały oddane z premedytacją. Mowa o tzw. doktrynie Hannibala. Jest to nieformalna zasada izraelskiej armii, która zaleca użycie wszelkich dostępnych środków w celu uniemożliwienia porwania izraelskiego żołnierza. Razem ze środkiem ostatecznym – pozbawieniem go życia.

Założenie jest proste. Uprowadzony Izraelczyk staje się niezwykle groźną bronią w rękach wroga. Arabowie mogą od niego wydobyć cenne informacje, ale przede wszystkim mogą upokorzyć Izrael i zmusić go do ustępstw. Wystarczy wspomnieć, że w 2011 r. za uwolnienie przez Hamas szeregowego Gilada Szalita Izraelczycy musieli uwolnić tysiąc palestyńskich więźniów.

Według izraelskiej prasy doktryna Hannibala została zastosowana również 7 października 2023 r. Mało tego, po raz pierwszy w historii została rozszerzona na cywilów. Wskazywanych jest co najmniej kilka przykładów. Najpoważniejszym z nich było strzelanie do samochodów z zakładnikami. Izraelscy oficerowie mieli wydać rozkaz zniszczenia wszystkich pojazdów uciekających z Izraela do Strefy Gazy.

W efekcie izraelscy żołnierze atakowali wszystkie samochody, które dostrzegli. Drogi do Gazy usiane były podziurawionymi, wypalonymi wrakami pełnymi zwęglonych ciał. W części z tych pojazdów znajdowali się Palestyńczycy wywożący zrabowane łupy, ale część z nich służyła do transportu porwanych Izraelczyków.

– Doszło do użycia doktryny Hannibala na masową skalę – przyznał w rozmowie z izraelską gazetą „Haarec" były oficer lotnictwa płk Nof Erez.

Ostrzał prowadzili m.in. piloci 28 śmigłowców AH-64 Apache. Po akcji powiedzieli, że wystrzelali całą amunicję. Załogi śmigłowców ostrzelały ok. 300 celów. Dopiero gdy emocje opadły, zaczęły nieco staranniej dobierać cele.

Do samochodów strzelano także z dział, dronów i czołgów. Kapitan wojsk pancernych, Bar Zonszajn, w rozmowie z Kanałem 13 potwierdził, że zastosował zasadę Hannibala na drodze przy kibucu Kissufim, mniej więcej 2 km od Strefy Gazy. W pewnym momencie dostrzegł na drodze dwa pick-upy marki Toyota. Na ich skrzyniach ładunkowych widać było stojących uzbrojonych terrorystów, a pod ich stopami stosy ciał. Izraelski kapitan nie był pewien, czy są to trupy czy żywi zakładnicy. Mimo to rozkazał otworzyć ogień do pikapów.

– Zdecydowałem, że to właściwa decyzja, że lepiej powstrzymać uprowadzenie, niż dopuścić do ich porwania – powiedział kapitan.

Czołgiem w dom

Kolejna tragedia, która wstrząsnęła izraelską opinią publiczną, rozegrała się w kibucu Be'eri. Była to miejscowość najbardziej dotknięta atakiem Hamasu. Zginęło tam ponad 100 mieszkańców, a 32 zostało uprowadzonych.

Do kibucu wdarło się kilkuset bojowników Hamasu. Chodzili od domu do domu i zasypywali mieszkańców gradem kul. W jednym z domów kula przeszła przez drzwi i zabiła 10-miesięczne dziecko, które matka trzymała na rękach. Za terrorystami do Be'eri wlał się tłum mieszkańców Gazy, który zabrał się do metodycznego łupienia kibucu.

Komando terrorystów uprowadziło 15 izraelskich cywilów i zabarykadowało się z nimi w domu należącym do Pesiego Cohena. Gdy na miejsce przybyło izraelskie wojsko, rozpoczęło się oblężenie. Mimo że terroryści chcieli negocjować, Izraelczycy kontynuowali ostrzał. Kule wpadały przez okna i drzwi.

Żołnierze strzelali w budynek z karabinów maszynowych i granatników, a także z… czołgowej armaty. W teorii pociski miały uderzać przed budynek i w jego rogi, aby „wywrzeć presję na terrorystów". W praktyce jeden z nich zabił zakładnika Adiego Dagana i zranił jego żonę Hadas Dagan.

Wynik całej operacji był opłakany. Palestyńscy napastnicy zostali zastrzeleni, ale w wymianie ognia zginęli również niemal wszyscy zakładnicy. Ilu spośród nich zabiły kule wystrzelone przez Izraelczyków? Nie wiadomo.

Izraelska armia nie ma sobie nic do zarzucenia i zapewnia, że wszystko odbyło się zgodnie z procedurami. Bliscy ofiar mają w tej sprawie inne zdanie.

Ilu spośród Izraelczyków zabitych 7 października zginęło z rąk rodaków? Do tej pory nikt nie potrafił na to pytanie odpowiedzieć. Obrońcy praw człowieka oskarżają władze Izraela o systematyczne niszczenie materiału dowodowego: burzenie budynków, w których doszło do strzelaniny, zakopywanie wypalonych wraków samochodów.

Stosowanie doktryny Hannibala wywołuje w Izraelu olbrzymie kontrowersje. Ale jest to tylko jedno z pytań, które opinia publiczna stawia w sprawie tragedii z 7 października 2023 r. Kolejne dotyczą zdumiewających zaniechań rządu, armii i służb specjalnych.

Jak to się w ogóle stało, że Hamasowi udało się uśpić czujność Izraelczyków i dokonać tak straszliwego zamachu? Gdzie było wojsko? Gdzie były Mosad i Szin Bet? Dlaczego nie wykryto przygotowań? Dlaczego granica nie była broniona? Dlaczego odsiecz przyszła tak późno? Do dziś opinia publiczna w Izraelu nie doczekała się satysfakcjonujących odpowiedzi na te pytania.

Budynek w kibucu Be'eri po napaści Hamasu i akcji żołnierzy izraelskich FOT. ZEEV STEIN/PIKIWIKI.ORG.IL

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fc73704fe8

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

PO ŚMIERCI W 1439 ROKU KRÓLA CZECH I WĘGIER – ALBRECHTA HABSBURGA, PANOWIE WĘGIERSCY POSTANOWILI WŁADZĘ POWIERZYĆ PIĘTNASTOLETNIEMU WÓWCZAS KRÓLOWI POLSKIEMU – WŁADYSŁAWOWI III.

POTRZEBUJEMY POLSKICH WOJSK, ŻEBY OBRONIĆ SIĘ PRZED TURKAMI.

UREGULUJEMY TEŻ PRZY OKAZJI Z POLSKĄ SPRAWĘ SPORNYCH TERYTORIÓW.

POLAKOM TEŻ TO SIĘ OPŁACA, WIĘC NIE POWINNO BYĆ OPORÓW ZE STRONY OLEŚNICKIEGO I SZLACHTY.

WŁADYSŁAW III ZOSTAŁ KORONOWANY NA KRÓLA WĘGIER 17 LIPCA 1440 ROKU. W 1442 ROKU MUSIAŁ SIĘ MIERZYĆ Z NAJAZDAMI TURECKIMI, KTÓRE UDAŁO SIĘ POWSTRZYMAĆ WYBITNEMU DOWÓDCY JANOWI HUNYADIEMU. W 1443 ROKU SEJM WĘGIERSKI WEZWAŁ CHRZEŚCIJAŃSKIE NARODY DO WYPRAWY PRZECIWKO TURKOM, UZYSKUJĄC POPARCIE PAPIEŻA EUGENIUSZA IV DLA KRUCJATY. PODCZAS KOLEJNEGO SEJMU WYSŁUCHANO ŚWIADKÓW TURECKIEGO OKRUCIEŃSTWA.

BŁAGAM WAS – POWSTRZYMAJCIE TO OKRUCIEŃSTWO! MOI SYNOWIE... WIECIE, CO Z NIMI ZROBILI? WYŁUPILI IM OCZY I...

ZAKLINAM CIĘ KRÓLU I WAS WSZYSTKICH TU ZGROMADZONYCH – POMŚCIJCIE MYCH SYNÓW! POMŚCIJCIE WSZYSTKICH CHRZEŚCIJAN, KTÓRZY DOZNALI KRZYWD! POWSTRZYMAJCIE TURKÓW, BO JEŚLI TU DOTRĄ, ZROBIĄ TO SAMO WASZYM DZIECIOM!

NIESTETY WSPARCIE ZE STRONY RYCERSTWA ZACHODNIEGO BYŁO NIEWIELKIE. UDAŁO SIĘ ZGROMADZIĆ OKOŁO 25 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY Z PLANOWANYCH 100. MIMO TO WYPRAWA Z 1443 ROKU ZAKOŃCZYŁA SIĘ LICZNYMI WYGRANYMI BITWAMI, PO KTÓRYCH W LUTYM 1444 ROKU WŁADYSŁAW POWRÓCIŁ DO BUDY JAKO ZWYCIĘZCA, A SUŁTAN MURAD II ZDECYDOWAŁ SIĘ NA ROKOWANIA.

WĘGRZY SĄ MOCNIEJSI, NIŻ SĄDZIŁEM... NIE DAM RADY TERAZ ICH POKONAĆ, GDY MUSZĘ MIERZYĆ SIĘ Z TYLOMA INNYMI PROBLEMAMI... CIĄGŁE BUNTY PROWINCJI I SPISKI... Z TYM SIĘ MUSZĘ NAJPIERW UPORAĆ.

DLATEGO 12 CZERWCA 1444 ROKU W ADRIANOPOLU PODPISANO TRAKTAT, A 1 SIERPNIA ZATWIERDZIŁ GO KRÓL WŁADYSŁAW. JEDNAK JUŻ KILKA DNI PÓŹNIEJ, GDY PRZYBYŁ LEGAT PAPIESKI...

NAJJAŚNIEJSZY PANIE, PRZYNOSZĘ WIEŚCI, ŻE POŁĄCZONA FLOTYLLA WOJSK BURGUNDZKICH, WENECKICH I PAPIESKICH ZMIERZA W KIERUNKU DARDANELI. JEŚLI WESPRZESZ SIŁY CHRZEŚCIJAŃSKIE, POKONAMY TURKÓW. PAPIEŻ GOTÓW JEST STWIERDZIĆ NIEWAŻNOŚĆ TRAKTATU Z SUŁTANEM...

WŁADYSŁAW III WYRUSZYŁ NA CZELE OKOŁO 20-TYSIĘCZNEJ ARMII. DO DECYDUJĄCEJ BITWY Z KILKUKROTNIE LICZNIEJSZYMI SIŁAMI TURECKIMI DOSZŁO NAD MORZEM CZARNYM W POBLIŻU MIASTA WARNA. POCZĄTKOWY PRZEBIEG BITWY BYŁ KORZYSTNY DLA WOJSK WĘGIERSKICH, BO UDAŁO SIĘ ROZBIĆ TURECKĄ CIĘŻKĄ JAZDĘ I ZMUSIĆ PRZECIWNIKA DO WYCOFANIA SIĘ. WIDZĄC TO JAN HUNYADI WYDAŁ ROZKAZ PRZEGRUPOWANIA, ABY WYPROWADZIĆ DECYDUJĄCE UDERZENIE, JEDNAK NIE CZEKAJĄC NA TO KRÓL WŁADYSŁAW NA CZELE SWEJ CHORĄGWI RUSZYŁ DO ATAKU. NIE MIAŁ JEDNAK SZANS ZE SKRYTYMI ZA UMOCNIENIAMI JANCZARAMI.

HUNYADI ZDOŁAŁ OPANOWAĆ PANIKĘ, KTÓRA WKRADŁA SIĘ W SZEREGI PO ŚMIERCI WŁADYSŁAWA.

NIE PRZYSZLIŚMY TU WALCZYĆ DLA KRÓLA, LECZ ZA WIARĘ!

HUNYADI PODJĄŁ PRÓBĘ ODBICIA CIAŁA WŁADCY, ALE OKAZAŁA SIĘ NIEUDANA. KORZYSTAJĄC Z ZAPADAJĄCEJ CIEMNOŚCI WYPROWADZIŁ WIĘKSZĄ CZĘŚĆ WOJSKA Z POLA BITWY.

eprasa.pl fc73704fe8

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ROSIE SERDIVILLE I JOHN SADLER: „RYCERZE. HONOR I PRZEMOC"

Rycerze. Honor i przemoc

Ta książka opisuje rozkwit i schyłek epoki średniowiecznych rycerzy, przedstawia ich kosztowny ekwipunek i uzbrojenie, a także zabiera czytelnika na turnieje i przybliża etos rycerski.

Rycerzy, czyli wojowników konnych, zaczęto łączyć z pojęciem rycerskości, gdy zostało ono spopularyzowane przez średniowieczną literaturę. Oczekiwano od nich, że będą walczyć odważnie i honorowo oraz pozostaną lojalni wobec swego pana - w razie konieczności - aż do śmierci. W późniejszych czasach rycerskość utożsamiano z udziałem w turniejach i polowaniach oraz takimi zaletami charakteru jak sprawiedliwość, miłosierdzie i wiara. W czasach wypraw krzyżowych sformułowano kodeksy rycerskie, a niektóre zakony krzyżowców, między innymi templariusze, przeszły do legendy. Wraz z rozwojem sztuki wojennej w XV wieku ten typ wojska stał się zbędny, ale określenie „rycerz" przetrwało jako honorowy tytuł nadawany za usługi oddane monarsze lub krajowi. Stulecia później postać rycerza stała się też ikoną kultury popularnej.

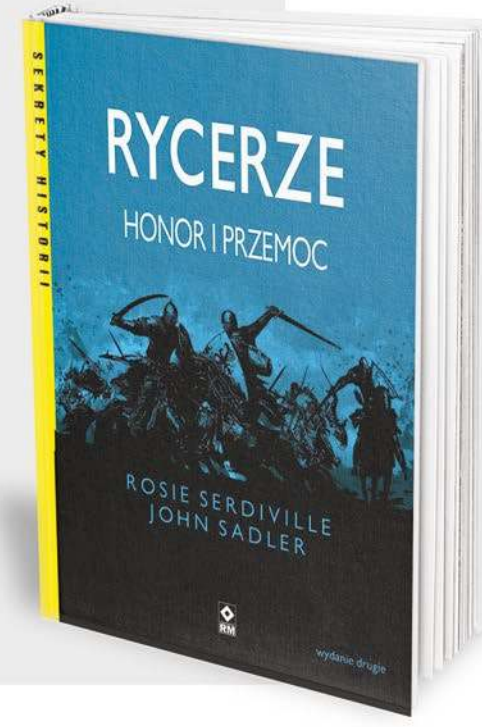

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

172 zł

oszczędność 47 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fc73704fe8

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

eprasa.pl fc73704fe8